

znak

MILCZENIE

SHUSAKU ENDO



POWIEŚĆ, NA PODSTAWIE KTÓREJ
POWSTAŁ NAJWAŻNIEJSZY FILM MARTINA SCORSESE

MILCZENIE

SHUSAKU ENDO


tłumaczenie
Izabela Denysenko

WYDAWNICTWO ZNAK

KRAKÓW 2017

沈黙

WSTĘP

 ieść dotarła do Kościoła. Ojciec Cristóvão Ferreira, wysłany do Japonii przez portugalskich jezuitów, wyparł się wiary, poddany w Nagasaki „torturze jamy”. Ojciec Ferreira to przebywający w Japonii od dwudziestu kilku lat, piastujący najwyższą godność prowincjała senior, który przewodził całemu duchowieństwu i wiernym.

Obdarzony rzadko spotykanym talentem teologicznym, mimo prześladowań prowadził nadal działalność misyjną, ukrywając się w rejonie Kamigata, a listy jego zawsze pełne były niewzruszonej wiary. Nie do uwierzenia, by ten człowiek w jakichkolwiek okolicznościach mógł zdradzić Kościół! Wiele osób, nawet w Kościele i Towarzystwie Jezusowym, sądziło, że to są fałszywe informacje sfabrykowane, być może, przez Japończyków i holenderskich heretyków.

W Kościele wiedzano oczywiście z listów misjonarzy o ciężkiej sytuacji misji w Japonii. W roku 1587 władca Japonii Hideyoshi zmienił swą dotychczasową politykę i zaczął zwalczać chrześcijaństwo: najpierw w dzielnicy Nishizaka w Nagasaki spalono na stosie dwadzieścia sześć osób – kapłanów i wiernych, a następnie wszędzie zaczęto masowo wypędzać chrześcijan z domów, poddawać torturom i mordować. Siogunowie z rodu Tokugawa postępowali tak samo. W roku 1614 postanowiono wydalić z kraju wszystkich chrześcijańskich kapłanów.

Jak podają misjonarze, w dniach 6 i 7 października tegoż roku zebrało się w Kibachi na Kiusiu łącznie z Japończykami siedemdziesięciu kilku księży. Wtłoczeni na pięć dzonek wygnańcy ruszyli w drogę ku Makao lub Manili. Dzień był deszczowy, morze wzburzone i szare jak popiół; statki wypłynęły z zatoki i opłynąwszy przylądek, zniknęły za linią horyzontu. Jednak mimo bezwzględnego

nakazu opuszczenia Japonii trzydziestu siedmiu kapłanów uznało, że porzucenie wiernych byłoby z ich strony okrucieństwem, i w ukryciu pozostało w Japonii. Jednym z nich był Ferreira. Nadal wysyłał listy do zwierzchników, przedstawiając w nich położenie kapłanów i wiernych: opisywał, jak jeden po drugim pojmani szli na stracenie. Zachował się jego list do ojca wizytatora, André Palmeiro, wysłany z Nagasaki dnia 22 marca 1632 roku. List ten przedstawia ówczesną sytuację w najdrobniejszych szczegółach:

W poprzednich listach zapoznałem Waszą Wielbność z sytuacją chrześcijan w tamtym czasie. Teraz chciałbym zrelacjonować, co zdarzyło się później. Nic, tylko nowe prześladowania, ucisk i cierpienia. Zacznę od opowieści o pięciu zakonnikach pojmanyh za wiarę i trzymanyh w więzieniu od roku 1629. Są to trzej augustianie: Bartolomé Gutierrez, Francisco de Jesús, Vicente de San Antonio, brat Antonio Ishida z naszego Towarzystwa i ojciec Gabriel de Santa Madalena od franciszkanów. Naczelnik miasta Nagasaki, *bugyo*[1] Uneme Takenaka, zmuszając ich do odstępstwa, chciał ośmieszyć naszą świętą naukę i jej sługi, by w ten sposób złamać odwagę wiernych. Zrozumiał jednak wkrótce, że słowami nie potrafi zmienić zdecydowanej postawy ojców. Wobec tego postanowił użyć innego środka. A tym środkiem miało być nie co innego, tylko torturowanie wrzącą wodą w Piekło Unzen.

Rozkazał więc zaprowadzić pięciu kapłanów do Unzen i torturować ich wrzątkiem tak długo, aż wyrzekną się wiary, w taki jednak sposób, aby ich w żadnym wypadku nie pozbawić życia. Prócz nich poddano torturom żonę Antonia da Silvy, Beatrice da Costę, i jej córkę Marię, gdyż te kobiety nie chciały porzucić swojej religii, mimo że przez długi czas starano się je do tego zmusić.

3 grudnia cała grupa wyruszyła z Nagasaki do Unzen. Obie kobiety jechały w lektyce, a pięciu zakonników konno. Jadąc, żegnali się z ludźmi. Gdy przybyli do odległego zaledwie o jedną ligę[2] portu Himi, skrzepowano im ręce aż po ramiona, a nogi zakuto w dyby, po czym wsadzono ich na statek, gdzie każdego z osobna przywiązano mocno do burty. Wieczorem przybili do portu Obama, położonego u podnóża Unzen. Nazajutrz wspięli się na górę. Tam każdego z siedmiorga wprowadzono do małej chatki. Siedzieli dzień i noc pod strażą z kajdanami na rękach i z nogami zakutymi w dyby. Podwładnych Uneme było wielu, a i lokalny zarządca *daikan*[3] przysłał policję, podjęte zostały więc daleko posunięte środki ostrożności. Na wszystkich ścieżkach prowadzących przez górę stanęły straże i nie przepuszczano nikogo bez urzędowego zezwolenia.

Nazajutrz rozpoczęły się tortury. Każdego z tych siedmiorga ludzi po kolei odłączano od pozostałych osób, prowadzono na brzeg gorącego źródła i pokazując mu tryskającą wysoko w górę kipiel, namawiano, by wyrzekł się wiary chrześcijańskiej, zanim doświadczy na własnym ciele

straszliwych męczarni. Z powodu zimna gejzer kipiał z przerażającą siłą, tak że bez Boskiej pomocy od samego patrzenia załamaliby się na duchu. Jednak umocnieni Bożą łaską zdobyli się na odwagę i wszyscy odpowiedzieli: „Możecie nas torturować! Nie porzucimy nigdy prawd, które wyznajemy!”. Urzędnicy, słysząc tę śmiałą odpowiedź, kazali się więźniom rozebrać, związali im sznurami ręce i nogi i nabrawszy czerpakiem wrzątku, polewali wszystkich po kolei. Nie wylewano od razu całej zawartości naczynia, w dniu czerpaka zrobiono kilka otworów, aby przedłużyć cierpienie.

Bohaterscy chrześcijanie wytrzymali tę straszną mękę bez jednego drgnienia. Tylko młodziutka jeszcze Maria nie wytrzymała zbyt wielkiego bólu i upadła na ziemię. Urzędnik, widząc to, krzyknął: „Upadła! Odstąpiła od wiary!”[4], dziewczynkę więc odniesiono do chaty, a nazajutrz odwieziono z powrotem do Nagasaki. Maria opierała się, powtarzając z uporem, że nie odstąpiła od wiary i chce, by ją torturowano wraz z matką i innymi, ale jej nie wysłuchano.

Sześcioro pozostałych przebywało na górze przez trzydzieści trzy dni. W tym czasie Antonio, ojciec Francisco i Beatrice zostali poddani torturze wrzątkiem sześciokrotnie, ojciec Vicente – czterokrotnie, a ojcowie Bartolomé i Gabriel – dwukrotnie. Żadne z nich nie wydało przy tym jęku. Dłużej od innych byli męczeni ojciec Antonio, Francisco i Beatrice. Szczególnie Beatrice da Costa, mimo że kobieta w trakcie różnorodnych nacisków oraz w czasie wszystkich tortur wykazała wielki hart ducha. Jej odwaga przewyższała mężczyzn, więc prócz polewania wrzątkiem zadawano jej jeszcze inne męki. Zmuszali ją, by stała przez wiele godzin na małym kamieniu, podczas gdy oni przeklinali ją i lżyli. Jednakże im większy szal ogarniał urzędników, tym większa była jej determinacja, by wytrwać.

Inni, słabsi ciałem, chorowali, więc nie męczono ich zbyt okrutnie, gdyż naczelnik życzył sobie, by zostali zmuszeni do odstępstwa, a nie zabici. Z tej też przyczyny był z nimi na górze lekarz, który miał leczyć ich rany.

Uneme pojął w końcu, że w żaden sposób walki tej wygrać nie jest w stanie. Przeciwnie, wieści, jakie otrzymywał od podwładnych, mówiły, że odwaga i siła ducha ojców jest tak wielka, iż raczej źródła Unzen wyschną, niż oni się załamią. Zdecydował zatem sprowadzić ojców na powrót do Nagasaki. 5 stycznia zamknął Beatrice da Costę w domu o złej sławie, a pięciu kapłanów – w miejskim więzieniu. Przebywają tam do dziś. I tak oto nasza święta nauka zyskała szacunek u ludzi, wierni nabrali odwagi, a tyran poniósł sromotną klęskę wbrew swoim planom i nadziejom – tak wspaniałe są rezultaty tej walki.

W Kościele nikt nie dopuszczał do siebie myśli, że ojciec Ferreira, autor takich listów, mógłby się ugiąć przed poganami, porzucić Boga i Jego Kościół, nawet jeśli go okrutnie dręczono.

W roku 1635 zebrało się w Rzymie czterech kapłanów pod przewodnictwem ojca Rubino^[5]. Kapłani ci powzięli plan, aby za wszelką cenę dotrzeć do ogarniętej prześladowaniami Japonii i prowadzić tam potajemnie działalność misyjną, aby zmyć z Kościoła hańbę odstęstwa Ferreiry. Ich nierealny pomysł początkowo nie uzyskał aprobaty władz kościelnych. Mimo zrozumienia dla ich zapału i misjonarskiego ducha ich zwierzchnicy nie mogli pozwolić na natychmiastowe wysłanie kapłanów do pogańskiego, w najwyższym stopniu niebezpiecznego kraju. Jednak z drugiej strony szło o Japonię, na którą od czasów świętego Franciszka Ksawerego padało najlepsze siane na Dalekim Wschodzie ziarno. Nie można przecież zapomnieć o jej wiernych, którzy tracąc przewodników, stopniowo zaczęli się załamywać. Co więcej, odstęstwo, do którego został zmuszony Ferreira w małym, dla ówczesnych Europejczyków leżącym gdzieś na krańcu świata kraju, nie było dla nich po prostu załamaniem się pojedynczego człowieka, lecz upokarzającą klęską wiary i idei całej Europy. Taka postawa zwyciężyła i po pokonaniu wielu trudności ojcu Rubino i czterem kapłanom udzielono zezwolenia na wyjazd.

Niezależnie od nich w Portugalii trzej młodzi księża, z innych powodów niż grupa ojca Rubino, planowali potajemnie przedostać się do Japonii. Byli to dawni uczniowie mistrza Ferreiry, który niegdyś w starym klasztorze w Campolide kształcił i wychowywał seminarzystów. Ta trójka: Francisco Garrpe, Juan de Santa Marta i Sebastião Rodrigues w żaden sposób nie mogła uwierzyć, że nauczyciel, któremu tyle zawdzięczają, płaszczył się przed poganami. Raczej zginąłby chwalebłą śmiercią męczeńską. Należy wspomnieć, że uczucia tych trzech młodzieńców podzielało całe duchowieństwo portugalskie. Trzej kapłani postanowili pojechać do Japonii i na własne oczy sprawdzić, jak się istotnie rzecz miała. Także i w tym wypadku przełożeni, podobnie jak hierarchia w Rzymie, nie od razu się zgodzili, lecz w niedługim czasie ugięli się pod presją zapału tej trójki i zaakceptowali niebezpieczną wyprawę misyjną do Japonii. Działo się to w roku 1637.

I tak trzej młodzi kapłani rozpoczęli natychmiast przygotowania do długiej podróży. W owych czasach misjonarze portugalscy, chcąc dotrzeć na Daleki

Wschód, zazwyczaj najpierw płynęli statkami flotylli indyjskiej z Lizbony do Indii. Wypłynięcie flotylli indyjskiej w rejs było wówczas w Lizbonie wielkim wydarzeniem. Ów *Yabon*, znajdujący się na najdalszym krańcu Dalekiego Wschodu, który dotąd uważano dosłownie za koniec świata, nabierał teraz dla trzech zakonników realnych kształtów.

Obejrzeni mapę: po drugiej stronie Afryki są Indie, stanowiące terytorium portugalskie, a za nimi rozrzucone na morzu liczne wyspy i państwa azjatyckie. Najdalej na wschodzie widnieje maleńka Japonia z kształtu całkiem podobna do larwy. Żeby do niej dotrzeć, trzeba najpierw dopłynąć do Goa w Indiach, a później znów długo, długo żeglować po morzach. Miasto Goa bowiem od czasów świętego Franciszka Ksawerego zasługiwało na nazwę bazy wypadowej misji dalekowschodnich. Tu właśnie w dwóch Instytutach Teologicznych Świętego Pawła, obok studiujących seminarzystów ze wszystkich ziem Dalekiego Wschodu, przebywali europejscy kapłani udający się na misje: czekając pół roku lub rok na odpowiedni statek, zapoznawali się z sytuacją w krajach, do których się wybierali.

Trzej kapłani, nie szczędząc sił, zebrali wszelkie dostępne wiadomości o sytuacji w Japonii. Szczęściem wielu portugalskich misjonarzy, poczynając od Louísa Frása, przysyłało z Japonii informacje na ten temat. Z listów tych wynikało, że nowy siogun Iemitsu prowadzi jeszcze bardziej bezwzględna politykę prześladowań niż jego ojciec i dziadek. Szczególnie w Nagasaki od roku 1629 naczelnik Uneme Takenaka, okrutny tyran, zadawał wiernym nieludzkie męczarnie, kazał zanurzać więźniów w tryskających wrzątkiem gejzerach, zmuszając ich do wyrzeczenia się swojej wiary i przyjęcia innej, a liczba ofiar, jak mówiono, nie schodziła poniżej sześćdziesięciu, siedemdziesięciu dziennie. Te wieści były z pewnością prawdziwe, bo przesyłał je do ojczyzny sam wielebny Ferreira. Tak czy inaczej, trzej kapłani od początku musieli przygotować się na to, że los, który ich czeka po długiej i ciężkiej podróży, będzie jeszcze okrutniejszy niż ta podróż.

Sebastião Rodrigues urodził się w sławnym z kopalń mieście Tasco. Do klasztoru wstąpił, mając lat siedemnaście. Juan de Santa Marta i Francisco Garrpe, rodem z Lizbony, byli kolegami szkolnymi Rodriguesa z seminarium klasztorowego

w Campolide. Oni, którzy od pierwszych lat nauki spędzali wspólnie czas poza lekcjami, a w klasie siedzieli obok siebie w ławkach, do dziś mają żywo w pamięci ojca Ferreirę, który ich uczył teologii.

Teraz Ferreira żyje gdzieś w Japonii. Rodrigues i jego współpracownicy zastanawiali się, jak czyste niebieskie oczy ich nauczyciela oraz jego twarz, od której bił łagodny blask, zmieniły się wskutek zadanych mu przez Japończyków tortur. Nie, on nie dopuściłby do tego, by cień hańby zniekształcił mu tę twarz. Nie do uwierzenia, by Ferreira porzucił Boga i wyzbył się swojej łagodności. Rodrigues i dwaj pozostali uczniowie za wszelką cenę chcieli dotrzeć do Japonii, aby sprawdzić, czy Ferreira żyje i jaki jest jego los.

25 marca 1638 roku flotylla indyjska wypłynęła z ujścia Tagu wśród pożegnalnych salw armatnich z twierdzy Belém. Pobłogosławieni przez biskupa João Dasco misjonarze wsiedli na statek komandorski „Santa Isabella”. Gdy okręty opuściły żółtawe wody przy ujściu rzeki i wyszły na zielonobłękitne o południu otwarte morze, misjonarze ciągle jeszcze patrzyli na góry i oblany złotym blaskiem przylądek. Czerwone ściany chłopskich chat i kościołów. Dzwon z wieży kościelnej żegnał okręty, a jego głos, niesiony wichrem, słychać było aż na pokładzie.

W owych czasach do Indii Portugalskich podróżowało się bardzo okrężną drogą, opływając od południa Afrykę. W trzecim dniu podróży flotylla wioząca naszych bohaterów natrafiła na straszną burzę u zachodnich wybrzeży Afryki.

2 kwietnia okręty dotarły do wyspy Porto Santo, zaraz potem do Madery, a 6 kwietnia do Wysp Kanaryjskich. Później zatrzymały je nieprzerwane deszcze i brak wiatru. Następnie, zepchnięte prądem morskim z trzeciego na piąty równoleżnik północny, okręty utknęły u brzegów Gwinei.

Gdy nie było wiatru, panował upał nie do zniesienia. Ponadto szerzyły się choroby, a na „Santa Isabelli” ponad stu chorych, wśród nich członkowie załogi, jęczało w kajutach i na pokładach. Rodrigues z kolegami razem z obsługą statku pielęgnowali chorych, pomagali upuszczać im krew.

25 lipca, w dniu świętego Jakuba, statki okrążyły wreszcie Przylądek Dobrej Nadziei. W tym dniu po raz drugi zaatakowała je gwałtowna burza. Główny żagiel

„Santa Isabelli”, rozerwany, z trzaskiem runął na pokład. Do ratowania przedniego żagla, któremu groziło to samo, zapędzono nawet chorych, Rodriguesa i jego kolegów, a gdy go wreszcie zabezpieczono, statek utkwiał na podwodnej skale. Gdyby inne okręty nie przybyły na pomoc, „Santa Isabella” pewnie by zatonąła.

Po burzy wiatr ponownie ucichł. Żagle zwisały bezsilnie z masztów i tylko ich czarne cienie padały na twarze i ciała chorych, leżących, jakby byli martwi, na pokładzie. Morze lśniło, na powierzchni gorącej wody nie tworzyły się najmniejsze nawet fale. Tak mijał dzień po dniu. Z powodu przedłużającej się żeglugi zaczynało brakować żywności i wody. I tak na koniec, 9 października, flotylla dotarła do celu podróży – Goa.

Tu w Goa trzech kapłani mogli uzyskać bardziej szczegółowe niż w kraju informacje o sytuacji w Japonii. Dowiedzieli się więc, że w październiku roku poprzedzającego ich wyjazd w Japonii podniosło bunt trzydzieści pięć tysięcy chrześcijan, a po zaciekłych, rozpaczliwych walkach z wojskiem rządowym, których centralnym terenem była Shimabara, wszyscy, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, zostali wymordowani co do jednego. Podobno walki tak spustoszyły okoliczne ziemie, że nie widać tam śladu człowieka, a co więcej, pozostałych przy życiu chrześcijan ściga się i tępi jak robactwo. Lecz największym ciosem dla ojca Rodriguesa i towarzyszących mu kapłanów była wieść, że w wyniku tej wojny Japonia zakazała wszelkiej wymiany handlowej z ich ojczyzną, Portugalią, i zamknęła swoje porty dla wszystkich statków portugalskich.

Do Makao misjonarze dotarli w nastroju rozpaczki, wiedząc, że żaden ojczysty statek nie kursuje do Japonii. Miasto Makao było najdalej na wschód wysuniętą placówką portugalską, a jednocześnie bazą dla handlu z Chinami i Japonią. Przybyli tu z nadzieją na jakiś szczęśliwy przypadek, ale i tutaj zaraz na wstępie musieli wysłuchać ostrych słów wizytatora, ojca Valignano. „Misja w Japonii jest sprawą przegraną – powiedział ojciec. – Towarzystwo Misyjne w Makao nie ma zamiaru wysłać tam więcej misjonarzy tak niebezpiecznymi sposobami”.

Valignano przed dziesięciu laty założył w Makao Instytut Misyjny, który miał kształcić misjonarzy wysyłanych do Japonii i Chin. Prócz tego od czasu rozpoczęcia prześladowań chrześcijaństwa w Japonii cała władza nad japońską prowincją

Towarzystwa Jezusowego przeszła w jego ręce.

Wielebny Valignano wyjaśnił im również sprawę ojca Ferreiry, którego trzech kapłani chcieli odnaleźć w Japonii. Mianowicie po roku 1633 urwała się zupełnie korespondencja z działającymi w ukryciu misjonarzami. Od holenderskich marynarzy, którzy wrócili z Nagasaki do Makao, dowiedział się, że Ferreira został podobno pojmany i poddany w Nagasaki „torturze jamy”, ale jego późniejszy los jest nieznany i nie można niczego sprawdzić, gdyż wspomniany statek holenderski odpłynął z Japonii tego dnia, kiedy Ferreirę powieszono w jamie. Wiadomo tylko, że przesłuchiwał go Inoue, władca prowincji Chikugo, nowo mianowany naczelnik miasta Nagasaki. W tej sytuacji placówka misyjna w Makao w żadnym razie nie może zezwolić na wyjazd do Japonii. Tak bez ogródek wyraził swój pogląd ojciec Valignano.

Dziś możemy przeczytać kilka listów Sebastião Rodriguesa, które znajdują się w archiwach portugalskiego Ośrodka Badań nad Historią Posiadłości Zamorskich. Pierwszy z nich zaczyna się od tego, co Rodrigues i jego dwaj koledzy usłyszeli od wielbnego Valignano na temat opisaną powyżej ówczesnej sytuacji w Japonii.

[1] *Bugyo* – przedstawiciel władzy sioguna w mieście i okręgu Nagasaki; nadzorował również działalność Holenderskiej Faktorii Handlowej, jedynej placówki europejskiej, jaka miała pozwolenie na handel z Japonią i swoją siedzibę w tym kraju; oprócz Holendrów pozwolenie na handel mieli Chińczycy. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczek).

[2] Liga – jednostka długości używana m.in. w Portugalii (*légua*); w zależności od okresu i miejsca odpowiada różnym wielkościom ok. 5 km; angielska liga lądowa to 4,82 km, przyjęta oficjalnie w poł. XIX w. w Portugalii liga to 5 km.

[3] *Daikan* – zarządca miasta, powiatu lub gminy.

[4] W języku japońskim dla określenia odstąpienia od wiary używany jest czasownik *korobu*, którego pierwsze znaczenie to „upadać”, „przewracać się”.

[5] Wyprawa ojca Rubino i towarzyszy jest faktem historycznym.

沈黙

I. LIST SEBASTIÃO RODRIGUESA

Pokój Pański niech będzie z Tobą! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
9 października ubiegłego roku przybyliśmy, jak Ci już pisałem, do Goa, a 1 maja dotarliśmy z Goa do Makao. Niestety, mordercza podróż wyczerpała fizycznie naszego współbrata Juana de Santa Marta i dręczą go częste ataki gorączki malarycznej. Tylko my dwaj, ja i Francisco Garrpe, czujemy się świetnie, serdecznie przyjęci przez tutejszy Instytut Misyjny.

Jednak wielbny ojciec Valignano, rektor Instytutu, od lat dziesięciu rezydujący w Makao, początkowo sprzeciwił się otwarciu naszej wyprawy do Japonii. W jego celi, skąd można ogarnąć spojrzeniem cały port, usłyszeliśmy na ten temat następujące słowa:

– Musimy zaprzestać wysyłania misjonarzy do Japonii. Płynąć portugalskim statkiem handlowym to narazić się na bardzo wielkie niebezpieczeństwo. Zanim dotrzecie do Japonii, natkniecie się niechybnie na wiele przeszkód.

Sprzeciw Jego Wielbności był usprawiedliwiony. Od roku 1637 rząd japoński, podejrzewając Portugalczyków o kontakty z buntownikami w Shimabarze, całkowicie zakazał handlu, a co więcej od Makao aż po przybrzeżne wody japońskie raz po raz pojawiają się na morzu okręty wojenne protestanckiej Anglii i Holandii, które strzelają z dział do naszych statków kupieckich.

– Jednak może przy Boskiej pomocy uda się nam przepłynąć niepostrzeżenie – powiedział Juan de Santa Marta, mrużąc płonące gorączką oczy. – Wierni na tej ziemi stracili już kapłanów, są samotni i bezradni jak stado jagniąt! Ktoś musi w jakiś sposób do nich dotrzeć i pokrzepić ich na duchu, aby nie zagasła iskra ich

wiary.

Ojciec Valignano słuchał w milczeniu, jego twarz wykrzywił grymas. Na pewno do tej pory wiele już wycierpiał z powodu nieszczęsnego losu japońskich wiernych, czując jako zwierzchnik ciężar odpowiedzialności. Oto dlaczego stary kapłan chwilę trwał w milczeniu z łokciami opartymi o stół i czołem wspartym na dłoniach. Z pokoju widać było w oddali port Makao. Morze czerwieniało w blasku zachodzącego słońca, tu i ówdzie niczym czarne plamy unosiły się na falach dżonki.

– Mamy jeszcze jeden obowiązek. Dowiedzieć się, co się dzieje z naszym nauczycielem, ojcem Ferreirą.

– O wielbnym Ferreirze nie mamy od tamtej pory żadnych wiadomości. Dotyczące go pogłoski są w najwyższym stopniu niejasne, jednak w chwili obecnej nie mamy żadnej możliwości sprawdzenia, jak było naprawdę.

– A więc on jeszcze żyje?

– Nawet tego nie wiemy – Valignano podniósł głowę i głęboko ni to westchnął, ni to odetchnął. – Listy, które mi regularnie nadsyłał, urwały się całkowicie po roku 1633. Czy zmarł wskutek jakiejś nieszczęśliwej choroby? Czy poganie wtrącili go do więzienia? Czy, jak sądzicie, poniósł chwalebłą śmierć męczeńską? Czy też nadal żyje, ale mimo szczerych chęci nie jest w stanie przesyłać nam wiadomości? Na te pytania w tej chwili nie potrafię odpowiedzieć!

Wielebny Valignano nie napomknął przy tym ani słowem o pogłosce, jakoby Ferreira ugiął się pod pogańskimi torturami. On, podobnie jak my, nie chciał chyba wyobrazić sobie w ten sposób kolegi, z którym kiedyś razem pracował.

– Mało tego – mówił Valignano jakby sam do siebie – pojawił się obecnie w Japonii człowiek, który bardzo szkodzi chrześcijanom. Nazywa się Inoue.

Wtedy usłyszeliśmy po raz pierwszy to nazwisko. Wielebny Valignano powiedział, że w porównaniu z Inoue taki na przykład Takenaka, poprzedni naczelnik Nagasaki, który zamordował wielu chrześcijan, to po prostu brutalny prostak. Powtórzyliśmy sobie po cichu obco dla nas brzmiący dźwięk „Inoue”, aby zapamiętać nazwisko człowieka, z którym prawdopodobnie przyjdzie nam się zetknąć w Japonii.

Z ostatnich listów, jakie nadeszły od japońskich wiernych z wyspy Kiusiu, Valignano wiedział coś niecoś o tym naczelniku. Inoue po buncie w Shimabarze stał się faktycznym przywódcą walki z chrześcijaństwem i w przeciwieństwie do swego poprzednika Takenaki, jak przebiegły lis stosując zmyślne metody, doprowadza do tego, że jeden za drugim wyrzekają się wiary chrześcijanie, którzy dotąd nie ugięli się pod groźbami ani torturami.

– Jest to tym smutniejsze – powiedział Valignano – że ten człowiek wyznawał niegdyś naszą wiarę i nawet przyjął chrzest.

Później będę ci mógł zapewne opowiedzieć znowu o tym prześladowcy. Ostatecznie jednak wielebny ojciec, ostrożny z racji swego stanowiska superiora, uległ naszemu (szczególnie konfratra Garrpego) zapałowi i pozwolił na potajmną wyprawę do Japonii. I tak kości zostały rzucone! Aby nawracać Japończyków i na chwałę Najwyższego jakoś dotarliśmy dziś tu, na Daleki Wschód! Od teraz prawdopodobnie czekają nas trudy i niebezpieczeństwa, z którymi nie dadzą się porównać te, których zakosztowaliśmy na Oceanie Indyjskim już od brzegów Afryki. Jednak Ewangelia św. Mateusza mówi: „Gdy was prześladować będą w tym mieście, uciekajcie do innego”^[6]. W moim sercu bez przerwy dźwięczą też słowa Apokalipsy: „Zbawienie i chwała, i moc u Boga naszego”^[7]. Wobec tych słów wszystko inne traci znaczenie.

Makao, jak ci już pisałem, leży u ujścia wielkiej Rzeki Perłowej. Miasto zbudowane na wyspach rozrzuconych u wejścia do zatoki, jak wszystkie miasta Dalekiego Wschodu, nie posiada murów. Nie wiadomo zatem, gdzie jest granica miasta, wszędzie ciągną się brunatnoszare jak kurz domy Chińczyków. W każdym razie byłbyś w błędzie, wyobrażając sobie tutejsze miasta i osiedla na kształt naszych. Mówią, że Makao liczy dwadzieścia tysięcy mieszkańców, ale nie można chyba temu wierzyć. Ojczyznę przypomina nam rezydencja gubernatora w centrum, urządzone na wzór portugalski kupieckie kantory i brukowane ulice. Z fortu skierowane są ku zatoce lufy dział, ale na szczęście jeszcze ich do chwili obecnej ani razu nie użyto.

Większość Chińczyków nie chce słuchać naszych nauk. Pod tym względem Japonia

z pewnością jest, jak twierdził święty Franciszek Ksawery, „najbardziej odpowiednim dla chrześcijaństwa krajem na Dalekim Wschodzie”. Jednak, jak na ironię, rząd japoński zabronił swoim statkom pływać do innych krajów, więc portugalscy kupcy z Makao zmonopolizowali handel jedwabiem na Dalekim Wschodzie, tegoroczny wywóz z tego portu podobno osiągnął ogółem wartość 400 tysięcy *xerafins*^[8], i w stosunku do lat poprzednich wzrósł o 100 tysięcy.

Muszę ci dziś zakomunikować coś nadzwyczajnego. Wczoraj udało się nam spotkać Japończyka. Niegdyś w Makao bywało sporo japońskich mnichów i kupców, ale po dekrete o zamknięciu Japonii przestali przyjeżdżać, a ci nieliczni, którzy tu byli, też powrócili do kraju. Pytaliśmy ojca Valignano, ale odparł, że nie ma chyba w mieście Japończyków, jednak szczęśliwym trafem dowiedzieliśmy się, że jeden mieszka wśród Chińczyków.

Wczoraj mimo deszczu wybraliśmy się do chińskiej dzielnicy szukać statku, który nas po cichu zawiezie do Japonii. Musimy przecież mieć statek, wynająć kapitana i załogę. Makao to smętne miasto, w deszczu wygląda jeszcze nędzniej. Wszystko, morze i miasto, ocieka szarością. Chińczycy zamykają się w swoich chatkach przypominających chlewiki czy obórki. Na pełnych błota ulicach ani żywego ducha. Patrząc na te ulice, zamyślałam się, sam nie wiem czemu, nad życiem i robi mi się smutno.

Gdy w domu poleconego nam Chińczyka przystąpiliśmy do omawiania sprawy, ten nieoczekiwanie powiedział, że pewien Japończyk chce stąd, z Makao, wrócić do kraju. Zaraz też na nasze życzenie poszły po niego dzieci gospodarza.

Co mogę powiedzieć o tym Japończyku, pierwszym, jakiego w życiu zobaczyłem? Do pokoju wszedł, zataczając się, pijany człowiek. Ten ubrany w łąchmany mężczyzna nazywa się Kichijiro i ma około dwudziestu ośmiu, dwudziestu dziewięciu lat. Z jego odpowiedzi na nasze pytania udało nam się w końcu dowiedzieć, że jest rybakiem z Hizen w okolicach Nagasaki, że prąd morski uniósł jego łódź jeszcze przed buntem w Shimabarze i uratował go wówczas statek portugalski. Mimo że pijany, patrzył na nas przebiegle. W czasie rozmowy niekiedy odwracał wzrok.

– Jesteś chrześcijaninem? – po tym pytaniu konfratra Garrpego człowiek ów nieoczekiwanie zamilkł. Nie bardzo wiedzieliśmy, dlaczego pytanie Garrpego było mu niemiłe. Z początku nie chciał wiele mówić, ale wreszcie, na nasze nalegania, opowiedział nam słowo po słowie, jak wyglądają prześladowania chrześcijaństwa na Kiusiu. Widział podobno we wsi Kurasaki w prowincji Hizen, jak dwudziestu czterech chrześcijan, skazanych przez swego pana feudalnego, zostało ukrzyżowanych w wodzie. Ukrzyżowanie w wodzie polega na tym, że przywiązuje się chrześcijan do ustawionych w morzu drewnianych słupów. Wkrótce jest przypływ, woda sięga im do łędźwi, skazańcy opadają z sił i po upływie mniej więcej tygodnia umierają w strasznych mękach. Tak okrutną torturę musiał wymyślić chyba sam cesarz rzymski Neron!

W trakcie tego opowiadania zdarzyła się dziwna rzecz. Kiedy Kichijiro opisywał nam szeptem budzącą grozę scenę, jego twarz wykrzywił nagły grymas, a on sam zamilkł. Po chwili zamachał rękami, zupełnie jakby chciał wygnać z pamięci owo straszne wspomnienie. Prawdopodobnie wśród ukrzyżowanych wiernych byli jego przyjaciele lub znajomi. Może włożyliśmy palec w otwartą ranę, której nie należało dotykać.

– Więc jednak jesteś chrześcijaninem? – spytał Garrpe, widać głęboko poruszony.

– Nie, nie! – potrząsnął głową Kichijiro. – Nie, wcale nie!

– Ale chcesz wrócić do Japonii. Szczęściem dla ciebie, my mamy pieniądze na kupno statku i zebranie załogi, więc jeśli chcesz z nami jechać...

Na te słowa chytry błysk mignął w nabiegłych żółcią pijanych oczach Kichijiro. Siedząc w kącie pokoju z rękoma wokół kolan, zaczął szeptać, zupełnie jakby się przed nami tłumaczył, że chce wracać tylko po to, żeby zobaczyć się z najbliższą rodziną, która pozostała w ojczyźnie.

My ze swej strony rozpoczęliśmy zaraz pertraktacje z tym roztrzęsionym człowiekiem. Mucha z brzęczeniem krążyła wciąż w tym samym miejscu brudnej izby. Na podłodze wałała się butelka po wypitym przez Kichijiro alkoholu. Tak czy inaczej po wyjściu na ląd w Japonii nie będziemy wiedzieli, w którą stronę się ruszyć. Musimy nawiązać kontakt z wiernymi, którzy dadzą nam schronienie

i pomogą się urządzić. Ten człowiek jest nam potrzebny jako pierwszy przewodnik. Kichijiro, z twarzą zwróconą ku ścianie i rękoma wokół kolan, namyślał się długo nad warunkami umowy. Dla niego też zapewne byłaby to niebezpieczna wyprawa, ale jeśliby przepuścił tę okazję, musiałby się pogodzić z myślą, że nigdy już do Japonii nie wróci.

Wyglądało na to, że dzięki pomocy ojca Valignano udało nam się załatwić wielką dżonkę. Jakże jednak kruche, niepewne są ludzkie rachuby. Dziś otrzymaliśmy wiadomość, że statek nasz zżerają białe mrówki. A tu w Makao takie rzeczy jak żelazo czy smoła są prawie nie do zdobycia.

Piszę ten list codziennie po trochu, więc zrobiło się z niego coś w rodzaju pamiętnika bez dat. Przeczytaj go cierpliwie. Przed tygodniem wspominałem, że mrówki zżarły mocno naszą dżonkę, ale wygląda na to, że udało się z Bożą pomocą znaleźć sposób na pokonanie tego kłopotu. Na razie mamy zamiar wykleić dżonkę od wewnątrz deskami i pożeglować na Tajwan, a jeśli ten prowizoryczny środek okaże się skuteczny na dłużej, popłyniemy prosto do Japonii. I tylko błagać będziemy Pana, aby, o ile to możliwe, nie spotkała nas wielka burza na Morzu Wschodniochińskim.

Tym razem mam dla ciebie smutną wieść. Jak już wiesz, Santa Marta, wyczerpany zupełnie długą i męczącą żegluga, zapadł na malarię. Teraz dostał znowu silnych dreszczy i wysokiej gorączki, leży więc w jednej z cel Instytutu. Nie wyobrażasz sobie, jak żałośnie wygląda, jaki jest słaby i wychudły! On, taki niegdyś dziarski i silny! Oczy ma zaczerwienione, wzrok nieprzytomny, a mokry okład na czole w mgnieniu oka robi się gorący, jakby go włożono do wrzątku. Niepodobna myśleć, że mógłby w takim stanie jechać z nami do Japonii. Ojciec Valignano także oświadczył, że jeśli Santa Marta nie zostanie tutaj na leczenie, to i nam dwóm nie pozwoli jechać.

– My wyruszymy pierwsi – pocieszał Martę Garrpe – przygotujemy wszystko tak, żebyś mógł przybyć do nas, gdy odzyskasz siły.

Czy on jednak doczeka szczęśliwie tej chwili? A my, czy nie wpadniemy w ręce

pogan jak tylu innych wiernych? Któż zdoła to przewidzieć?

Marta w milczeniu patrzył przez okno, miał wychudłą twarz, policzki i brodę pokrywał mu długi zarost. Za oknem widać było wieczorne słońce: matową szklaną kulę o barwie czerwieni zanurzającą się za portem w morzu. Od dawna znasz Martę, więc chyba dobrze wiesz, o czym nasz brat myślał w tej chwili. Wspominał dzień, kiedy wypływaliśmy z ujścia Tagu, błogosławieni przez biskupa i Was wszystkich. Długą, morderczą podróż, pragnienie i choroby, które nawiedzały statek. Po cóż znosiliśmy to wszystko? Po co przybyliśmy do tego brzydkiego miasta zagubionego gdzieś na Dalekim Wschodzie? My, kapłani, stanowimy nieszczęsny gatunek, który rodzi się na ten świat po to jedynie, aby służyć ludziom. I nie ma chyba drugiej istoty tak żalostnej i samotnej jak kapłan, który tej służby pełnić nie może. Stwierdzenie to jest słuszne zwłaszcza w odniesieniu do Santa Marty, który od przyjazdu do Goa ma szczególnie głębokie nabożeństwo do świętego Franciszka Ksawerego. Codziennie modlił się u grobu tego zmarłego w Indiach świętego, prosząc, aby dane mu było dotrzeć do Japonii.

My się modlimy codziennie w intencji chorego o jak najszybsze wyzdrowienie, ale zdecydowanej poprawy jego stanu jakoś nie widać. Bóg zapewne obdarza każdego z ludzi najlepszym dla niego losem, tylko my nie jesteśmy w stanie pojąć tego naszym rozumem. Wypływamy za dwa tygodnie i może Pan raczy sprawić mocą swoją, że wszystko odbędzie się bez przeszkód.

Remont kupionego przez nas statku posuwa się naprzód jak należy. Dziury wygryzione przez mrówki załatano całkowicie nowymi deskami. Dwudziestu pięciu chińskich marynarzy wyszukanych przy pomocy ojca Valignano dowiezie nas w każdym razie do przybrzeżnych wód japońskich. Ci chińscy żeglarze są drobni, chudzi, niby chorzy po kilkumiesięcznej diecie, ale w cieniutkich jak druty rękach mają zadziwiającą siłę. Bez wysiłku przenoszą na swoich wątłych ramionach bardzo ciężkie skrzynie z żywnością! Ich ręce przywodzą na myśl żelazne pogrzebacze. Później pozostanie nam tylko czekać na wiatr konieczny dla żeglugi.

Wspomniany wcześniej Japończyk Kichijiro razem z chińskimi marynarzami nosi bagaż i naprawia żagle, a my, korzystając z okazji, obserwujemy uważnie, jaki charakter ma człowiek, od którego, być może, zależą nasze przyszłe losy.

Spostrzegliśmy, że jest z natury przebiegły, a ta przebiegłość wynika chyba z jego słabości.

Niedawno zobaczyliśmy przypadkiem taką oto scenę. Gdy Chińczyk nadzorca patrzył na niego, Kichijiro starał się pokazać, że pracuje ile sił, a ledwie nadzorca odchodził, od razu zaczynał się lenić. Marynarze z początku milczeli, ale zabrakło im widać cierpliwości i zaczęli go besztać. Gdyby rzecz się na tym skończyła, nie warto by o tym wspominać, lecz ku naszemu zdziwieniu wystarczyło, że trzech Chińczyków poszturchało go i pokopało, a Kichijiro zbladł i uklęknawszy na piasku, prosił o przebaczenie, aż przykro było patrzeć. Zachowanie jego nie miało wiele wspólnego z chrześcijańską cnotą wytrwałości w cierpieniu, było to podłe tchórzostwo. Podniósłszy unurzaną w piasku twarz, krzyczał coś po japońsku. Piasek miał w nosie i na policzkach, a z ust płynęła mu brudna ślina.

Zrozumiałem wtedy, dlaczego w czasie naszego pierwszego z nim spotkania, kiedy opowiadał o japońskich chrześcijanach, zamilkł tak nagle. Być może sam się przeraził opowiadaną przez siebie historią.

Nasza stanowcza interwencja położyła kres tej nierównej walce, a Kichijiro zaczął od tej pory służalczo się do nas uśmiechać.

– Naprawdę jesteś Japończykiem? – spytał z goryczą Garrpe, a Kichijiro, zdziwiony, powtarzał w kółko, że tak. Garrpe zbyt mocno wierzył w ów obraz Japończyków z opowiadań wielu misjonarzy o „narodzie, który się nie lęka nawet śmierci”. Owszem, są Japończycy, którzy cierpieli, stojąc przez pięć dni w wodzie po kostki, a jednak nie zachwiali się w swej wierze. Bywają jednak i tacy jak Kichijiro, tchórze. A my takiemu właśnie człowiekowi będziemy musieli po przybyciu do Japonii powierzyć swój los. Obiecał, że nawiąże kontakt z wiernymi, którzy nas ukryją, ale teraz nie wiemy, w jakim stopniu można wierzyć jego obietnicy.

W żadnym razie jednak nie myśl, proszę, że piszę w ten sposób, bo podupadliśmy na duchu. Wydaje mi się raczej, że zrobiliśmy coś głupiego, oddając własną przyszłość w ręce takiego człowieka. A przecież, jak się tak dobrze zastanowić, nawet Chrystus, Pan nasz, powierzył swój los ludziom niegodnym zaufania. My zresztą w obecnej sytuacji nie mamy innego wyjścia, jak zaufać

Kichijiro.

Jedno nas tylko niepokoi – on strasznie pije! Podobno wydaje na alkohol wszystkie pieniądze, jakie po całodzienniej pracy wypłaca mu nadzorca. A jak pije? – lepiej nie mówić, możemy się tylko domyślać, że dusi w sobie coś straszego i pije, żeby o tym zapomnieć.

Noc w Makao nadchodzi wraz z przeciągłym, smutnym dźwiękiem trąb żołnierzy strzegących fortu. W tutejszym klasztorze, podobnie jak u nas w kraju, obowiązuje reguła, że po wieczerzy i błogosławieństwie w kaplicy kapłani i bracia zakonnicy, każdy ze świecą w ręku, rozchodzą się i zamykają w swoich celach. Po brukowanym dziedzińcu przeszło trzydziestu służących. Zgasły światła u Garrpego i u Santa Marty. Tu naprawdę jest koniec świata.

Siedzę przy świetle świecy nieruchomo, z rękoma na kolanach. Siedzę i czuję, że oto jestem na krańcu świata, na ziemi, której wy nie znacie i nie ujrzycie nigdy w życiu. To dojmujące uczucie, nie potrafię Ci go opisać. Pod powiekami mam obraz mórz, które długo wzbudzały we mnie lęk, i portów, do których zawijaliśmy, a serce ściska mi ból. To chyba sen, że jestem oto w tym nikomu nieznanym mieście Wschodu. Gdy uświadamiam sobie, że to jednak nie jest sen, mam ochotę krzyczeć na cały głos, że to cud. Czy naprawdę jestem w Makao? Wciąż nie mogę uwierzyć, że to mi się nie śni.

Po ścianie pełźnie wielki karaluch. Jego suchy chrobot mąci nocną ciszę. „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu! Kto uwierzy i przyjmie chrzest, będzie zbawiony; a kto nie uwierzy, będzie potępiony”^[9] – tak rzekł Chrystus zgromadzonym w Wieczerniku uczniom, gdy ukazał im się po Zmartwychwstaniu. Ja teraz wypełniam Jego słowa, wyobrażając sobie Jego twarz. Pismo Święte nigdzie nie mówi, jaką On miał twarz. Jak wiesz, chrześcijanie pierwszych wieków wyobrażali Go sobie w postaci pasterza. Młodzieniec w skąpej szacie, w krótkiej narzutce, jedną ręką trzyma za nogi owieczkę, którą niesie na plecach, w drugiej – laskę. U nas w kraju wszędzie można spotkać takich młodych pasterzy. Chrystus pierwszych chrześcijan miał twarz prostego pasterza. Następnie kultura Wschodu nadała jej nieco orientalny wygląd: długi nos, krótkie włosy

i czarny zarost, natomiast wielu artystów średniowiecznych malowało twarz Chrystusa pełną królewskiego dostojęstwa. Ale dla mnie dzisiejszej nocy Chrystus ma twarz z Borgo Sansepolcro. Obraz, który widziałem, będąc alumnem, nadal pozostaje żywy w mojej pamięci. Chrystus z nogą opartą o swój grób, z krzyżem w prawej ręce patrzy wprost na nas z wyrazem twarzy takim jak wtedy, gdy nad Jeziorem Tyberiadzkim trzykrotnie rozkazał: „Paś baranki moje!”^[10]. Ta silna, męska twarz zdaje się dodawać otuchy. Odczuwam miłość do niej. Twarz Chrystusa zawsze mnie urzeka, tak jak mężczyznę urzeka twarz ukochanej.

Już za pięć dni odpływamy! Zajęci jesteśmy wyłącznie przygotowaniem naszych serc, bo poza nimi żadnego innego bagażu do Japonii nie zabieramy. O Santa Marcie nie chcę już pisać! Bóg nie raczył w końcu obdarzyć naszego współbrata radością wyzdrowienia. Ale co Bóg czyni, wszystko jest dobre. Pan Najwyższy przygotowuje zapewne w tajemnicy misję, którą Santa Marta będzie wkrótce musiał wykonać.

[6] Ewangelia wg św. Mateusza 10, 23, w: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, red. Zespół Biblistów Polskich, Poznań–Warszawa 1986, wszystkie cytaty biblijne podaję za tym wydaniem.

[7] Apokalipsa św. Jana 19, 1.

[8] *Xerafins* – srebrne monety używane na portugalskich terytoriach w Azji w XVII w.

[9] Ewangelia wg św. Marka 16, 15–16.

[10] Ewangelia wg św. Jana 21, 15–17.

沈黙

II. LIST SEBASTIÃO RODRIGUESA

Pokój Pański niech będzie z Tobą! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
Jak mam opisać na ograniczonej ilości papieru to wszystko, co się nam zdarzyło w ciągu tych dwóch miesięcy?! Nie mając na dodatek pewności, że ten list dotrze do Twoich rąk. Jednak nie mogę się powstrzymać od pisania, więcej nawet, pozostawienie zapisków uważam za swój obowiązek.

Przez pierwsze osiem dni po opuszczeniu Makao cudowna wprost pogoda sprzyjała nam w podróży. Jaśniał błękit nieba, żagle były należycie wydęte, a gromady latających ryb, połyskując srebrzyście, wyskakiwały ciągle spośród fal. Obaj z Garrpem w codziennej mszy, którą odprawialiśmy na statku, składaliśmy nieustannie dzięki Panu za bezpieczną żeglugę. Pierwsza burza zaatakowała nas niespodzianie nocą 6 maja. Najpierw zerwał się wicher od południowego wschodu. Dwudziestu pięciu naszych doświadczonych marynarzy spuściło bum i podniosło mały żagiel na przednim maszcie. Około północy statek był już zupełnie zdany na łaskę wichru i fal, przez szpary z przodu kadłuba zaczęła się wlewać woda. Musieliśmy ją bez przerwy wylewać prawie przez całą noc, a szpary zatykać płótnem.

Gdy zaczynało się rozwidniać, nawałnica uspokoiła się w końcu. I marynarze, i my z Garrpem byliśmy u kresu sił. Pokładliśmy się pokotem wśród okrętowych ładunków i nieruchomym wzrokiem śledziliśmy przepływające na wschodzie czarne jak smoła, nabrzmiące deszczem chmury. Wówczas w moich wspomnieniach ożył święty Franciszek Ksawery, który przed dziewięćdziesięciu laty wybrał się w drogę do Japonii, pokonując o wiele większe trudności niż my. I on także, bez wątpienia, spoglądał w mleczone niebo o świtaniu po strasznej burzy. Nie on jeden! Przez

następnych kilkadziesiąt lat wielu misjonarzy i seminarzystów okrążyło Afrykę, mijając Indie i przepływało to morze, aby Japonii głosić Ewangelię. Biskup de Cerqueira, wielbni Organtino, Gomez, Pomelio, Lopez, Gregorio – mógłbym wyliczać bez końca! Wielu spośród nich, jak Gil de la Mata, zatoniło wraz z rozbitym okrętem, widząc Japonię na horyzoncie. Teraz już wiem, co im pozwoliło znieść te olbrzymie trudy, co rozpalało ich żarliwość. Oni wszyscy wpatrywali się w te białe jak mleko obłoki i w czarne chmury na wschodzie. Wiem już też, o czym wtedy myśleli!

Obok ładunków okrętowych usłyszeliśmy przepełniony cierpieniem głos Kichijiro. W czasie burzy ten tchórz prawie nie pomagał marynarzom. Błady jak trup trząsł się między ładunkami. Bez przerwy szeptał coś po japońsku, obok pełno było wymiocin i odchodów.

Z początku patrzyliśmy na to, podobnie jak marynarze, z pogardą. Szeptane przezeń japońskie słowa nie docierały prawie do naszych zmęczonych uszu. Lecz nagle wśród jego słów dosłyszałem coś jak „*Graça*” (łaska Boska) i „*Santa Maria*”. Ten człowiek, leżący jak świnia twarzą we własnych wymiotach, z całą pewnością wymówił dwukrotnie słowa „*Santa Maria*”. Popatrzyliśmy na siebie z Garrpem. Czy to możliwe, żeby on był jednym z naszych? On, który na statku nic prawie nie robił i wszystkim przeszkadzał. Nie, to niemożliwe! Wiara nie może w żaden sposób uczynić człowieka takim podłym tchórzem!

– Wierzysz w Boga? – zapytał Garrpe.

Kichijiro uniósł twarz, całą w wymiotach i nieczystościach, i popatrzył na nas z bolesną miną. Potem przybrał przebiegły wyraz twarzy i udając, że nie słyszał zadanego mu przed chwilą pytania, przywołał na twarz przypochlebny uśmiech. Miał brzydki zwyczaj uśmiechać się jak lizus, usiłując za wszelką cenę wkraść się w czyjeś łaski. Mniejsza o mnie, ale Garrpe brzydził się tego uśmiechu. Nawet opanowanego zawsze Santa Martę wyprowadziłby on bez wątpienia z równowagi.

– Zadałem pytanie! – podniósł głos Garrpe. – Powiedz wyraźnie: jesteś chrześcijaninem czy nie?

Kichijiro zaprzeczył stanowczym ruchem głowy. Ten i ów z chińskich marynarzy patrzył spomiędzy ładunków w naszą stronę wzrokiem, w którym

ciekawość mieszała się z pogardą. Jeżeli Kichijiro jest chrześcijaninem, dlaczego ukrywa to nawet przed nami – kapłanami? Czyżby – myślałem – ten tchórz się obawiał, że gdy wróci do Japonii, urzędnicy dowiedzą się o jego wierze z naszych ust? A jeśli istotnie wiernym naszym nie jest, to dlaczego w chwili wielkiego przerażenia wymawia słowa *Graça* czy *Santa Maria*? Tak czy inaczej, ten człowiek bardzo mnie intryguje i mam nadzieję, że w końcu rozwikłam jego tajemnicę.

Do dzisiejszego dnia nie było widać śladu stałego lądu ani wyspy. Nad nami rozpościerało się popielate niebo, tylko od czasu do czasu blade słońce oświetlało statek, a wtedy, nienawykli, przymykaliśmy powieki. Pogrążeni w smutku, widzieliśmy tylko chłodne morze szczerzące białe kły fal. Ale Bóg nas nie opuścił.

Nagle jeden z marynarzy leżących jak martwi na rufie krzyknął głośno, wskazując palcem linię widnokręgu. Nadlatywał stamtąd mały ptaszek. Przeleciał nad falami i zrzucił czarne piórko na maszt, z którego zwisały podarte przez wczorajszą burzę żagle. Po morzu pływało wiele kawałków drewna! To pozwalało przypuszczać, że lądu tylko patrzeć. Lecz radość natychmiast zmieniła się w niepokój. Bo jeśli ten ląd to Japonia, musimy uważać, by nie dostrzegła nas żadna rybacka łódeczka! Rybacy pospieszyliby zapewne donieść urzędnikom o dryfującej na morzu dżonce z cudzoziemcami.

Skuliliśmy się z Garrpem jak psy między ładunkami, żeby w ukryciu doczekać zmroku. Marynarze, podniósłszy tylko mały żagiel na przednim maszcie, starali się okrążyć skrawek ziemi w możliwie największej odległości.

Późną nocą statek, jak mógł najciszej, znów ruszył naprzód. Szczęściem nie było księżycy, nikt więc nie powinien nas dostrzec w zupełnych ciemnościach. Powoli zbliżał się ląd wysoki na około pół ligi. Zauważyłem, że wpływamy do zatoki wciśniętej między strome góry. Wtedy też ujrzeliśmy po drugiej stronie plaży skupiska wałących się domów.

Pierwszy zszedł na płyciznę Kichijiro, za nim ja i wreszcie Garrpe. Weszliśmy w zimną jeszcze morską wodę. Prawdę mówiąc, żaden z nas nie miał pojęcia, czy to Japonia, czy wyspa należąca do jakiegoś innego państwa.

Schowani w wądole na przybrzeżnej plaży, czekaliśmy, aż Kichijiro rozejrzy się

w sytuacji. Słyszając odgłos kroków na piasku tuż koło nas, chwyciliśmy się za mokre ubrania i wstrzymaliśmy oddech. To nadchodziła staruszka w chustce na głowie i z koszykiem na plecach. Przeszła, nie zauważywszy nas. Kroki kobiety ucichły w oddali i znów nastąpiła cisza.

– Coś długo nie wraca ten tchórz! Uciekł gdzieś! – powiedział Garrpe bliski łez.

Ja zaś pomyślałem, że może być jeszcze gorzej. Kichijiro nie uciekł. Jak Judasz poszedł nas wydać. Zaraz pokażą się tu razem z nim urzędnicy.

– „Judasz, otrzymawszy kohortę oraz strażników od arcykapłanów i faryzeuszów, przybył tam z latarniami, pochodniami i bronią – Garrpe zacytował szeptem słowa Pisma. – A Chrystus, wiedząc o wszystkim, co miało na Niego przyjść, wyszedł naprzeciw”^[11].

Tak, musieliśmy w tej chwili pomyśleć o Panu, który owej nocy w Getsemani całego siebie i swój los złożył ludziom w ofierze. Ale dla mnie trwało to zbyt długo, serce we mnie zamierało. Przyznaję szczerze: bałem się. Pot spływał mi z czoła do oczu. W uszach dudniły mi kroki kohorty żołnierzy. Płomień pochodni świecił złowieszczo w ciemności i zbliżał się ku nam. Zobaczyliśmy brzydką twarz należącą do małego staruszka: w świetle pochodni miała brunatny odcień. Przy nim stało kilkoro młodych ludzi i spoglądało ku nam w dół zdziwionym wzrokiem.

– *Padre, padre!* – szepnął starzec, robiąc znak krzyża. W jego głosie brzmiała życzliwość. Nawet w snach nie marzyliśmy, że teraz nam tu zabrzmie w uszach bliskie sercu portugalskie słowo *padre* – ojciec duchowny! Oczywiście starzec nie znał poza tym jednym żadnych słów w naszym języku. Ale przeżegnał się na naszych oczach znakiem krzyża – naszym wspólnym znakiem. To byli japońscy wierni. Kręciło mi się w głowie, z trudem stanąłem wreszcie na piasku. Oto moje pierwsze kroki na japońskiej ziemi! Poczułem to bardzo wyraźnie.

Kichijiro krył się z tyłu za wszystkimi z tym swoim uniżonym, tchórzliwym uśmiechem. Zupełnie jak szczur, gotów uciec w każdej chwili, gdyby coś się stało. Zagryzłem wargi ze wstydu. Nasz Pan zawsze powierzał ludziom swój los, bo ich kochał. A ja byłem podejrzliwy wobec człowieka imieniem Kichijiro.

– Chodźmy już, jeśli łaska! – przynaglał starzec. – *Gentio* nie mogą nas

zobaczyć.

Ci wierni znali też nasze słowo *gentio* – poganie. Tych słów uczyło ich z pewnością od czasów świętego Franciszka Ksawerego wielu misjonarzy – naszych poprzedników. Ile trudu włożyli, by to osiągnąć! Musieli wbijać motyki w jałową glebę, użyźniać ją. Ale zasiane ziarno już kiełkuje, radując oczy, a moim i Garrpego posłannictwem niech będzie dbanie o to, by wydało plon.

Tej nocy ukryli nas w swojej niziutkiej chacie. Obok była obórka i zapach jej rozchodził się dokoła. Powiedzieli nam jednak, że nawet tu nie jesteśmy bezpieczni. Jeśli poganie nas wykryją, otrzymają trzysta sztuk srebra, dlatego też nigdy nikomu nie można ufać.

Ciekawe, w jaki sposób Kichijiro zdołał tak szybko trafić do wiernych?

Nazajutrz jeszcze przed świtem ruszyliśmy z Garrpem w chłopskim przebraniu z poznanymi wczoraj młodymi ludźmi ku wznoszącym się za wsią górcom. Wierni postanowili ukryć nas w szopie, gdzie będziemy nieco bezpieczniejsi. We mgle nie było widać ani lasu, ani drogi, a po pewnym czasie zaczęło mżyć.

W składziku na węgiel wyjaśniono nam po raz pierwszy, gdzie właściwie przybyliśmy. Ta rybacka osada nazywa się Tomogi i jest oddalona o piętnaście lig od Nagasaki. Nie ma nawet dwustu domów, ale prawie wszyscy mieszkańcy byli kiedyś ochrzczeni.

– A teraz?

– *Padre!* – towarzyszący nam młody człowiek imieniem Mokichi obrócił się do Garrpego. – Teraz nam nic nie wolno! Pozabijają nas, jak się dowiedzą, że jesteśmy chrześcijanami!

Nie sposób opisać ich radości, gdy daliśmy im małe krzyżyki, które mieliśmy na szyi. Obaj z szacunkiem skłonili się do ziemi, otrzymane krzyżyki przycisnęli do czoła i przez dłuższą chwilę modlili się.

– Macie kapłana?

Mokichi z krzyżykiem w zaciśniętej ręce zaprzeczył ruchem głowy.

– A zakonnika?

Okazało się, że ta grupa ludzi już od sześciu lat nie tylko nie widziała kapłana,

co jest zrozumiałe, ale nawet żadnego zakonnika. Przed sześciu laty ksiądz Japończyk Miguel Matsuda i jezuita Mateus de Couros utrzymywali potajemnie kontakty z okolicznymi wsiami i osadami, ale w październiku 1633 obaj zmarli z wycieńczenia.

– Więc jak radziliście sobie przez tych sześć lat? Co z chrztem, co z innymi sakramentami? – spytał Garrpe.

Nic jeszcze nie wstrząsnęło mną tak głęboko jak to, co usłyszeliśmy w odpowiedzi od Mokichiego i jego towarzysza. Opisuję ci, jak obecnie rzeczy wyglądają, i proszę, przekaż to koniecznie naszemu generałowi. Nie, nie tylko generałowi, niech się o tym dowie cały Kościół katolicki!

„Inne w końcu padły na ziemię żyzną, wzeszły, wyrosły i dały plon: trzydziestokrotny, sześćdziesięciokrotny i stokrotny”^[12] – przypominam sobie słowa Ewangelii świętego Marka. Bez kapłanów i braci zakonnych, cierpiąc prześladowania ze strony urzędników, stworzyli jednak niewidzialną, tajną organizację.

We wsi Tomogi wygląda ona tak: w zastępstwie kapłana działa senior wybrany spośród wiernych. Opisuję tu wszystko tak, jak mi opowiedział Mokichi.

Właśnie starzec, który nas wczoraj witał na wybrzeżu, nazywany jest *jiisama* – senior. Jest najważniejszą osobą we wspólnocie i żyje w celibacie, a kiedy we wsi rodzi się dziecko, udziela mu chrztu. Seniorowi podlegają tak zwani *tossama* – ojcowie, którzy potajemnie uczą wiernych modlitw i prawd wiary. Wreszcie ogół mieszkańców to *mideshi* – uczniowie, którzy ze wszystkich sił starają się podtrzymać przygasający płomień wiary.

– Tak jest zapewne nie tylko w Tomogi? – spytałem, nabrawszy otuchy. – Utrzymujecie pewnie kontakty z innymi wsiami?

Mokichi i tym razem pokręcił głową. Zrozumiałem później, że w tym kraju, gdzie tak wiele znaczą więzy krwi, mieszkańcy wsi są ze sobą mocno związani, zupełnie jak jedna rodzina, natomiast w stosunku do innych osad zdarza im się żywić nawet uczucie wrogości, jak do obcego plemienia.

– *Padre!* Ufamy tylko ludziom z naszej własnej wsi! Gdyby ludzie z innych osad

dowiedzieli się, co się u nas dzieje, donieśliby zarządcy. Urzędowi szpiedzy jak dzień długi krążą od wioski do wioski!

Ja jednak poprosiłem Mokichiego, by spróbowali odszukać wiernych z sąsiednich osad i wsi. Trzeba ich jak najszybciej zawiadomić, że kapłani wrócili z krzyżem na tę porzuconą, zaniedbaną ziemię!

Od następnego dnia nasze życie wygląda tak: o północy odprawiamy mszę, zupełnie jak w epoce katakumb, a potem czekamy w ukryciu na wiernych, którzy o świcie przychodzą do nas na górę. Codziennie są tu dwie osoby, które przynoszą nam trochę jedzenia. Słuchamy ich spowiedzi, uczymy modlitw i prawd wiary. W dzień zamykamy mocno drzwi szopy i staramy się nie robić najmniejszego hałasu, aby nie przyciągnąć uwagi kogoś, kto przypadkiem przechodziłby obok. Nie wolno nam oczywiście palić ognia, żeby dym nas nie zdradził.

Być może na wyspach i we wsiach na zachód od Tomogi są jeszcze chrześcijanie, ale nam w obecnej sytuacji nawet na dwór nie wolno wychodzić.


Muszę jednak szybko znaleźć sposób na odszukanie wszystkich tych porzuconych, osieroconych trzódek wiernych.

[11] Ewangelia wg św. Jana 18, 4.

[12] Ewangelia wg św. Marka 4, 8.

沈黙

III. LIST SEBASTIÃO RODRIGUESA

 W czerwcu rozpoczyna się tu podobno pora deszczowa. Deszcz pada, jak słyszę, ponad miesiąc bez przerwy. Z nastaniem pory deszczowej policjanci staną się chyba mniej gorliwi w swych poszukiwaniach, a ja zamierzam to wykorzystać i wędrując po okolicy, odnaleźć ukrywających się jeszcze chrześcijan. Chcę jak najszybciej dać im znać, że nie są jeszcze całkiem sami.

Nie myślałem dawniej, że kapłaństwo może do tego stopnia nadać życiu sens. Statek bez map na wzburzonym morzu. Tak chyba można by określić obecny stan ducha japońskich wiernych. Pozbawieni choćby jednego kapłana czy brata zakonnego, który by ich umacniał i dodawał otuchy, błądzą w ciemnościach, tracąc stopniowo nadzieję.

Wczoraj też padało. Rzecz jasna, to jeszcze nie początek pory deszczowej, jednak ponury szum rozlegał się przez cały dzień w otaczającym komórkę lesie mieszanym. Od czasu do czasu zatrzęsło się drzewo, strącając z siebie krople. Za każdym razem przypadaliśmy obaj z Garrpem do drzwi i przez szpary wyglądaliśmy na dwór. A przekonawszy się, że to tylko wiatr porusza drzewami, odczuwaliśmy pewien rodzaj irytacji. Jak długo jeszcze mamy tak żyć? Staliśmy się obaj dziwnie rozdrażnieni, z powodu najmniejszego uchybienia patrzymy jeden na drugiego surowym wzrokiem. Nerwy mamy przez cały czas napięte jak cięciwa łuku.

Podam Ci nieco więcej szczegółów dotyczących chrześcijan z Tomogi. Są to biedni wieśniacy, którzy w ciężkim trudzie uprawiają zboże i pataty na małych suchych poletkach. Pola nawodnionego pod uprawę ryżu nie posiada nikt. Gdy widzę ich uprawy sięgające aż do połowy zbocza góry od strony morza, to zamiast odczuwać podziw dla ich pracowitości, myślę o tym, jak ciężkie i nędzne jest ich

życie. Do tego jeszcze naczelnik Nagasaki nałożył na nich nieludzkie podatki. Od dawien dawna ci chłopci harowali jak woły i umierali jak te zwierzęta. Jeśli nasza religia wsiąka w tutejszą społeczność wieśniaczą jak woda, to wyłącznie dlatego, że ci biedacy po raz pierwszy w życiu doświadczyli czyjejś życzliwości. Spotkali kogoś, kto traktuje ich jak ludzi. Wzruszyła ich dobroć kapłanów.

Nie poznałem jeszcze wszystkich wiernych z Tomogi, gdyż z obawy przed urzędowymi szpiegami odwiedzają nas nocą po dwie tylko osoby. Mimo woli uśmiechamy się, gdy usta tych nieuczonych wieśniaków szepczą po naszymu *Deus*, *Anjo* czy *Beato*. Słowo spowiedź *confissão* wypowiadają *konhisan*, na niebo mówią *paraiso*, na piekło – *inheruno*. Mamy trudności, bo nie możemy zapamiętać ich imion, na dodatek wszystkie twarze wyglądają tak samo. Mylimy Ichizo z Seisuke, a niewiastę O-Matsu z Seki.

O Mokichim już pisałem, napiszę o kolejnych dwojgu wiernych.

Ichizo to pięćdziesięcioletni mężczyzna, jeden z tych, którzy przychodzą nocą na górę. Wygląda, jakby był ciągle zdenerwowany. Ani w czasie mszy, ani później prawie nie otwiera ust. Lecz naprawdę wcale się nie złości, taką ma po prostu twarz. Interesuje się wszystkim, a jego otoczone siatką zmarszczek oczy śledzą z uwagą każdy ruch, każdy gest mój i Garrpego.

O-Matsu to starsza siostra Ichizo. Jest wdową, mąż jej zmarł bardzo dawno temu. Razem z bratanicą Sen już dwa razy przynosiła nam jedzenie w koszyku na plecach. Ciekawa jest wszystkiego ogromnie tak samo jak jej brat. Kiedy się z Garrpem pożywiamy, obie z Sen nie spuszczają z nas wzroku. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak proste jest to jadlo – kilka pieczonych patatów i woda. Gdy je pochłaniamy, kobiety uśmiechają się z zadowoleniem.

– Czy to takie niezwykle – powiedział pewnego dnia Garrpe, tracąc cierpliwość – że jemy?

Kobiety nie zrozumiały, co mówił, i śmiały się, marszcząc twarze jak papier.

Podam ci jeszcze trochę szczegółów na temat tajnej wspólnoty wiernych. Wiesz już, że istnieją funkcje seniora i ojców, że senior udziela chrztu, a ojcowie uczą wiernych modlitw i prawd wiary. Do ich obowiązków należy także prowadzenie

kalendarza i ogłaszanie wszystkim, kiedy wypadają święta kościelne. Z tego co mówią, wynika, że obchodzą i Boże Narodzenie, i Dzień Męki Pańskiej, i święto Zmartwychwstania, wszystko według wskazówek ojców. Oczywiście bez kapłana mszy odprawiać nie mogą, więc potajemnie wystawiają tylko w jednym z domów stary święty obraz, po czym odmawiają modlitwy. Recytują po łacinie *Pater noster* i *Ave Maria*. Modlitwy przeplatają przypadkową paplaniną. Nie wiedzą, czy nie wpadną z nagłą policjanci, są więc przygotowani, aby móc w takim wypadku powiedzieć, że to zwykłe sąsiedzkie spotkanie.

Po buncie w Shimabarze feudalny pan tych ziem rozpoczął systematyczne poszukiwania ukrywających się chrześcijan. Policjanci obchodzą raz na dzień wszystkie osady i dokonują inspekcji, a niekiedy zdarza się nawet, że znienacka wpadają do domów.

Od zeszłego roku na przykład obowiązuje zakaz stawiania jakichkolwiek płotów i ogrodzeń między sąsiadującymi ze sobą domostwami. Chodzi o to, aby ludzie mogli sobie wzajemnie zaglądać do domów i natychmiast donosić po cichu władzom, gdyby ich sąsiad zachowywał się podejrzanie. Temu, kto wskaże miejsce pobytu nas, kapłanów, wypłaca się trzysta sztuk srebra. Nagroda za wykrycie brata zakonnego wynosi dwieście sztuk, a za zwykłego wiernego – sto. Pomyśl tylko, jaką wielką pokusę stanowią takie pieniądze dla żyjących w skrajnej nędzy wieśniaków! To dlatego moi wierni nie ufają ludziom z innych wsi. Pisząc o Mokichim, Ichizo i tym starcu, wspominałem, że mają twarze bez wyrazu, niemal jak lalki, ale przyczynę tego dopiero teraz jasno pojmuję. Im nie wolno pokazywać po sobie radości ani smutku. Długie życie w ukryciu uczyniło z twarzy tych ludzi maski. Jakież to bolesne i smutne! Czasem przestaję już rozumieć, czemu Bóg zsyła na swoich wiernych takie cierpienia.

W następnym liście może uda mi się napisać o poszukiwanym przez nas ojcu Ferreirze i o Inoue. (Pamiętasz? To ten, którego w Makao ojciec Valignano nazwał najgroźniejszym człowiekiem w Japonii).

Zechciej przekazać wielebnemu de Sanctis, zastępcy przeora, że pamiętam o nim w modlitwie i zawsze żywię do niego miłość i szacunek.

Dziś znowu deszcz. Zagrzebaliśmy się z Garrpem w słomie służącej nam za posłanie i w ciemnościach drapaliśmy się po całym cieple. Nie możemy ostatnio spać, bo po szyi i plecach łązi nam robactwo. Japońskie wszy to wredna zaraza: w dzień siedzi spokojnie, a gdy nadchodzi noc, bezczelnie po nas spaceruje.

Taka deszczowa noc, gdy nikt nie przychodzi tu na górę, to odpoczynek nie tylko dla ciała, ale i dla nerwów codziennie napiętych do ostatnich granic. Słuchając szmeru drżących liści i gałęzi, myślałem o wielebnym Ferreirze.

Wieśniacy z Tomogi zupełnie nic o nim nie wiedzą. A przecież nasz mentor aż do roku 1633 ukrywał się i działał w odległym stąd o 15 lig Nagasaki. W tym to roku właśnie urwała się, jakby ktoś przeciął nić, jego korespondencja z rezydującym w Makao wielebnym Valignano. Ciekawe, czy żyje? Może, jak głosi plotka, wyrzekł się tego, czemu poświęcił całe dotychczasowe życie i płaszczy się przed poganami? Gdzie jest, jeśli żyje, i co czuje teraz, słuchając tego jednostajnego plusku deszczu?

– A gdyby tak pójść do Nagasaki? – przyszło mi do głowy i natychmiast zwierzyłem się z tej myśli pochłoniętemu walką z wszami Garrpemu. – Może udałoby się odszukać wiernych, którzy znali Ferreirę?

Garrpe przestał się kręcić w słomie i odchrząknął parę razy.

– Jeśli nas złapią, będzie koniec. Tu nie idzie tylko o nas dwóch. Zagrożeń będą też tutejsi chłopcy, którzy nas ukrywają. A nade wszystko nie wolno nam zapomnieć, że jesteśmy w tym kraju ostatnim oparciem dla misji!

Westchnąłem głęboko. Czułem, że podniósł się w słomie i mi się przypatruje. Wyobraziłem sobie po kolei twarze Mokichiego, Ichizo i innych młodzieńców z wioski. Czy któryś z nich nie poszedłby zamiast nas do Nagasaki? Nie, to niemożliwe! Mają rodziny, które muszą utrzymywać. Co innego my, księża, bez żon, bez dzieci!

– Może poprosimy Kichijiro?

Garrpe zaśmiał się na to z cicha. Ja też przypomniałem sobie tego tchórza, jak leżał na statku z twarzą w nieczystościach, jak składając ręce, błagał marynarzy o przebaczenie.

– Nie mów głupstw! – powiedział mój współtowarzysz. – Czyż na nim można

polegać?

Później obaj długo milczeliśmy. Krople deszczu stukały o dach szopy zupełnie jak piasek miarowo przesypujący się w klepsydrze. Tu noc i samotność splatają się w jedno.

– Czy nas... też kiedyś schwytają jak ojca Ferreirę?

Garrpe znów się roześmiał.

– Wszy mi łożą po plecach! To mnie teraz bardziej martwi!

Od przybycia do Japonii jest cały czas w radosnym nastroju. Może wkłada maskę wesołości, aby dodać otuchy i mnie, i sobie samemu. A tak już zupełnie szczerze, to ja też nie sądzę, że nas schwytają. Człowiek to dziwna istota, sprawia wrażenie, jakby w głębi duszy był przekonany, że inni może nie, ale on się na pewno wymknie każdemu niebezpieczeństwu. Zupełnie nie potrafię sobie wyobrazić momentu pojmania mnie przez Japończyków, choć w deszczowe dni doskonale potrafię wyobrazić sobie oświetlone bladymi promieniami słońca wzgórza hen, daleko. Mieszkamy wprawdzie w szopie, ale wydaje nam się, że zawsze będziemy tu bezpieczni. To wszystko jakiś absurd.

Trzydniowy deszcz ustał wreszcie. Wiedzieliśmy to na pewno, bo przez szparę w drzwiach szopy wcisnął się do środka jasny promień.

– Może wyjdziemy trochę na dwór? – spytałem, a Garrpe z radosnym uśmiechem skinął głową.

Ledwie trochę pchnęliśmy mokre drzwi, a z lasu dobiegł nas ogłuszający śpiew ptaków. Nie wiedziałem do dziś, że można być aż tak szczęśliwym!

Usiedliśmy w pobliżu szopy i obaj z Garrpem zdjęliśmy ubrania. W szwach, niby biały kurz, przytańczyły się wszy. Rozgniataliśmy kamieniem jedną po drugiej z rozkoszą nie do opisanego. Taką zapewne radość odczuwają policjanci, ilekroć zabijają chrześcijanina.

Po lesie płynęły jeszcze strzępy mgły, ale prześwitywały już przez nią błękitne niebo i morze w oddali. Jakaś wioska, pewnie Tomogi, niby ostrzyga przywarła do brzegu.

Porzuciliśmy zabijanie wszy i zaczęliśmy się wpatrywać w świat, w którym żyją

ludzie. Byliśmy spragnieni tego widoku po długim przebywaniu w zamknięciu.

– I co? Nic się nie dzieje! – Garrpe w doskonałym humorze wystawił na słońce nagę, świecąca rzyżym włosom pierś i wyszczerzył w uśmiechu białe zęby.

– Chyba przesadzamy z tym strachem. Od dziś będziemy sobie pozwalać czasem na odrobinę przyjemności, jaką jest siedzenie w słońcu!

Dni mijały pogodne, jeden za drugim, a my coraz śmielej i śmielej zapuszczaliśmy się już nawet w las na zboczu, pełen zapachu młodych liści, wilgoci i błota. Nasz składzik na węgiel Garrpe nazywał klasztorem. Gdy zrobiliśmy już niezły spacer, rozśmieszał mnie, mówiąc:

– Wracajmy do klasztoru! Tam zjemy sobie dobrze okraszoną zupę ze świeżym chlebem. Tylko przed Japończykami cicho sza!

Wspominaliśmy życie, jakie wiedliśmy razem z Tobą w klasztorze Świętego Ksawerego w Lizbonie. Tutaj oczywiście nie ma buteleczki wina ani wołowiny. Nasze jedzenie to tylko pieczone pataty i gotowane jarzyny, które przynoszą chłopci z Tomogi. Ale wierzyłem mocno całym sercem, że Bóg ma nas w swej opiece, więc jesteśmy zupełnie bezpieczni.

Pewnego dnia gawędziliśmy jak zwykle, siedząc na kamieniach nieopodal szopy. Zachodzące słońce prześwitywało między drzewami. Wielki ptak poleciał ku wzgórzom za lasem, rysując czarny łuk na ciągle jeszcze jasnym niebie.

– Ktoś na nas patrzy! – powiedział nagle przenikliwym szeptem Garrpe. – Nie ruszajmy się! Siedzmy, tak jak siedzimy!

Na wzgórzu za lasem, nad którym przed chwilą przeleciał ptak, w słabych już promieniach słońca stali dwaj ludzie i patrzyli w naszą stronę. Jasne było, że nie są to znajomi nam chłopci z Tomogi. Siedzieliśmy sztywno jak kamienie, modląc się, aby nasze twarze nie były zbyt widoczne w zachodzącym słońcu.

– Hej, wy tam, kim jesteście? – zakrzyknęli ku nam ludzie z wierzchołka wzgórza. – Kim jesteście?

Zastanawialiśmy się, czy im odpowiedzieć, jednak nie odezwaliśmy się słowem, choć to mogło im się wydać jeszcze bardziej podejrzane. Byliśmy przerażeni.

– Schodzą ze wzgórza. Idą tu – powiedział, wciąż siedząc nieruchomo na

kamieniu, półgłosem Garrpe. – Nie, odchodzą!

Zobaczyliśmy, jak ich małe postacie schodzą do wąwozu i znikają. Pozostała jednak niepewność, czy i jak dokładnie nas widzieli mężczyźni ze wzgórza oświetlonego zachodzącym słońcem?

Nocą przyszedł na górę Ichizo, przyprowadzając ze sobą jednego z ojców imieniem Magoichi. Gdyśmy im opowiadali, co się zdarzyło dzisiejszego wieczoru, Ichizo wpatrywał się swymi wąskimi oczkami w jeden punkt na podłodze chaty. Wkrótce jednak wstał w milczeniu, powiedział coś do Magoichiego i obaj zaczęli zrywać deski podłogi. Ćmy wirowały wokół kaganka z rybim tłuszczem. Japończycy chwycili wiszące na drzwiach motyki i zaczęli ryć ziemię. Na ścianach tańczyły ich cienie, wymachując motykami. Wykopali dół tak obszerny, że mógł pomieścić nas obu, jego dno wysłali słomą, a z wierzchu przykryli deskami. Odtąd ta jama będzie naszą kryjówką w razie niebezpieczeństwa.

Od tego dnia byliśmy ze wszystkim ostrożni, staraliśmy się już więcej nie pokazywać na dworze i nie palić światła w nocy.

Po pięciu dniach znów się coś wydarzyło. Tego wieczora do późna w obecności dwóch mężczyzn z grupy ojców chrzciliśmy potajemnie niemowlę, które przyniosła O-Matsu. Był to pierwszy chrzest, jakiego udzielaliśmy w Japonii. W naszej szopie nie było oczywiście świec ani muzyki, a za chrzcielnicę posłużyła nam chłopska czarka na herbatę, mała i wyszczerbiona. Było to nasze jedyne naczynie liturgiczne. Jednak nigdy żaden obrzęd w żadnym wielkim kościele nie sprawił mi takiej radości, jakiej doznałem tu, w nędznej budzie, gdy O-Matsu uspokajała płaczące dziecko, jeden z mężczyzn stał za drzwiami na straży, a ja słuchałem modlitw, które Garrpe odmawiał uroczystym głosem. To szczęście, którego zakosztować może jedynie misjonarz w obcym kraju. Dziecko, gdy poczuło wodę na czole, podniosło krzyk, marszcząc całą twarzyczkę. Mała główka, wąskie oczka. Kiedyś będzie miało taką samą chłopską twarz jak Mokichi, jak Ichizo. I tak samo jak jego ojciec, dziad i pradziad będzie kiedyś harować jak wół na tym nędznym skrawku ziemi leżącej nad ciemnym morzem, a potem umrze jak zwierzę. Lecz Chrystus nie umarł za pięknych i dobrych. Łatwo jest umierać za pięknych i dobrych, trudno za nędznych

i znieprawionych – zrozumiałem to jasno w tamtej chwili.

Po ich odejściu, zmęczeni, zagrzebaliśmy się w słomie. W chacie pachniało jeszcze rybim tłuszczem, który przynieśli mężczyźni. Wszy znów zaczęły harcować po naszych plecach i udach. Jak długo mogłem spać? Zdrzemnąłem się chwilę, ale z powodu głośnego i błogiego jak zwykle chrapania Garrpego zaraz się obudziłem. Wydało mi się, że ktoś raz po raz delikatnie porusza drzwiami. Z początku myślałem, że to może wiatr wiejący od strony wąwozu między gałęziami drzew dociera aż tutaj i tłucze o drzwi. Wygrzebałem się ze słomy i w ciemności namacałem ostrożnie deski podłogi. Pod nimi była przecież kryjówka wykopana przez Ichizo.

Szarpanie drzwiami ustało i dał się słyszeć niski, smutny głos mężczyzny:

– *Padre! Padre!*

Nie było znaku rozpoznawczego mieszkańców Tomogi. Umówiliśmy się, że będą stukać trzy razy lekko w drzwi. Obudził się wreszcie i Garrpe. Leżał bez ruchu, nadśluchiwał.

– *Padre!* – powtórzył smutny głos. – Nie bójcie się nas, nie trzeba.

Milczeliśmy w ciemności, wstrzymując oddech. Co za głupi policjant! Myśli, że damy się złapać w te sidła!

– Nie wierzycie nam? Jestem chłopem z wioski Fukazawa. My już długo szukamy was, *padre*. Chcemy się wypowiedzieć!

Wobec naszego milczenia przybysz zrezygnował widać, bo ustało szarpanie drzwiami i smutno zabrzmiały oddalające się kroki. Dotknąłem ręką drzwi, zamierzałem wyjść. Nie przejmowałem się, że to mogą być policjanci, że to może być pułapka. W głębi mego serca rozległ się bowiem mocny głos: „Co robisz, to mogą być wierni”. Jestem kapłanem, narodziłem się po to, by służyć ludziom. Wstyd mnie ogarnął, że z powodu fizycznego strachu zaniedbuję tę służbę.

– Siedź! – skarcił mnie Garrpe. – Siedź, głupcze!

– Możesz nazywać mnie głupcem! Ja wcale nie z obowiązku.

Otworzyłem drzwi. Światło księżyca było tak jasne tej nocy, że las i ziemia unosiły się w srebrnej poświacie. Dwaj mężczyźni w żebraczych łachmanach skulili

się jak psy. Zwrócili się ku mnie, mówiąc:

– Czy uwierzycie nam, *padre*?

Zauważyłem, że jeden z nich ma zakrwawioną nogę. Pewnie zranił się o ścięty pniak, gdy wchodzili pod górę. Obaj wprost padali ze zmęczenia.

Nic dziwnego. Dotarli tu z odległych o dwadzieścia lig wysp Goto, kryjąc się po drodze przed wzrokiem urzędników.

– Jakiś czas już jesteśmy w tych górach. Pięć dni temu schowaliśmy się na tamtym wzgórzu i obserwowaliśmy was.

Mężczyzna pokazał palcem wzgórze na wprost chaty. To oni się nam przypatrywali tamtego dnia o zachodzie.

Wprowadziłem ich do szopy i dałem im suszonych patatów, które przyniósł nam Ichizo. Wkładali je do ust obiema rękami i pożerali jak zwierzęta. Zrozumielśmy, że przez ostatnie dni prawie nic nie jedli.

Wreszcie zaczęliśmy ich wypytywać. Najbardziej chcieliśmy się dowiedzieć, kto powiadomił ich o naszym istnieniu.

– Powiedział nam jeden z naszych, chrześcijanin Kichijiro.

– Kichijiro?

– Tak, *padre*.

Przy świetle kaganka siedzieli skuleni jak zwierzątka, jedząc pataty. Jeden z nich nie miał prawie zębów, ale szczyrzył dwa ostatnie, śmiejąc się jak dziecko. Drugi był sztywny, krępowało go widocznie towarzystwo cudzoziemskich kapłanów.

– Przecież Kichijiro nie jest naszym wyznawcą.

– Ależ jest, *padre*! Tak, Kichijiro jest chrześcijaninem.

Odpowiedź trochę nas zaskoczyła, ale przecież podejrzewaliśmy do pewnego stopnia, że może tak być.

Słowo po słowie dowiedzieliśmy się prawdy. Kichijiro jest chrześcijaninem, który odstąpił od wiary. Przed ośmiu laty przeprowadzono przeciwko niemu i jego rodzeństwu śledztwo, podejrzewając ich o wyznawanie chrześcijaństwa. Oskarżył ich pewien donosiciel nienawidzący całej rodziny. Starszy brat i młodsza siostra odmówili, gdy kazano im podeptać wizerunek Pana, i tylko Kichijiro, ledwie mu

urzędnik trochę pogroził, już zaczął krzyczeć, że wyrzeka się wiary. Siostrę i brata wtrącono zaraz do więzienia, a jego zwolniono, ale do wsi już nie wrócił. Podobno byli tacy, co widzieli tego tchórze wśród tłumów otaczających miejsce kaźni w dniu spalenia skazańców. Jego twarz cała w błocie niby pysk bezpańskiego psa znikła jednak szybko, bo nie mógł patrzeć na męczeństwo brata i siostry.

Przynieśli nam jeszcze inne zadziwiające wieści. W ich osadzie Odomari jeszcze i teraz cała ludność wyznaje chrześcijaństwo, kryjąc się przed okiem urzędników. I nie tylko w jednym Odomari! W sąsiednich wsiach i osadach: Miyahara, Dozaki i Egami też ukrywa się wielu ludzi, którzy na zewnątrz udają buddystów, ale są chrześcijanami. Wszyscy oni od lat już czekają, aż pewnego dnia nasi kapłani z dalekich mórz znów im przyniosą pomoc i błogosławieństwo.

– *Padre*, my już nie mamy mszy ani spowiedzi. Odmawiamy tylko wszyscy *Oratio* – powiedział ten z zakrwawioną nogą.

– Prosimy, żeby *padre* zechcieli przyjechać do naszej wsi! Czekamy dnia, kiedy *padre* przyjadą, ucząc nasze małe dzieci *Oratio*.

Mężczyzna z resztkami żółtych zębów otworzył usta i kiwał głową. Rybi tłuszcz skwierczał jak prażony groch. Jakże moglibyśmy z Garrpem odmówić tej prośbie! Byliśmy dotąd zbyt tchórzliwi! W porównaniu z tymi japońskimi chłopami, którzy do nas dotarli, nocując w górach pod gołym niebem i raniąc sobie nogi, byliśmy bardzo tchórzliwi.

Rozjaśniało się, powietrze nabrało mlecznobiałej barwy. Do szopy docierał poranny chłód. Goście mimo gorącej zachęty z naszej strony nie chcieli zagrzebać się w słomie i zasnęli na siedząco, obejmując rękoma kolana. Wkrótce przez szpary między deskami wcisnęło się światło poranka.

Nazajutrz zasięgnęliśmy u wiernych z Tomogi rady w sprawie jazdy na Goto. Ustaliliśmy w końcu, że Garrpe zostanie tu, a ja pojedę na jakieś pięć dni spotkać się z wiernymi z Goto. Tutejsi nie przyjęli dobrze tej wiadomości, a byli nawet tacy, którzy wietrzyli w tym podstęp.

W umówionym dniu późnym wieczorem tamci przybyli po mnie po kryjomu na brzeg tuż obok Tomogi. Mokichi i jeszcze jeden tutejszy dla bezpieczeństwa

odprowadzili mnie i wsadzili do łodzi; byłem przebrany za japońskiego chłopca. Tylko miarowy skrzyp wiosła rozchodził się po ciemnym w bezksiężycową noc morzu. Wioślarz nie odzywał się ani słowem. Na pełnym morzu fale zaczęły mocno kołysać łodzią.

Nagle ogarnął mnie lęk. Obudziło się we mnie podejrzenie: a jeśli ten człowiek ma mnie sprzedać, tak jak się obawiali mieszkańcy Tomogi? Dlaczego nie przyjechał z nim szczerbaty ani ten z poranioną nogą? W takich momentach twarz Japończyka, bez wyrazu, jak oblicze Buddy, każe spodziewać się najgorszego. Skulony na dziobie łodzi drżałem ze strachu, nie z zimna. A jednak musisz jechać! – przekonywałem siebie.

Dokoła nas rozciągał się czarny przestwór nocnego morza. Na niebie ani jednej gwiazdy. Po dwu godzinach w mrokach nocy wyczułem przesuwający się z wolna za burtą łodzi czarny kształt wyspy. Wioślarz odezwał się w końcu i objaśnił, że to wyspa Kabashima i że Goto jest już blisko.

Gdy przybiliśmy do brzegu, kręciło mi się w głowie z powodu choroby morskiej, zmęczenia i napiętych nerwów. Wśród trzech twarzy oczekujących mnie rybaków dostrzegłem dawno niewidziany unizony uśmiech Kichijiro. Światła we wsi pogaszono, tylko psy wyły jak na pożar.

Jakżeż chłopcy i rybacy z Goto czekali na kapłana! Było tak, jak opowiadał szczerbaty mężczyzna. Nie wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Nawet spać nie mam czasu! Jedni po drugich przychodzą do domu, gdzie się ukrywam, zupełnie nie zważając na to, że chrześcijaństwo jest zakazane. Jak dzień długi chrzczę dzieci i spowiadam dorosłych, a mimo to ludzi nie ubywa. Rzucają się na mnie tak łąpczywie jak karawana, która po długiej wędrówce przez pustynię dotarła wreszcie do oazy, rzuca się na wodę. Tłoczą się w zamienionej na kaplicę, walącej się chłopskiej chacie i wyznają swoje grzechy ustami, z których tak czuć, że zbiera mi się na wymioty. Przyczółgują się chorzy.

– *Padre*, słyszycie mnie?

– *Padre*, słyszycie? *Padre!*

I dziwna rzecz, wśród nich uwija się zadowolony z siebie Kichijiro, zupełnie

inny niż poprzednio, wychwalany niby bohater przez ludność wioski. Nic dziwnego, że się chełpi, bo po prawdzie gdyby nie on, ja – kapłan nigdy bym tutaj nie trafił. Zdaje się, że z wdzięczności zapomniano mu i przeszłość, to, że się już raz wyrzekł wiary. Możliwe, że ten pijaczyna z dumą opowiadał wiernym o Makao i długiej morskiej podróży, a kto wie, czy nie twierdził, że to on własnymi siłami sprowadził do Japonii dwóch kapłanów.

Łajac go nie mam jednak zamiaru. Gadanina Kichijiro mnie drażni, ale prawdą jest, że dzięki niemu doświadczyłem wdzięczności tych ludzi. Namówiłem go do spowiedzi i wyznał mi szczerze wszystkie swoje dawne winy.

Kazałem mu pamiętać zawsze o tych słowach Pana: „Do każdego więc, który się przyzna do Mnie przed ludźmi, przyznam się i Ja przed moim Ojcem, który jest w niebie. Lecz kto się mnie zaprze przed ludźmi, tego zaprę się i Ja przed moim Ojcem, który jest w niebie”^[13].

Gdy mu tak mówiłem, Kichijiro skulił się jak zbity pies i bił się rękoma po głowie. Urodził się tchórzem, nie mógł więc posiadać czegoś takiego jak odwaga. A przy tym ma dobry charakter. Powiedziałem mu jednak surowo: „Słabości woli i tchórzostwa, które każe ci się trząść w obliczu najmniejszej przemocy, nie wyleczysz piciem sake, a jedynie silną wiarą”.

Nie myliłem się w moich długoletnich wyobrażeniach! Bo cóż pragnęli otrzymać za moim pośrednictwem ci chłopci? Ta gromada harująca jak wół i jak bydło zmuszona umierać dopiero w naszej nauce dostrzegła drogę do zrzucenia z nóg kajdanów. Mnisi buddyjscy trzymają stronę tych, którzy chłopów traktują jak bydło. Lud sądzi od dawna, że trzeba się z takim losem pogodzić.

Do dziś ochrzciłem trzydzieści osób, dorosłych i dzieci. Wierni przychodzą nie tylko stąd, przekradają się przez góry z Miyahary, Kuzushimy, Harazuki. Wypowiadałem już ponad pięćdziesięcioro. Po niedzielnej mszy po raz pierwszy odmówiłem razem z wiernymi *Oratio* po japońsku, wygłosiłem też kazanie. Wieśniacy wlepiali we mnie pełen ciekawości wzrok. Mówiąc do nich, widziałem w myśli twarz Tego, który wygłaszał Kazanie na Górze, i postacie ludzi słuchających z zachwytem Jego słów, siedzących z wyciągniętymi nogami lub z rękoma oplecionymi wokół kolan. Dlaczego wyobrażałem sobie Jego twarz? Być

może dlatego, że nigdzie w Piśmie Świętym nie znajdujemy jej opisu. To, że nie została opisana, oznacza, że powierzono ją mojej wyobraźni, więc już od dzieciństwa wielokroć tuliłem do serca jej obraz zupełnie jak wyidealizowany obraz ukochanej. Gdy byłem w seminarium, a potem w klasztorze, w bezsenne noce Jego piękne oblicze ożywało w mojej wyobraźni.

Zdaję sobie doskonale sprawę, jak niebezpieczne są takie zgromadzenia. Wcześniej czy później urzędnicy wywęszą chyba naszą działalność.

O Ferreirze i tu także niczego się jeszcze nie dowiedziałem. Spotkałem dwóch starszych chrześcijan, którzy twierdzili, że go widzieli, ale ostatecznie dowiedziałem się tylko tyle, że Ferreira w Nagasaki, w dzielnicy Shinmachi, założył przytułek dla podrzutków i chorych. Zapewne było to dawno, kiedy jeszcze prześladowania nie były tak okrutne, ale ledwie to usłyszałem, postać dawnego mentora stanęła mi przed oczami jak żywa. Z kasztanową brodą, spoglądając nieco zapadłymi oczyma, kładł zapewne rękę na ramionach biednych japońskich wiernych, troszcząc się o nich tak samo jak niegdyś o nas – swoich uczniów.

– Czy ten *padre* wydawał się wam surowy? – umyślnie zadałem starszkom to pytanie.

Podnieśli na mnie wzrok i zaprzeczyli zdecydowanym ruchem głowy. Ich drżące wargi zdawały się szeptać, że nigdy nie widzieli tak łagodnego człowieka.

Przed powrotem do Tomogi poradziłem ludziom z tej osady, aby utworzyli wspólnotę. Taką samą potajemną organizację, jaką stworzyli pozbawieni kapłana mieszkańcy Tomogi. By wybrali seniora, wyznaczyli ojców, gdyż w obecnym położeniu to jedyny sposób, aby wiara przetrwała wśród młodzieży, dzieci i tych, co dopiero się narodzą. Wykazali zainteresowanie takim rozwiązaniem, ale gdy przyszło wybierać, kto ma być seniorem, a komu powierzyć funkcje ojców, rozpoczęły się spory zupełnie jak wśród wyborców w Lizbonie. Kichijiro szczególnie napierał, żeby jego wyznaczyć do którejś funkcji.

Jeszcze jedna sprawa budzi mój niepokój. Zarówno mieszkańcy Tomogi, jak i tutejsi chłopcy męczą mnie ciągle prośbami o krzyżyki, medaliki i święte obrazki. Gdy im mówię, że wszystkie takie rzeczy zostawiłem na statku, robią bardzo smutne miny. Musiałem rozerwać swój różaniec i rozdać im po paciorku. Nie ma w tym

niczego złego, że japońscy wierni otaczają wciąż takie przedmioty, a jednak budzi się we mnie jakiś dziwny niepokój. Czy nie pojmują opacznie wiary?

Szóstej nocy znów mnie po cichu wsadzono do łódeczki i powieziono przez nocne morze. Słysząc było tylko miarowy skrzyp wiosła i jednostajny plusk fal oblewających łódkę. Kichijiro, stojąc na dziobie, śpiewał cicho. Uśmiechnąłem się, przypomniawszy sobie nagle swój niewytłumaczalny strach sprzed pięciu dni, gdy przepływałem tędy w tej samej łódce. W końcu wszystko idzie jak z płatka – pomyślałem.

Od przyjazdu do Japonii idzie nam nadspodziewanie dobrze! Bez niebezpiecznych przygód zdołaliśmy odnaleźć kolejne grupy wiernych, a policjanci do dzisiejszego dnia nie wiedzą o ich istnieniu. Zdaje mi się nawet, że wielebny Valignano w Makao przesadził z tym swoim strachem przed prześladowaniami ze strony Japończyków. Trudne do nazwania uczucie szczęścia wypełniło mi nagle duszę. Jestem potrzebny! Potrzebny ludziom w tym nieznanym Ci zupełnie kraju na krańcu świata! Zapewne z tego powodu droga powrotna nie dłużyła mi się tak jak podróż w tamtą stronę. Gdy łódź zaskrzypiała i coś stuknęło o jej dno, aż byłem zaskoczony, że to już Tomogi.

Ukryłem się na plaży i czekałem zupełnie sam, aż ktoś od Mokichiego przyjdzie po mnie. Zastanawiałem się, czy aż taka ostrożność nie jest przesadą, i w pełni z siebie zadowolony wspominałem noc naszego przybycia do tego kraju.

Usłyszałem kroki.

– *Padre?*

A gdy podniosłem się przepełniony radością i chciałem uścisnąć oblepioną piaskiem dłoń, usłyszałem:

– *Padre*, uciekajcie! Prędko! – pospiesznie szeptał Mokichi, popychając mnie. – Gromada urzędników... we wsi!

– Urzędnicy?

– Tak, *padre!* Wywęszyli nas!

– O nas też wiedzą?

Mokichi szybko zaprzeczył ruchem głowy. Nas i naszej kryjówki jeszcze nie

zauważono. Jednak Mokichi i Kichijiro pociągnęli mnie za ręce i ruszyliśmy biegiem w stronę przeciwną niż wieś. Wybiegliśmy na pola i kryjąc się w młodym zbożu, posuwaliśmy się w stronę góry, na której jest nasza szopa. Właśnie zaczęło mżyć. Japońska pora deszczowa wreszcie nadeszła.

[13] Ewangelia wg św. Mateusza 10, 33.

沈黙

IV. LIST SEBASTIÃO RODRIGUESA

五 nowu będę miał chyba trochę czasu na pisanie tego listu do Ciebie. Opowiedziałem ci już, że gdy wróciłem z podróży duszpasterskiej na Goto, urzędnicy właśnie przeszukiwali wieś. Gdy pomyślę, że jesteśmy bezpieczni obaj z Garrpem, nie posiadam się z wdzięczności.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ojcowie jeszcze przed przybyciem urzędników polecieli ukryć wszystkie święte obrazy, krzyże i tym podobne przedmioty mogące ściągnąć niebezpieczeństwo. Nie wiem, jaką rolę odegrała w tym organizacja. Ludzie jakby nigdy nic pracowali dalej na polach, a senior, udając, że nie wie, o co chodzi, odpowiadał wymijająco na pytania urzędników. Bo na tym polega chłopska mądrość, by udawać głupiego przed ciemniejszym. Po długim wypytywaniu zmęczeni urzędnicy ostatecznie dali za wygraną i opuścili wieś.

Ichizo i O-Matsu, opowiadając nam o tym, śmiali się zadowoleni, odsłaniając zęby. Na ich twarzach widać było przebiegłość istot uciskanych.

Tylko pytanie, kto mógł donieść urzędnikom o naszym tu pobycie, nadal pozostawało bez odpowiedzi. To nie mógł być przecież nikt z Tomogi, a jednak mieszkańcy wsi nabrali do siebie nawzajem pewnych podejrzeń. Obawiam się nawet, czy nie rozpadnie się wspólnota. Poza tym we wsi, do której wróciłem po wielu dniach, panuje całkowity spokój. Około południa w naszej szopie słychać, jak pieją koguty u podnóża wzniesienia. Możemy też oglądać z góry rozpościerające się w dole czerwone dywany z kwiatów.

Kichijiro, który wrócił z nami do Tomogi, stał się tu bardzo popularny. Podobno ten

oportunista chodzi po domach i z zadęciem opowiada, jak było na Goto. Gdy kręci się po wsi, rozgłaszając, jak mnie przyjmowali ludzie na wyspie i że jego samego wychwalano pod niebiosa za to, że mnie sprowadził, chłopci dają mu jedzenie, a niekiedy częstują też sake.

Raz podpity Kichijiro przyszedł do naszej szopy w towarzystwie kilku młodych ludzi. Pocierając bez przerwy rękoma czerwoną twarz, mówił chełpliwie:

– *Padre!* Jestem z wami! Nie macie się czego bać, bo ja jestem z wami.

Młodzieńcy spoglądali na niego z wyraźnym szacunkiem, a on, w coraz lepszym humorze, zaczął śpiewać. Gdy skończył, jeszcze raz powtórzył:

– Nie macie się czego bać, bo ja jestem z wami!

Po czym wyciągnął nogi i zasnął kamiennym snem. To człowiek wielkoduszny czy oportunista? – czasem mam wrażenie, że nie mógłbym go znienawidzić.

Opowiem ci trochę o życiu Japończyków. Ponieważ moja wiedza ogranicza się do tego, co widziałem w Tomogi i co chłopci mi opowiedzieli, nie należy oczywiście sądzić, że cała Japonia wygląda w ten sposób. Przede wszystkim musisz wiedzieć, że chłopci są tu biedniejsi i bardziej godni pożałowania niż ci, których możesz zobaczyć na najbardziej zapadłej prowincji w Portugalii. Nawet zamożny chłop zaledwie dwa razy do roku bierze do ust ryż, który jadają Japończycy z wyższych warstw społecznych. Zazwyczaj wieśniacy jedzą jarzyny, takie jak pataty czy rzepa, a piją tylko podgrzaną wodę. Zdarza się im też zjadać wykopane z ziemi korzonki dzikich roślin. Siadają w bardzo osobliwy sposób, zupełnie inaczej niż my. Klękają na ziemi lub na podłodze, a potem przysiadają na nogach tak jak my, kiedy kucamy. Dla nich to odpoczynek, ale dla nas z Garrpem, zanim się przyzwyczailiśmy, to była istna męka.

Chaty, prawie wszystkie kryte słomą, są brudne i śmierdzące. W całej wsi Tomogi tylko w dwóch gospodarstwach są krowy czy konie.

Pan feudalny ma pełnię władzy nad ludnością swoich ziem. Daleko większą od władzy królów w krajach chrześcijańskich. Roczne daniny ściągane są bardzo surowo, a opieszłych karze się bez litości. Bunt w Shimabarze też wybuchł dlatego, że chłopci nie byli w stanie udźwignąć ciężaru tych danin. Zdecydowali się stawić

feudałowi opór. Opowiadano mi na przykład, że przed pięciu laty w Tomogi, gdy niejaki Mozaemon nie zapłacił daniny w postaci pięciu worków ryżu, jego żonę i dzieci wzięto jako zakładników i wtrącono do pełnego wody lochu. Chłopi są niewolnikami grupy społecznej samurajów, nad którymi władzę ma pan feudalny. Samurajowie nadzwyczaj cenią oręż. Każdy, niezależnie od rangi, gdy osiągnie wiek trzynastu, czternastu lat, nosi u pasa dwa miecze – duży i mały. Feudał ma zwierzchność absolutną nad samurajami, może ich zabijać oraz konfiskować im majątki, nie licząc się z nikim.

Japończycy zimą i latem chodzą z gołą głową, a odzież, którą noszą, wcale nie chroni ich przed zimnem. Na ogół są łysi, bo wrywają sobie szczypcami włosy z głowy. Tylko nad karkiem zostawiają kępkę i związują ją sobie. Mnisi buddyjscy golą całą głowę. Goli ją także wielu samurajów, a także ludzi, którzy przekazali już majątek synowi.

A teraz zmieniam temat: opiszę ci wydarzenia z 5 czerwca. Chciałbym opisać dokładnie to, co się wtedy zdarzyło, ale być może skończy się na krótkiej relacji. Teraz nie znamy dnia ani godziny, w każdej chwili grozi nam niebezpieczeństwo. Ale do rzeczy.

Piątego tuż przed południem poczuliśmy, że we wsi na dole dzieje się coś niezwykłego. Z lasu dobiegało nieustające szczekanie psów. W pogodne, spokojne dni szczekanie psów i pianie kogutów nie było niczym nadzwyczajnym, nawet sprawiało nam, ukrytym w szopie, pewną radość. Dziś jednak, nie wiadomo dlaczego, wzbudziło w nas fizyczny wprost niepokój. Pełni złych przeczuć, poszliśmy aż na wschodni skraj lasu, bo stamtąd widać jak na dłoni prawie całą wieś.

Najpierw rzucił nam się w oczy biały kłęb kurzu na gościńcu wiodącym wzdłuż morza do wsi. Co się tam dzieje? Od wsi pędził jak oszalały nieosiodłany koń. Przy wjeździe do osady stało pięciu ludzi – z całą pewnością nie chłopów – i pilnowało, żeby nikt ze wsi nie uciekł.

W mig pojeśliśmy, że to przybyli urzędnicy, żeby przeszukać wieś. Na łeb na szyję pośpieszyliśmy do szopy i w dole wykopanym uprzednio przez Ichizo

ukryliśmy wszystko, co mogło świadczyć o naszym tu pobycie. Po skończeniu tej pracy zebraliśmy całą odwagę i zdecydowaliśmy się zejść w dół lasem, aby jak najwyraźniej zobaczyć wszystko, co się we wsi dzieje.

Z osady nie dochodził teraz żaden głos. Południowe słońce świeciło jasno na wioskę i na gościniec. Kładły się na nim tylko wyraźne cienie nędznych chłopskich chałup. Ani śladu ludzkiego działania.

Rozlegające się jeszcze przed chwilą szczekanie psów również nagle ustało i Tomogi wyglądało dosłownie jak opuszczona przez wszystkich ruina. W tej spowijającej wieś ciszy wyczułem grozę. Modliłem się z całego serca. Dobrze wiedziałem, że nie ziemskie szczęście i pomyślność powinny być celem modlitwy, a mimo to nie mogłem się powstrzymać od modlitwy, by ta straszna południowa cisza natychmiast, jak najprędzej opuściła wieś.

Psy znów zaczęły ujadać. Ludzie trzymający wartę u wejścia do wsi zaczęli biegać. Pojawiła się między nimi skrępowana sznurem sylwetka seniora. Samuraj w czarnym bambusowym kapeluszu krzyknął coś z konia, a wtedy jego ludzie ustawili się w szeregu za starcem i pomaszrowali jako straż tylna. Samuraj, wymachując biczem i wzniesając białe kłęby kurzu, pierwszy pogalopował gościńcem. W pewnej chwili odwrócił się. Mam jeszcze wyraźnie w pamięci konia stojącego dęba i plecy chwiejącego się na nogach starca wleczonego przez strażników. Ich postacie jak mrówki na białym od południowego słońca gościńcu stawały się coraz mniejsze, aż wreszcie znikły zupełnie.

W nocy dowiedzieliśmy się wszystkich szczegółów od Mokichiego, który razem z Kichijiro przyszedł do nas na górę. Urzędnicy pojawili się przed południem. Tym razem, inaczej niż poprzednio, mieszkańcy nie zdołali się wywiedzieć zawczasu o zamierzonym przeszukiwaniu wsi. Ludzie uciekali bezładnie, samuraj, pokrzykując na podwładnych, galopował konno tam i z powrotem z jednego krańca osady na drugi.

Chociaż wiedział już, że w żadnej z chat nie znajdzie niczego, co by świadczyło o chrześcijaństwie jego mieszkańców, nie miał zamiaru zrezygnować i wycofać się jak poprzednio. Zebrawszy chłopów w jednym miejscu, oświadczył, że weźmie zakładników, jeśli się do wszystkiego szczerze nie przyznają. Jednak nie znalazł się

nikt, kto by się zdradził choć słowem.

– My, panie, nie zalegamy z daniną. Obowiązkowe roboty wykonujemy jak trzeba – zapewniał żarliwie senior. – Pogrzeby też wszystkie odbywają się w świątyni buddyjskiej.

Samuraj, nie odpowiadając na to ani słowem, końcem bicia wskazał starca. Stojący z tyłu strażnicy natychmiast skoczyli ku niemu i w okamgnieniu skrępowali go sznurem.

– Przypatrzcie się! Nie zamierzam z wami dyskutować! Doniesiono mi ostatnio, że mimo zakazu niektórzy z was potajemnie wyznają chrześcijaństwo. Sto sztuk srebra daję temu, który mi zaraz powie, kto dopuszcza się takiej niegodziwości. A jeżeli się nie przyznacie, za trzy dni znów wezmę zakładnika. No więc jak? Dobrze się zastanówcie!

Chłopi stali wyprostowani w milczeniu. Milczeli mężczyźni, milczały kobiety i dzieci. Bardzo długo stali wierni naprzeciwko swoich wrogów. Teraz jestem pewien, że to właśnie w chwili, gdy zapadła ta cisza, obserwowaliśmy z Garrpem wieś z góry.

Samuraj zwrócił konia ku wyjazdowi ze wsi i z biczem w rękę odjechał. Senior, przywiązany z tyłu do konia, przewrócił się raz, wstał, znowu upadł i koń włókł go po ziemi. Wreszcie strażnicy postawili go na nogi.

To właśnie usłyszeliśmy o wydarzeniach z 5 czerwca.

– *Padre*, nie wydaliśmy was! – mówił Mokichi z rękoma złożonymi spokojnie na kolanach roboczego ubrania. – Jeśli znowu przyjdą urzędnicy, słowem was nie zdradzimy! Tak będzie, żeby nie wiem co!

Czy powiedział to dlatego, że na twarzy mojej albo Garrpego dostrzegł cień lęku? Jeśli tak, to jest mi wstyd. Jednakże nawet Garrpe, do wszystkiego podchodzący z optymizmem, miał wtedy prawo z ciężkim sercem wpatrywać się w Mokichiego.

– Ale jak tak dalej pójdzie, wszystkich was wezmą kiedyś jako zakładników?

– *Padre!* My nawet wtedy nic nie powiemy!

– Nie może tak być! Lepiej będzie, jeśli to my dwaj odejdziemy z tego lasu! –

powiedział Garrpe, po czym zwrócił się do mnie i Kichijiro, który przerażony siedział obok Mokichiego. – Czy nie można by, dajmy na to, uciec na jego wyspę?

Kichijiro wysłuchał tych słów w milczeniu z twarzą pełną trwogi. Ten tchórzliwy, słaby człowiek nie wiedział, co począć, uwikłany w sprawę z powodu sprowadzenia nas tutaj. W swoim małym mózdku szukał rozpaczliwie sposobu, jak z tego wybrnąć, nie tracąc twarzy jako chrześcijanin. Łypiąc chytrze oczyma i pocierając ręką o rękę jak mucha nóżkami, zaczął mówić, że podobne przeszukiwania niechybnie obejmą wkrótce i Goto, więc lepiej udać się gdzieś w dalsze okolice niż w tak bliskie sąsiedztwo. Nie uradziliśmy niczego tej nocy i obaj odeszli po cichu lasem w dół.

Nazajutrz nastroje mieszkańców Tomogi zaczęły się chwiać. Nie mam zamiaru ich osądzać, ale według wiadomości od Mokichiego nastąpił wśród nich podział na dwie grupy, z których jedna chce, żebyśmy się przenieśli gdzie indziej, a druga jest zdecydowana ukrywać nas u siebie do ostatka. Ktoś nawet podobno powiedział, że to przecież ja i Garrpe sprowadziliśmy na ich wieś nieszczęście. Jednak Mokichi, Ichizo i O-Matsu okazali nadzwyczaj silną wiarę. Chcą bronić kapłanów, cokolwiek by się miało zdarzyć.

O takie właśnie rozchwianie nastrojów chodziło urzędnikom. 8 czerwca znów zjawił się samuraj, tym razem stary, nie tamten gwałtowny na koniu. Przyjechał z pięcioma podwładnymi i lekko się uśmiechając, poradził, aby sobie wszyscy rozważyli, co mają do zyskania, a co do stracenia. Tym razem temu, kto zgodnie z prawdą wskaże wyznawców szkodliwej religii chrześcijańskiej, obiecał obniżenie tegorocznej daniny. Obniżenie daniny! Jakaż to musiała być wielka pokusa dla japońskich wieśniaków! A jednak ci biedacy zwycięsko jej się oparli!

– Jeśli i na to kręcicie głową, nie pozostaje mi nic innego, jak uwierzyć, że mówicie prawdę!

Stary samuraj uśmiechnął się do swoich ludzi, po czym zaczął znowu:

– Musimy jednak spytać moich przełożonych, kto ma rację – wy czy donosiciel. Poza tym zwrócimy wam zakładnika. Jutro trzech z was ma być w Nagasaki! Nie macie się czego bać! Nie zrobimy wam nic złego.

Ani w jego głosie, ani w słowach nie czuło się groźby, ale to tylko upewniało wszystkich we wsi, że to pułapka. Tego wieczora mężczyźni z Tomogi dość długo radzili, kogo wysłać do Urzędu Naczelnika Miasta Nagasaki. A może tego, kto pójdzie na to przesłuchanie, zatrzymają jako zakładnika i nie wróci już żywy? Pod wpływem takich myśli wahali się nawet pełniący funkcję ojców. Zebrani w ciemnej chacie chłopcy spoglądali jeden na drugiego, a każdy modlił się w duchu, by udało mu się uniknąć tej roli.

I to było zapewne powodem, że wyznaczono Kichijiro. Nie pochodził z Tomogi, był obcy, a przede wszystkim każdy czuł, że to przez niego całe to nieszczęście. Biedny tchórz zmuszany do poświęcenia się za całą wieś wpadł w popłoch, łzy napłynęły mu do oczu, a w końcu zaczął na wszystkich pomstować. Ludzie jednak, składając ręce, błagali go:

– Zlituj się! My mamy żony i dzieci! Ty nie jesteś stąd, więc urzędnicy nie będą cię surowo przesłuchiwać! Prosimy, idź tam zamiast nas!

I bez wątpienia jego słaby charakter sprawił, że nie potrafił odmówić.

Wtedy odezwał się nagle Ichizo:

– Ja też idę!

Zdziwili się wszyscy, bo powiedział to człowiek uważany za mruka i uparciucha. Wtedy i Mokichi oświadczył, że się przyłącza do tej grupy.

9 czerwca. Od rana siąpił drobny jak mgiełka deszczyk. Ledwie było widać spowity mżawką las przed szopą. Trzej mężczyźni przyszli przez las na górę. Mokichi zdawał się lekko podekscytowany. Ichizo jak zwykle milczał ponuro, mrużąc oczy. Z tyłu za nimi Kichijiro jak zbity pies patrzył na nas wzrokiem pełnym żalu.

– *Padre*, zmuszą nas do *fumie*^[14], do podeptania wizerunku Chrystusa! – mówił szeptem, jakby do siebie, Mokichi ze spuszczoną głową. – Jeśli nie postawimy nogi na obrazie, to na nas się nie skończy! Cała wieś będzie tak przesłuchiwana! Ach! Co my teraz mamy robić?

Serce przepełniła mi litość i bez zastanowienia dałem odpowiedź, jaka by zapewne nie przeszła Tobie przez usta. W pamięci mignął mi ojciec Gabriel, który kiedyś w czasie prześladowań w Unzen, kiedy Japończycy położyli przed nim

wizerunek Chrystusa, powiedział: „Wolę raczej obciąć sobie nogę, niż to podeptać!”. Wiedziałem, że wielu japońskich wiernych i wielu duchownych czuło to samo, gdy im u nóg położono święty obraz. Lecz jakże mogłem tego żądać od tych trzech biedaków?

– Możecie podeptać. Możecie podeptać!

Kiedy to wykrzyknąłem, zrozumiałem, że jako kapłan nie powinienem był mówić tych słów. Garrpe popatrzył na mnie z wyrzutem.

Kichijiro miał wciąż łzy w oczach.

– Dlaczego *Deus* zsyła na nas takie cierpienia? *Padre*, przecież nie robimy nic złego!

Milczeliśmy z Garrpem. Mokichi i Ichizo także milczeli, wpatrując się w jeden punkt. Potem odmówiliśmy wspólnie ostatnią modlitwę w ich intencji. Po jej zakończeniu trzech mężczyźni wrócili do wsi. Patrzyliśmy za nimi z Garrpem, aż ich postacie zniknęły we mgle. Dzisiaj wiem, że to było nasze ostatnie spotkanie z Mokichim i Ichizo.

Znowu długo nie brałem pióra do ręki. O najściu urzędników na Tomogi już Ci pisałem. Potem modliliśmy się gorąco, by trzech mężczyzn wrócili razem z seniorem cało i zdrowo z przesłuchania w Nagasaki. Wierni we wsi także w tej intencji ofiarowali odmawiane noc w noc potajemnie *Oratio*.

Nie sądzę, żeby Bóg bez specjalnego celu poddawał ludzi takim próbom. Wszystko, co Bóg czyni, jest dobre i nadejdzie taki dzień, kiedy te prześladowania i cierpienia będą już przeszłością, a my zrozumiemy, dlaczego musieliśmy ich doświadczyć w naszym życiu. Jednak piszę to, bo ciągle leżą mi kamieniem na sercu słowa, które szeptał, patrząc w ziemię, Kichijiro owego ranka przed ich odejściem: „Dlaczego *Deus* każe nam tak się męczyć?” – a następnie, zwracając ku mnie oczy pełne żalu: „*Padre*, przecież nie robimy nic złego!”.

Dlaczego głupie skargi tego tchórza, które mógłbym puścić mimo uszu, niczym ciernie kłują w serce? Dlaczego, Panie, doświadczasz tych Japończyków, tych biednych wieśniaków, zsyłając na nich prześladowania i męki? Nie, Kichijiro mówił o czymś innym, jeszcze straszniejszym. O milczeniu Boga. Chociaż minęło już

dwadzieścia lat, odkąd zaczęły się prześladowania, chociaż jęk wiernych rozlega się wszędzie na tej czarnej japońskiej ziemi, chociaż leje się czerwona krew kapłanów, a wieże kościołów wałają się w gruzy, Bóg milczy wobec tych składanych mu okrutnych ofiar! Nie! Nie mogę dopuszczać do siebie myśli, że głupia skarga Kichijiro zawierała w sobie to pytanie.

A tymczasem opowiem Ci tylko o dalszym losie tych ludzi. Kiedy stawili się w Urzędzie Naczelnika Miasta, najpierw trzymano ich dwa dni w więzieniu na tyłach urzędu, po czym wreszcie wezwano na przesłuchanie. Przesłuchanie, nie wiedzieć dlaczego, rozpoczęło się od nadzwyczaj oficjalnego pytania:

– Wiecie zapewne, że chrześcijaństwo jest szkodliwą religią?

A gdy Mokichi w imieniu wszystkich skinął głową, usłyszeli:

– Doniesiono nam, że wyznajecie tę religię. Co wy na to?

Wszyscy odpowiedzieli, że są i będą do śmierci buddystami i że słuchają nauk mnichów ze swojej świątyni.

– Skoro tak, to podepczecie zaraz obraz! – zażądał natychmiast urzędnik. U ich stóp położono oprawiony w drewno wizerunek Maryi z Dzieciątkiem. Idąc za moją radą, Kichijiro pierwszy dotknął stopą deski, za nim Mokichi i Ichizo. Ale mylili się, sądząc, że to wystarczy i tamci im odpuszczą. Na twarzach stojących rzędem urzędników pojawiły się uśmiešky. Cieszył ich nie tyle fakt podeptania obrazu, ile to, co ujrzeli, wpatrując się uważnie w twarze trzech mężczyzn.

– Więc mieliście zamiar wprowadzić władzę w błąd? – zapytał najstarszy wiekiem spośród urzędników. I dopiero w tym momencie wszyscy trzej rozpoznali w nim starego samuraja, który był w Tomogi kilka dni wcześniej. – Nie uszło mojej uwagi, jakżeście teraz ciężko oddychali!

– Nie, nie jesteśmy zdrajcami! – krzyknął z całych sił Mokichi. – Nie jesteśmy chrześcijanami!

– A więc zróbcie to, co wam powiem.

Kazał im napluć na obraz, a Matkę Boską nazwać nierządnicą, co oddawała się mężczyznom. Później dowiedziałem się, że to był sposób wymyślony przez Inoue, którego wielebny Valignano nazywał najgroźniejszym człowiekiem w Japonii.

Inoue, który sam kiedyś ochrzcił się dla kariery, dobrze wiedział, że biedni japońscy wieśniacy ponad wszystko czczą Matkę Boską. Istotnie, ja także po przybyciu do Tomogi spostrzegłem z niepokojem, że chłopci wielbią niekiedy Matkę Boską bardziej niż Chrystusa.

– Nie plujecie? Nie przechodzi wam przez usta ani jedno słowo?

Ichizo, poszturchiwany w plecy przez policjanta, trzyma wciśnięty mu do rąk obraz, robiąc rozpaczliwe wysiłki, żeby splunąć, ale nie może. Kichijiro stoi bez ruchu ze zwieszoną głową.

– No co się dzieje?

Mokichi pod wpływem silnych nacisków rozplakał się: jasne łzy spływały mu po policzkach. Ichizo z wyrazem cierpienia na twarzy kręcił głową. Ich ciała zdradziły, że są chrześcijanami. Tylko Kichijiro, przerażony groźbami urzędników, niemal bez tchu wydusił z siebie słowa bluźniące Matce Boskiej. Następnie rozkazano mu:

– Pluj!

I na obraz pociekła z jego warg obelżywa ślina, której nie da się już zetrzeć.

Po zakończonym śledztwie obu, Mokichiego i Ichizo, wtrącono na dziesięć dni do więzienia. Mówię o dwóch, bo odstępcę Kichijiro wypędzono pośpiesznie z więzienia i przepadł gdzieś bez wieści. Oczywiście tu się do dzisiaj nie pokazał. Nie mógł przecież wrócić.

Zaczęła się pora deszczowa. Dzień w dzień siąpiło bez chwili przerwy. Po raz pierwszy doświadczałem, jak przygnębiający jest deszcz, który powoduje, że gnije wszystko od wierzchu aż do korzeni. Wieś wyglądała jak wymarła. Dla każdego było jasne, jaki los czeka tamtych dwóch. Prawie nikt nie wychodził do pracy w polu ze strachu, że za chwilę on też trafi na przesłuchanie. Za pustymi polami czerniało morze.

Dwudziesty dzień czerwca. Znowu przygalopował urzędnik z obwieszczeniem. Decyzją władz Mokichi i Ichizo zostali skazani na ukrzyżowanie w wodzie w Tomogi po uprzednim wystawieniu ich na widok publiczny: będą w tym celu oprowadzeni po mieście Nagasaki.

Dwudziesty drugi. Mieszkańcy wsi zauważyli, że zalaną deszczem, szarą jak

popiół drogą zbliża się ku nim kolumna ludzi, którzy wyglądali z daleka jak fasolki. Wkrótce postacie stały się większe. Pośrodku, otoczeni przez strażników, na nieosiodłanych koniach jechali Mokichi i Ichizo ze skrzepowanymi rękoma i zwieszonymi głowami. Mieszkańcom kazano zamknąć drzwi chat i nie wychodzić na dwór. Z tyłu za konwojem szli gapie, którzy dołączyli we wsiach mijanych po drodze. Ten orszak widać było i z naszej chaty.

Gdy konwój dotarł na wybrzeże, urzędnik kazał swoim ludziom rozpaść ogień, przy którym ogrzano przemoczonych skazańców. Następnie, okazując wyjątkowe miłosierdzie, dano im podobno po małej czarce sake. Gdy słuchałem tej opowieści, przypomniał mi się nagle strażnik, który chciał konającego już Chrystusa napić octem, podsuwając mu nasączoną nim gąbkę.

Na piasku w zasięgu fal postawiono dwa krzyże zrobione z pni drzew. Przywiązano do nich Mokichiego i Ichizo. Nocą, gdy nadejdzie przypływ, woda sięgnie im aż po brodę. Nie skonają zatem od razu, przestaną oddychać dopiero po kilku dniach, wyczerpani fizycznie i psychicznie. Pokazując mieszkańcom Tomogi i innym chłopom ich długą męczarnię, urzędnicy chcieli sprawić, aby patrzący na nią nigdy więcej nie zbliżyli się do chrześcijaństwa. Mokichiego i Ichizo przywiązano do pni po południu. Urzędnik odjechał konno, pozostawiając czterech strażników. Z powodu deszczu i zimna zaczęli się z wolna rozchodzić stłoczeni na brzegu gapie.

Nadszedł przypływ. Postacie obu skazańców były nieruchome. Fale zalewały im nogi, woda sięgała do pasa. Morze z jednostajnym szumem napierało na ciemną plażę i z jednostajnym szumem się cofało.

Wieczorem O-Matsu z siostrzenicą przyniosły strażnikom jedzenie i spytały, czy wolno nakarmić tamtych dwóch. Otrzymawszy pozwolenie, podpłynęły do nich łódeczką.

– Mokichi! Mokichi! – zawołała O-Matsu.

– Tak – odpowiedział.

Wtedy kobieta zwróciła się do drugiego mężczyzny:

– Ichizo! Ichizo!

Ale starzec nie mógł już odpowiedzieć. Poznała jednak, że jeszcze nie umarł, bo od czasu do czasu poruszał lekko głową.

– Ciężko wam, co!? Bądźcie dzielni! Dzięki modlitwom czcigodnych *padre* i naszym pójdziecie do raju!

O-Matsu dodawała im, jak mogła, otuchy, usiłując jednocześnie wkładać Mokichiemu do ust przyniesione suszone pataty, ale on pokręcił głową. Wiedząc, że i tak umrze, pewnie chciał jak najszybciej uwolnić się od tej męki.

– Babciu, dajcie Ichizo! Ja już dłużej nie wytrzymam!

O-Matsu z siostrzenicą z płaczem wróciły bezradne na brzeg. I tu, sieczone deszczem, dalej głośno płakały.

Nadeszła noc. Czerwony płomień ogniska, które rozpalili strażnicy, widać było nawet z naszej szopy, ale skupieni na brzegu mieszkańcy Tomogi wpatrywali się tylko w ciemne morze. W nieprzeniknionej czerni morza i nieba nie widzieli Mokichiego ani Ichizo. Nie wiedzieli, żyją jeszcze czy umarli. Wszyscy, płacząc, odmawiali w myśli *Oratio*. I wtedy wśród szumu fal usłyszeli głos Mokichiego. Ten młodzieniec ostatkiem tchu śpiewał pieśń chrześcijańską. Może chciał ludziom dać znać, że życie jeszcze w nim nie zagasło, a może sobie dodać ducha.

Pójdźmy, ach, pójdźmy

Do świątyni bram!

Do rajskiej świątyni

Daleko tam.

Wszyscy słuchali w milczeniu śpiewu Mokichiego. Słuchali też strażnicy. Głos ginął chwilami w szumie deszczu, a po chwili znów dał się słyszeć.

23 czerwca. Mżyło przez cały dzień. Mieszkańcy Tomogi gromadą nadal patrzyli z daleka na słupy Mokichiego i Ichizo. Zasnuta deszczem plaża rozpościerała się niby dzika pustynia. Poganie z okolicy nie przyszli dziś popatrzeć na widowisko. Po odpływie widać było sterczące samotnie w oddali słupy z przywiązаныmi do nich dwoma mężczyznami. Nie sposób odróżnić człowieka od słupa. Zupełnie jakby przywiązani do słupów Mokichi i Ichizo sami stali się słupami. Tylko smutny jęk Mokichiego świadczył, że on jeszcze żyje.

Chwilami jęk się urywał. Mokichiemu brakło już sił, aby tak jak wczoraj pieśnią dodawać sobie odwagi. Urywany jęk po upływie mniej więcej godziny znowu niesiony wiatrem dochodził do uszu stojących na brzegu mieszkańców wsi. Za każdym razem, gdy słyszeli ten głos podobny do skowytu zwierzęcia, drżeli na całym ciele i płakali. Po południu znów z wolna rozpoczął się przypływ. Czarne, zimne wody wezbrały i widać było, jak zagłębiają się w nich słupy. Spienione, białe fale przewalały się niekiedy nad nimi i biły o brzeg. Ptak musnął w locie powierzchnię morza i zniknął w oddali. I wszystko się skończyło.

To było męczeństwo. Ale jakimi słowy określić to męczeństwo? Zbyt długo wyobrażałem sobie męczeństwo tak, jak jest opisane w żywotach świętych: kiedy dusze męczenników wracają do Pana, niebo wypełnia się blaskiem chwały, a aniołowie dmą w trąby. A to męczeństwo japońskich wiernych, które Ci teraz relacjonuję, pozbawione było blasku. Jakże było nędzne, jakże gorzkie!

Krople deszczu spadały bez przerwy na powierzchnię wody. Morze, zabiwszy tych ludzi, milczało złowrogo.

Wieczorem znów przyjechał konno urzędnik. Na jego polecenie strażnicy ułożyli stos z mokrego chrustu i podpalili zdjęte ze słupów ciała Mokichiego i Ichizo. Zrobili tak po to, by wierni nie zabrali cennych dla nich szczątków męczenników. Popioły wrzucą do morza. Purpurowy płomień chwiał się na wietrze, dym snuł się po nadbrzeżu, a ludzie z wioski, stojąc nieruchomo, śledzili pustym wzrokiem jego smugi. Gdy wszystko dobiegło końca, powlekli się do domów jak cielęta ze zwieszonymi głowami.

Dziś, pisząc ten list, wychodzę co pewien czas na dwór popatrzeć w dół, na morze, a raczej – bo tak należałoby je nazwać – grób dwóch japońskich chłopów, którzy nam wierzyli. Pod ołowianym niebem czarne, posępne wody, bez jednej wyspy, ciągną się hen za horyzont.

Wszystko jest po dawnemu. Ale Ty byś pewnie powiedział, że ich śmierć bez wątplenia ma sens. Że to kamienie, na których kiedyś stanie fundament Kościoła. Że Pan nasz nigdy nie zsyła nam prób, których byśmy przetrwać nie zdołali. Że Mokichi i Ichizo, tak jak wielu japońskich męczenników przed nimi, cieszą się teraz wiecznym szczęściem u boku Pana. Ja sam dobrze wiem, że tak właśnie jest.

A mimo to mam w sercu żal. Dlaczego tak jest? Dlaczego wciąż ożywa we mnie bolesne wspomnienie pieśni, którą śpiewał ostatkiem tchu przywiązany do słupa Mokichi?

Pójdźmy, ach, pójdźmy

Do świątyni bram!

Słyszałem od ludzi z Tomogi, że wielu wiernych śpiewało tę rzewną pieśń, gdy wleczono ich na miejsce kaźni. Zbyt ciężko im tu na ziemi. Japońscy chłopcy z nadmiaru cierpienia nadzieję pokładają już tylko w niebie. Ta pieśń wyraża chyba cały ich smutek.

Co ja właściwie chciałem powiedzieć? Sam dobrze nie wiem. Nie mogę po prostu znieść, że i dziś, w dniu, kiedy Mokichi i Ichizo, jęcząc, umarli w mękach na chwałę Pana, morze jest ciemne i z jednostajnym szumem wgryza się w brzeg. Za tym złowrogim spokojem morza czuję milczenie Boga: wydaje mi się, że Bóg milczy z założonymi rękoma, słysząc ludzki lament.

Być może będzie to ostatnia wieść ode mnie. Zawiadomiono nas dziś rano, że urzędnicy gromadzą ludzi i jutro urządzą polowanie w lesie. Zanim się ono rozpocznie, trzeba przywrócić szopę do pierwotnego stanu i usunąć z niej wszelki ślad świadczący, żeśmy się tu ukrywali. Nie zdołaliśmy jeszcze z Garrpem ustalić, gdzie się udamy po jej opuszczeniu, gdzie się podziejemy już dzisiejszej nocy. Długo radziliśmy, czy lepiej uciekać razem, czy się rozłączyć. W końcu postanowiliśmy, że pójdziemy osobno, gdyż w tym przypadku nawet jeśli jeden z nas stanie się łupem pogan, pozostanie jeszcze drugi. Ale co to właściwie znaczy – pozostanie? Nie po to z Garrpem okrążyliśmy upalną Afrykę, przemierzyli Ocean Indyjski i przedostali się z Makao do tego kraju, aby wciąż uciekać! Nie po to, aby kryć się po górach jak polne myszy, siedzieć skulonym w schowku na węgiel, od biednych wieśniaków dostawać po garstce pożywienia, nie mogąc spotykać się z wiernymi! Jakże daleko odeszliśmy od swoich marzeń...

A jednak fakt, że choć jeden kapłan jest jeszcze w Japonii, będzie miał takie samo znaczenie jak lampka oliwna paląca się cały czas na ołtarzu w rzymskich

katakumbach. Dlatego przysięgliśmy sobie z Garrpem, że po tym, jak się rozstaniemy, każdy z nas będzie się starał pozostać przy życiu tak długo jak się da.

A zatem nawet jeśli wieści ode mnie przestaną nadchodzić (mam zresztą wątpliwości, czy to, co dotąd napisałem, dotrze do Twoich rąk), nie myśl, proszę, że obydwaj z całą pewnością nie żyjemy. Na tej leżącej odłogiem ziemi musi przecież zostać bodaj jedna graca, by móc ją uprawiać...

Nie wiem, gdzie kończy się morze, a zaczyna mrok. Nie jestem w stanie wypatrzeć żadnej wyspy. Wiem, że jestem na morzu, bo czuję na plecach oddech młodego wiosłarza, słyszę skrzypienie wiosła i plusk fal uderzających o burtę łodzi.

Przed godziną rozstałem się z Garrpem. Obaj opuściliśmy Tomogi, każdy w innej łódce, jego ze skrzypem wiosła odpłynęła spokojnie w kierunku Hirado. Nie widziałem w ciemnościach jego sylwetki, nie mieliśmy też czasu, by się pożegnać.

Gdy zostałem sam, mimo woli zacząłem drżeć na całym ciele. Skłamałbym, gdybym powiedział, że się nie boję. Choćby się miało nie wiem jaką wiarę, strach fizyczny ogarnia człowieka niezależnie od jego woli. Gdy Garrpe był ze mną, dzieliliśmy się strachem jak chlebem łamanym na pół, ale od tej chwili sam jeden na morzu w środku nocy muszę dźwigać na barkach cały ten chłód i ciemność. (Czy wszyscy misjonarze w Japonii czuli ten dreszcz? Jak sobie wtedy radzili?) Nagle, nie wiedzieć czemu, przemknęła mi przez myśl drobna jak u szczura, przerażona twarz Kichijiro. Tego tchórza, który uciekł, podeptawszy święty obraz w urzędzie w Nagasaki. Gdybym nie był kapłanem, lecz jednym z wiernych, kto wie, może też bym uciekł? Jednak jestem kapłanem, więc z poczucia godności i obowiązku wybrałem tę ciemność.

– Daj mi wody – zagadałem do chłopaka przy wiosłach, lecz nie otrzymałem odpowiedzi. Stopniowo docierało do nas, że mieszkańcom Tomogi od czasu męczeńskiej śmierci ich ludzi zaczęli ciążyć cudzoziemcy, którzy sprowadzili na nich to nieszczęście. I ten młodzieniec, gdyby nie musiał, nie pojechałby chyba ze mną. Ssałem umoczone w morskiej wodzie palce, aby zwilżyć zaschnięty język, i myślałem o smaku octu, którego Chrystus skosztował na krzyżu.

Łódź stopniowo zmieniała kierunek, na lewo dał się słyszeć łoskot fal bijących

o skałę. Przypomniałem sobie, że taki sam huk fal, niby głuchy werbel, słyszałem, gdy płynąłem na wyspę. Od tego miejsca morze przechodziło w głęboką zatokę, a woda obmywała nadbrzeżną plażę. Wyspa wyglądała jak mozaika mniej i bardziej intensywnej czerni, nie rozpoznawałem więc, gdzie jest wieś.

Iluż to misjonarzy, tak jak ja teraz, przypłynęło na tę wyspę w małych łódeczkach. Lecz w jakże innych niż ja okolicznościach! Kiedy oni byli w Japonii, los się do nas uśmiechał, wszędzie znajdowali miejsce, w którym mogli spać spokojnie, a wierni przyjmowali ich z radością. Panowie feudalni otaczali ich opieką nie z powodu prawdziwej wiary, ale dlatego, że rywalizowali między sobą o zyski z handlu. Misjonarze zaś, wykorzystując to, mogli powiększać liczbę wiernych. Przypomniały mi się nagle słowa, które w Makao wypowiedział ojciec Valignano: „W owych czasach my, misjonarze w Japonii, prowadziliśmy zażartą dysputę, czy należy nosić habity jedwabne czy bawełniane”.

Na wspomnienie tych słów roześmiałem się cicho w ciemności i pogładziłem odziane w łachmany kolana. Nie zrozum mnie źle! Nie myśl, że nie szanuję misjonarzy z tamtych czasów. Po prostu nagle wydało mi się absurdalne to, że ten mężczyzna, odziany w zniszczoną chłopską kapotę, którą dostał od Mokichiego z Tomogi, płynący pełną morskich stonóg łódeczką, to taki sam kapłan jak tamci.

Zbliżyliśmy się do czarnych skał. Gdy od plaży zapachniało gnijącymi wodorostami, a piasek zaskrzypiał pod dnem łódki, chłopak wyskoczył z niej i z nogami w wodzie zaczął oburącz popychać dziób. Ja też wysiadłem i brodząc w płytkiej wodzie, wdychając głęboko przesiąknięte solą powietrze, wygramoliłem się wreszcie na brzeg.

– Dziękuję ci. Wieś jest tam wyżej, prawda?

– *Padre*, ja...

Nie mogłem dojrzeć wyrazu twarzy, ale z głosu wyczułem, że chłopak nie chce już dalej iść ze mną. Gdy machnąłem mu ręką, z ulgą popędził ku morzu i w ciemnościach rozległ się plusk wody, gdy wskakiwał do łodzi.

Słuchając oddalającego się skrzypu wiosel, myślałem o Garrpem. Gdzie on teraz może być? Poszedłem nieprzyjazną piaszczystą plażą i niczym matka uspokajająca

dziecko przekonywałem sam siebie, że się niczego nie boję. Drogę znam. Jeśli pójde tędy prosto, muszę wyjść na ową wieś, która mnie kiedyś tak serdecznie przyjęła. Gdzieś daleko słychać było pomruki. To chyba miauczenie kotów. Ale mnie bez reszty pochłaniała myśl o tym, że już za chwilę będę mógł odpocząć i że znajdę jedzenie, którym choć trochę zaspokoję głód.

Gdy dochodziłem do wsi, miauczenie stało się wyraźniejsze. W nozdrza uderzył mnie niesiony z tamtej strony wiatrem smród, aż zbierało mi się na wymioty. Tak chyba cuchną zepsute ryby. Gdy znalazłem się we wsi, zauważyłem, że we wszystkich chałupach panuje straszliwa martwa cisza, że nikogo tu nie ma. Wieś nie była zburzona, ale splądrowana, jakby dopiero co stoczono tu bitwę. Nie było śladów pożaru, ale na drodze wały się skorupy talerzy i czarek, domy stały otworem, wszystkie drzwi były powyłamywane. Koty z miauczeniem bezczelnie wyciągały coś z pustych domów i nosząc to w pysku, łąziły żałosne po okolicy.

Dość długo stałem bez ruchu pośrodku wsi. Rzecz dziwna, nie czułem wówczas strachu ani niepokoju. Co się stało? Co się stało? – powtarzał w mojej głowie beznamiętny głos. Starając się nie robić hałasu, przeszedłem całą wieś od krańca do krańca. Wszędzie było pełno wychudłych dzikich kotów. Nic sobie ze mnie nie robiąc, przemykały mi pod nogami lub czaiły się, wlepiając we mnie błyszczące ślepia. Spragniony i głodny, wszedłem do jednej z pustych chat poszukać jedzenia, ale udało mi się tylko napić deszczówki, która zebrała się w donicy.

Zmogło mnie całodzienne zmęczenie. Zasnąłem, oparty jak wielbłąd o ścianę. W półśnie czułem, że koty łążą koło mnie i ciągną znajoną gdzieś zgniłą suszoną rybę. Gdy niekiedy otwierałem oczy, przez wyłamane drzwi widziałem bardzo czarne, bezgwiazdne niebo.

Nad ranem z powodu zimna chwycił mnie kaszel. Niebo bielało, z wnętrza chaty dostrzegałem już niewyraźne zarysy gór za wsią. Niebezpiecznie byłoby pozostawać tu dłużej. Muszę wstać, wyjść na drogę i opuścić tę bezludną wieś. Na drodze, tak samo jak wczoraj, leżały porozrzucane skorupy czarek i talerzy, i podarte szmaty.

Dokąd mam iść? Jednego byłem pewien, że bezpieczniej będzie pójść przez góry niż brzegiem morza, gdzie byłbym z dala widoczny. Gdzieś tu powinny być osady, w których ukrywają się chrześcijanie, tak jak w tej wsi jeszcze przed miesiącem.

Spróbuję ich odszukać, dowiem się, jak wygląda sytuacja, a później pomyślę, co powinienem dalej robić. Znów pomyślałem o Garrpem, z którym rozstaliśmy się wczoraj wieczorem. Co się z nim teraz dzieje?

Obchodziłem chaty jedną po drugiej i wreszcie w miejscu tak splądrowanym, że nie było gdzie nogi postawić, znalazłem trochę ryżu. Zebrałem go w leżącą na drodze szmatę i ruszyłem w stronę gór.

Szedłem polami wciąż pod górę, aż na szczyt pierwszego wzgórza, brudząc sobie nogi rozmiękłą od rosy ziemią. Poprzegradzane starymi kamiennymi murkami, pieczołowicie uprawiane górskie poletka o nieurodzajnej glebie świadczyły o ubóstwie tutejszych wiernych. Z tego wąskiego skrawka ziemi wzdłuż wybrzeża nie mogli ani wyżyć, ani zapłacić daniny. Nad wątłym zbożem i prosem unosił się zapach nawozu. Zwabione smrodem roje much kręciły się z brzęczeniem tuż przy mojej twarzy. Wreszcie na tle jaśniejącego nieba wyrosły tuż przede mną ostre niby miecze sylwetki gór. W chmurach, które dziś też były brudnobiałe, krążyło, skrzecząc, stado ptaków.

Na szczycie przystanąłem i popatrzyłem w dół na widoczną jak na dłoni wioskę. Wioska! Skupisko słomianych strzech jak garstki brunatnej ziemi. Lepianki z drewna i gliny. Ani na drodze, ani na czarnym brzegu morza nie było widać żywego ducha. Oparty o drzewo spoglądałem na welony mlecznych mgieł w dolinie. Tylko morze o poranku było czyste i jasne. Kilka małych wysepek tworzyło plamki na jego otwartej przestrzeni. W słabym jeszcze blasku słońca woda lśniła jak igiełki, a białe, spienione fale wgrzyzały się w brzeg. Pomyślałem, że wielu misjonarzy, poczynając od wielebnego Franciszka Ksawerego, Cabrala i Valignano, pod opieką wiernych przepływało tam i z powrotem to morze. Wielebny Ksawery, który był w Hirado, z pewnością przepływał i tędy. Bez wątpienia wyspy te odwiedzał wielokrotnie wielebny Torrès, pełen cnót przełożony japońskich misji. Lecz wszędzie, gdzie przybywali, czekali na nich stęsknieni wierni, czekały piękne, choć niewielkie kościółki przybrane kwiatami. Nie musieli jak ja wędrować pieszo, uciekać, nie wiedząc dokąd, kryć się po górach. Sam nie wiem czemu, uśmiechałem się, myśląc o tym.

Dziś też niebo zasnuwały chmury, ale zanosiło się na duchotę. Stado ptaków uporczywie krążyło nad moją głową. Ich ponure, natarczywe głosy cichły, gdy przystawałem, a kiedy ruszałem dalej, goniły za mną. Niekiedy jakiś ptak siadał na pobliskim drzewie i patrzył na mnie, łopocząc skrzydłami. Raz lub dwa cisnąłem kamieniem w przekłętą ptaszysko.

Dochodziło południe, gdy dotarłem do stromej górskiej grani w kształcie miecza. Wybierałem drogę tak, by ani na chwilę nie tracić z oczu morza i wybrzeża, i uważnie wypatrywałem wioski. Powoli niby okręt płynęła po niebie brzemienna deszczem chmura. Siedząc na trawie, rozkoszowałem się skradzionym w wiosce ryżem i ogórkami, których trochę zbierałem na polach. Świeży sok z ogórka dodał mi nieco sił i odwagi. Przez łąkę przeciągał wiatr: gdy zamknąłem oczy, poczułem, że niesie ze sobą zapach spalenizny. Zerwałem się na równe nogi.

Znalazłem ślad po ognisku. Ktoś był tu przede mną, nazbierał chrustu i rozpałił ogień. Gdy włożyłem palce w popiół, przekonałem się, że w środku jest jeszcze trochę ciepły.

Długo medytowałem nad tym, czy powinienem zawrócić, czy iść dalej. Chociaż dopiero jeden dzień błąkałem się samotnie po bezludnej wiosce i wśród brunatnych gór, już podupadłem na duchu. Pragnienie, by dogonić tego człowieka, bo kimkolwiek jest, zawsze to człowiek, walczyło przez chwilę w moim sercu z lękiem przed niebezpieczeństwem, jakie to spotkanie ze sobą niesie, ale w końcu uległem pokusie. Nawet Chrystus się tej pokusie nie oparł – tłumaczyłem sobie. – Zszedł przecież z góry i szukał ludzi.

Łatwo odgadnąć, gdzie poszedł człowiek, który pałił ognisko. Jest tylko jedna ścieżka. Musiał nią pójść w stronę przeciwną niż ta, z której ja przyszedłem. Spojrzałem w niebo. Spomiędzy brudnych chmur wyzierało jasne słońce, a w jego promieniach skrzeczało inne już stado ptaków.

Bardzo ostrożnie przyspieszyłem kroku. Na skraju łąki rosły tu i ówdzie pasanie, wiecznie zielone dęby i drzewa kamforowe. Niekiedy przypominały kształtem postać ludzką i wtedy zatrzymywałem się przerażony. Do tego dochodziły

towarzyszące mi cały czas głosy ptaków. Budziło to w moim sercu jakieś złe przeczucie. Szedłem przed siebie, a dla odwrócenia uwagi zastanawiałem się, do jakich gatunków należą widziane po drodze drzewa. Od dziecka lubiłem botanikę, więc i tu, w Japonii, od chwili przybycia rozpoznawałem znane mi wcześniej rośliny. Rosły tam wiązowce chińskie, drzewa *Aphanante aspera*, czerwone paprocie i inne gatunki, którymi Bóg obdarzył wszystkie krainy, ale rosły też krzewy i drzewa, jakich dotychczas nie spotkałem.

Po południu wypogodziło się nieco. W pozostałych na ziemi kałużach odbijał się błękit nieba i małe białe obłoczki. Kucnąłem i rozbijałem ręką te obłoczki, aby ochłodzić mokry od potu kark. Zamiast nich pojawia się w wodzie ludzka zmęczona, zapadła twarz. Dlaczego w takiej chwili wyobrażałem sobie oblicze innego Człowieka? Malowane przez wieki rękami tylu malarzy oblicze Ukrzyżowanego. Chociaż naprawdę żaden z nich Go nie widział, malarze ukazywali tę twarz jako najpiękniejszą i najświętszą, zawierając w niej modlitwy i marzenia całej ludzkości. Bez wątplenia, w rzeczywistości była ona jeszcze szlachetniejsza i dostojniejsza. A teraz w kałuży odbija się wykrzywiona ze zmęczenia i niepokoju twarz człowieka zaszczutego, ubrudzona błotem i zarośnięta. W takiej chwili ogarnia nas śmiech, wiedziałeś o tym? Przysunąłem się do wody i zacząłem robić głupie miny, jak pomylenieć wykrzywiałem usta, przewracałem oczami.

Co ja wyprawiam? Dlaczego robię takie głupoty?

Od strony lasu dochodził przytłumiony głos cykad. Wokół panowała cisza.

Słońce grzało coraz słabiej, niebo znów się zachmurzyło, a gdy trawę zaczął pokrywać cień, dałem sobie spokój ze ściganiem człowieka, który palił ognisko.

Nasyciliśmy się na drogach bezprawia i zguby,
błądziliśmy po bezdrożnych pustyniach (...) [15].

Wlokłem się, recytując słowa z Ksiąg Biblii, które przychodziły mi do głowy.

Słońce wschodzi i zachodzi,
i na miejsce swoje spieszy z powrotem,
i znowu tam wschodzi.

Ku południowi ciągnąc
i ku północy wracając,
kolistą drogą wieje wiatr
i znowu wraca na drogę swojego krążenia.
Wszystkie rzeki płyną do morza,
a morze wcale nie wzbiera;
(...)
To, co było, jest tym, co będzie,
a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie (...) [16]
(...) marność nad marnościami – wszystko marność [17].

I wtedy nagle odżył w mej pamięci szum morza, który czasem było słychać nocą w naszej górskiej kryjówce. Ów huk fal, rozlegający się w mroku niby smętny łoskot bębna. Ów pozbawiony sensu szum, który przez całą noc to się zbliżał, to znów oddalał. Te nieczułe fale morskie obmywały ciała Mokichiego i Ichizo, wsysały je w siebie, po ich śmierci rozlewały się szeroko jak przedtem.

Bóg też milczy, jak to morze. Ciągłe milczy.

Nie! – pokręciłem głową. Gdyby nie było Boga, człowiek nie zniósłby tego jednostajnego szumu morza i jego złowroziej obojętności.

A gdyby jednak (to oczywiście nieprawdopodobne, ale gdyby jednak) nie było Boga? – wyszeptał obcy głos w głębi mojego serca.

To była straszna myśl. Gdyby On nie istniał, wszystko byłoby absurdalne. Jakąż farsą byłoby życie Mokichiego i Ichizo, którzy przywiązani do słupów, cierpieli, gdy zalewała ich woda! A misjonarze, którzy przepływali liczne morza i potrzebowali aż trzech lat, żeby dotrzeć do tego kraju? Jakże niedorzeczne okazałyby się ich wizje! I jakim absurdem było to, że teraz ja błąkam się po tych górach, gdzie nie ma śladu człowieka!

Rwałem trawę i gryzłem ją z całych sił, chcąc opanować myśli, od których robiło mi się słabo. Wiedziałem dobrze, że największym grzechem jest utrata ufności pokładanej w Bogu, ale nie mogłem pojąć, dlaczego Bóg milczy. „Gdy przyszła zatrata na bezbożnych,/ ona wybawiła sprawiedliwego,/ gdy zbiegł przed ogniem na

pięć miast spadającym”^[18] – mówi Pismo. On jednak nie przemówił słowem do wiernych, choć nad tą jałową ziemią unosi się dym, a drzewa dźwigają owoc, który nigdy nie dojrzeje.

Ślizgając się po zboczu, zbiegłem z góry. Bałem się, że gdy będę szedł wolno, te nieprzyjemne myśli jedna po drugiej opanują moją świadomość. Gdy je uznam za prawdziwe, całe moje dotychczasowe życie legnie w gruzach.

Poczułem na policzkach kropelki deszczu. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że po szarym dotąd niebie płynie z wolna wielka czarna chmura jak rozcapierzone palce. Kropel było coraz więcej, a wkrótce strugi deszczu jak struny harfy utworzyły nad łąką zasłonę. Dostrzegłem tuż obok ciemny zagajnik, więc się w nim schroniłem. Chmary ptaków niby wypuszczone z łuku strzały fruwały, także szukając schronienia. Deszcz tłukł o liście dębów. Tu i ówdzie słychać było stuk, jakby kamyki uderzały o dach. Moja kapota przemokła do suchej nitki. W srebrnych strugach ulewy wierzchołki drzew kołysały się jak wodorosty. I wtedy właśnie zauważyłem na zboczu, hen za tymi kołyszącymi się gałęziami, małą walącą się szopę. Bez wątplenia postawili ją mieszkańcy wsi, przychodzący tu ścinać drzewo.

Tymczasem deszcz nagle ustał. Łąka znowu pojaśniała, ptaszki zaświergotały jak ze snu obudzone, a z liści buków i wawrzynowców kapały głośno wielkie krople. Ocierając dłońmi strużki deszczu spływające mi z czoła do oczu, poszedłem w stronę szopy. Gdy wszedłem do środka, w nozdrza uderzył mnie odór. Tuż obok wejścia krążyły muchy. Uciekły znad zupełnie świeżego ludzkiego kału.

Po tych nieczystościach poznałem od razu, że człowiek, który przede mną idzie, odpoczywał tu i że odszedł stąd całkiem niedawno. Prawdę mówiąc, byłem zły na niego, że zachował się tak brzydko w tym miejscu, ale z drugiej strony sytuacja była na tyle idiotyczna, że nie mogłem się powstrzymać i wybuchnąłem śmiechem. W obliczu tak absurdalnego widoku nawet niejasne podejrzenia, jakie żywiłem wobec tego człowieka, zupełnie się rozwiały. Zwarta konsystencja tego, co zostawił, świadczyła, że nie był on starcem i posiadał krzepkie, zdrowe ciało.

W szopie snuł się jeszcze dym z paleniska. Na szczęście pozostało trochę żaru, więc powoli wysuszyłem przemokłą kapotę. Z dotychczasowego tempa wywnioskowałem, że nawet jeśli stracę tu trochę czasu, nie będzie mi trudno

dogonić tego człowieka.

Gdy wyszedłem z szopy, łąkę i las, gdzie przed chwilą się chroniłem, oblewał złoty blask. Liście drzew szeleściły jak piasek. Podniosłem z ziemi suchą gałąź i podpierając się nią, ruszyłem w drogę. Po pewnym czasie wyszedłem na zbocze, skąd było znów widać wyraźnie brzeg morza w dole.

Woda niezmiennie lśniła jak igiełki, wgrzyzając się w ląd wygięty w kształt łuku. Była to zatoka, której brzeg miejscami był plażą o mlecznobiałym piasku, miejscami zaś piętrzyły się na nim drobne czarne kamyki. Znajdowało się tam coś w rodzaju małej przystani. Na piasek wyciągnięto kilka rybackich łodzi. Dalej na zachód widniała jak na dłoni rybacka wioska otoczona lasem. Była to pierwsza osada ludzka, jaką zobaczyłem od rana.

Usiadłem na zboczu i obejmując rękoma kolana, przyglądałem się wsi smętnym wzrokiem bezdomnego psa. Do tej wsi zszedł być może człowiek, który pozostawił w szopie ognisko.

I ja mogę tam dotrzeć, jeśli zbiegnę tym zboczem w dół. Jednak żeby się upewnić, czy we wsi są wierni, czy też nie, poszukałem wzrokiem kościoła lub krzyża.

Wielebny Valignano i czcigodni ojcowie z Makao mieli rację. Nie należy sobie wyobrażać, że kościoły w tym kraju są takie jak u nas. Tutejsi władcy nakazywali misjonarzom, aby używali jako kościołów dotychczasowych rezydencji i świątyń buddyjskich. Z tej to przyczyny, jak się wydaje, wśród chłopów było wielu takich, którzy mylili naszą religię z buddyzmem, uważając, że to jedna i ta sama nauka. Nawet świętemu Franciszkowi Ksaweremu zdarzało się na początku powodować takie nieporozumienia na skutek pomyłki tłumacza. Japońscy słuchacze jego nauk uznali naszego Pana za istotę tożsamą ze Słońcem, w którego boskość naród japoński od dawna wierzy.

Nie mogłem zatem powiedzieć, że tutaj nie ma kościoła, dlatego jedynie że nie zauważyłem budynku z wieżą. Być może kościół mieści się w nędznej chacie skleconej z błota i kawałków drewna. Może ci biedni chrześcijanie czekają z wytęsknieniem na kapłana, który da im Ciało Pańskie, wypowiada i ochrzci ich dzieci. Jestem teraz jedynym, który niesie wodę życia na tej leżącej ugiętej ziemi,

z której wypędzono wszystkich misjonarzy i kapłanów, na tej pogrążającej się w mroku wyspie. I ten jedyny siedzi tutaj w zabłoconej chłopskiej kapocie, rękoma obejmując kolana. Panie, wszystko, co stworzyłeś, jest dobre! Jakże piękne są Twoje przybytki!

Targany gwałtownym uczuciem, podpierając się gałęzią i ślizgając raz po raz w kałużach, jakie jeszcze pozostały po deszczu, gnałem w dół ku mojej parafii. Tak, to była powierzona mi przez Boga moja parafia. I wtedy nagle jakby ziemia zajęczała. Na skraju otoczonej sosnami wsi rozległy się głosy ludzkie, ni to jęki rozpacz, ni to zawodzenie. Stanąłem oparty na lasce i ujrzałem wyraźnie przed sobą ciemnoczerwone płomienie i dym.

Pojąłem instynktownie, co się stało, i obróciwszy się do tyłu, popędziłem, tym razem w górę, zboczem, z którego przed chwilą się ześlizgiwałem. Wtedy właśnie zauważyłem, że po drugiej stronie zbocza też ucieka człowiek w szarej chłopskiej kapocie. Zobaczywszy mnie, stanął przerażony. Widziałem wyraźnie jego twarz wykrzywioną zdziwieniem i trwogą.

– *Padre!* – krzyknął, machając rękoma.

Wykrzykując coś, wskazywał palcem na wieś, gdzie płomienie strzelały w górę, i ruchami rąk dawał do zrozumienia, żebym się schował. Co tchu przebiegłem łąkę i ukrywając się w cieniu skały, która przycupnęła jak zwierzę, starałem się uspokoić oddech. Usłyszałem kroki i spomiędzy skał naprzeciwko spojrzały na mnie brudne, małe, szczurze oczka tamtego.

Poczułem, jakby po dłoni spływał mi pot. Popatrzyłem – to była krew. Musiałem się gdzieś uderzyć, wbiegając tu za skałę.

– *Padre!* – oczka wpatrywały się we mnie. – Ileż to czasu!

Na zarośniętej twarzy pojawił się unizony uśmiech, jakby mężczyzna chciał mnie udobruchać.

– Tu niebezpiecznie, ale będę pilnował!

A gdy milcząc, popatrzyłem mu w twarz, jak skarcony przez pana pies zmrużył oczy. Następnie zerwał rosnące obok źdźbło trawy i zaczął gryźć pośliskimi zębami.

– Ale się pali! Coś strasznego! – spoglądając w dół na wioskę, mówił do siebie umyślnie tak głośno, abym ja też słyszał. Patrząc na niego, uświadomiłem sobie wreszcie, że to on zanieczyścił szopę. Ale dlaczego wałęsa się po górach tak jak ja? Z pewnością jego, który podeptał święty obraz, urzędnicy już nie ścigają.

– *Padre*, po coście przyjechali na wyspę? Tu też już jest niebezpiecznie. Ale ja znam osadę, gdzie jeszcze kryją się chrześcijanie.

Milczałem nadal. Na każdą kolejną wieś, w której przebywał ten człowiek, najężdżają urzędnicy. Od jakiejś chwili w mojej głowie rosło podejrzenie. Czyżby był na usługach władz? Już dawniej słyszałem, że odstępcy stają się narzędziami w rękach urzędników. Chcieliby, aby jak najwięcej ich dawnych współwyznawców spotkał taki sam los jak ich. Byłoby to usprawiedliwieniem ich nędzy i upadku. Ich psychika przypomina zupełnie upadłe anioły, które chcą skusić do grzechu wiernych Bogu.

Wieczorna mgła zaczęła już spowijać okolicę. Pożar, który wybuchł we wsi, nie ograniczył się do jednego zakątka, lecz rozprzestrzenił się na słomiane strzechy dokoła. Purpurowe płomienie pełgały we mgle niczym żywe istoty. A jednak wokół panowała przerażająca cisza. Ten spokój był straszny. Cała wieś i zamieszkujący ją chłopci zdawali się przyjmować swoją mękę w zupełnym milczeniu. Może nie płakali już nawet ani nie lamentowali, bo przez długie, długie lata cierpienie musieli do nich przywyknąć.

Odwróciłem wzrok od wsi i ruszyłem dalej, ale zadałem sobie tym taki ból, jakbym zdzierał strupy z niezabliźnionych do końca ran. Jesteś podły! Jesteś tchórzem! – słyszałem w sercu jeden głos, drugi zaś szeptał mi do ucha: Nie wolno ci dać się ponieść chwilowym emocjom. Jesteście z Garrpem jedynymi kapłanami w tym kraju. Jeśli zginiecie, zniknie tym samym z Japonii Kościół! Musicie pozostać przy życiu, ty i Garrpe, nawet za cenę wszelkich upokorzeń i męki!

Zastanawiałem się, czy ten głos to nie próba usprawiedliwienia własnej słabości. Lecz przyszła mi nagle na myśl opowieść zasłyszana w Makao. Była to historia pewnego franciszkanina, który porzucił kryjówkę, gdzie się czas dłuższy chował, by uniknąć męczeństwa, i przybył na zamek feudalnego pana Omury. Ujawnił, że jest księdzem. Wszyscy wiedzą, jak jego chwilowy poryw odbił się na wiernych i jak

trudno było się później ukrywać innym kapłanom. Zadaniem duchownych nie jest męczeństwo. Muszą oni pozostawać przy życiu w czasach prześladowań, by nie zgasło światło Kościoła.

Kichijiro jak bezpański pies szedł w pewnej odległości za mną. Gdy stanąłem, zatrzymał się i on.

– Nie idźmy tak szybko, proszę! Źle się czuję! – zawołał za mną, wlokąc z trudem nogi. – Dokąd idziecie, *padre*? Wiecie chyba, że w Urzędzie Naczelnika za jednego *padre* płacą trzysta sztuk srebra?

– Za mnie trzysta sztuk srebra?

Były to moje pierwsze słowa do Kichijiro. Jednocześnie uśmiechnąłem się gorzko. Judasz sprzedał Chrystusa Pana za trzydzieści srebrników. Za mnie dają sumę dziesięć razy większą.

– Niebezpiecznie jest chodzić samemu!

Chyba się uspokoił, bo zaczął iść obok mnie, uderzając gałęzią rosnące przy drodze trawy. W wieczornym mroku słychać było głosy ptaków.

– *Padre!* Znam miejsce, gdzie mieszkają wierni. Tam będzie bezpiecznie. Dziś tu zanocujemy, a jutro po wschodzie słońca pójdziemy dalej.

Nie doczekawszy się mojej odpowiedzi, przykucnął, zgarnął zręcznie suchy, niezmochny rosą chrust i wydobyty z worka krzesiwem rozniecił ogień.

– Jesteście chyba głodni?

Wyjął z worka kilka suszonych ryb. Patrzyłem na nie chciwie, przełykając ślinę. Jedzenie, które Kichijiro kładł przede mną, było zbyt wielką pokusą dla wygłodniałego ciała. Od rana miałem w ustach tylko ogórki i trochę ryżu. Gdy ryba zaczęła się podpiekać w ogniu, wokół rozszedł się zapach smakowity nie do wytrzymania.

– Jedzcie, proszę!

Bez żadnego wstydu wbiłem łapczywie zęby w rybę. Wystarczył kawałek ryby, by w moim sercu pojawiła się wyrozumiałość dla Kichijiro. A on patrzył, jak ruszam ustami, z wyrazem zadowolenia i pogardy zarazem. Żuł przy tym niezmiennie trawę, jakby to był tytoń.

Wszystko dokoła pogrążone było w mroku. Od gór ciągnął chłód, zaczęła opadać rosa, aż czuło się ją na ciele. Wyciągnąłem się przy ogniu, udając, że śpię. Nie mogę spać. Kichijiro zamierza zapewne wymknąć się po cichu, gdy zasnę. Z pewnością sprzeda mnie tak, jak zdradził towarzyszy. Kto wie, może to nastąpi już tej nocy. Trzysta sztuk srebra dla takiego jak on, niemal żebraka, to pokusa przyprawiająca o zawrót głowy. Jakimże oślepiającym blaskiem musi wabić go ta suma! Pod zmęczonymi powiekami przepływały mi żywe obrazy morza i wysp, na które patrzyłem dziś rano ze wzgórza i z łąki. Skrzące się jak igiełki morze i rozsiane po nim wysepki! Kiedyś misjonarze wśród błogosławieństw przepływali łódeczkami to piękne morze! Kiedyś kościoły przystrajano kwiatami, a wierni nawiedzali je, przynosząc ryż i ryby! Wielebny Valignano opowiadał, że były nawet czasy, kiedy tu, w Japonii, zakładano seminaria, a alumni budzili wzruszenie panów feudalnych, śpiewając tak jak my łacińskie pieśni oraz grając na takich nawet instrumentach jak harfa i organy.

– Śpicie, *padre*?

Nie odpowiadając, spod przymkniętych powiek śledziłem Kichijiro. Jeżeli wymknie się stąd ukradkiem, to z pewnością po to, aby wrócić w towarzystwie urzędników.

Bacznie się przypatrując, jak oddycham przez sen, zaczął się powolutku podnosić. Obserwowałem uważnie: oddalił się, stąpając bezszelestnie jak zwierzę, i wkrótce usłyszałem, że oddaje mocz w zaroślach. Myślałem, że pójdzie dalej, ale, rzecz dziwna, wrócił i wzdychając, znów usiadł przy ognisku. Dorzucił świeżego chrustu na spopieliałe gałązki i grzejąc ręce nad płomieniem, westchnął jeszcze kilka razy. Ciemnoczerwone płomienie wydobywały z mroku jego profil, wychudłe policzki. Potem zasnąłem, zmęczony po ciężkim dniu. A gdy budziłem się od czasu do czasu, widziałem, że Kichijiro siedzi przy ogniu.

Nazajutrz szliśmy dalej w bezlitosnym słonecznym skwarze. Z ziemi, mokrej jeszcze po wczorajszym deszczu, unosiły się białe opary, a hen za wzgórzami widać było oślepiająco białe obłoki. Od jakiegoś czasu bolała mnie głowa i czułem suchość w gardle. Kichijiro, który nie zauważył chyba mojej zbolącej miny, przyciskał laską węże, które od czasu do czasu przecinały ścieżkę i kryły się w trawie, i wkładał je do

brudnego worka.

– My, chłopcy, jemy tę gadzinę jako lekarstwo.

Uśmiechał się, szczerząc żółte zęby.

„Dlaczego nie wydałeś mnie wczorajszej nocy za trzysta sztuk srebra?” – pytałem go w myślach, a w wyobraźni odtwarzałem sobie najtragiczniejszą scenę z Pisma Świętego. Scenę, w której Chrystus przy stole podczas wieczerzy rzekł do Judasza: „Co chcesz czynić, czyni prędeż!”^[19].

Nawet gdy byłem już kapłanem, nie potrafiłem w pełni zrozumieć sensu tych słów. Wlokąc się teraz z Kichijiro wśród unoszących się nad ziemią oparów, rozważałem to ważne zdanie z Pisma w odniesieniu do swojej sytuacji. Co czuł, co myślał Chrystus, mówiąc te słowa do człowieka, który Go sprzedał za trzydzieści srebrników? Czy to były słowa gniewu i urazy? Czy może słowa płynące z miłości? Gdyby to były słowa gniewu, znaczyłoby to, że Chrystus w owej chwili tego jednego spośród wszystkich ludzi na świecie wykluczył ze zbawienia. I Judasz, który przyjął poważnie Jego słowa wypowiedziane w gniewie, nigdy nie będzie zbawiony. Tym samym Pan nasz skazałby jednego z ludzi na wieczne potępienie.

To niemożliwe! Chrystus chciał zbawić także Judasza! Gdyby było inaczej, nie uczyniłby go jednym ze swoich uczniów. Dlaczego zatem nie powstrzymał go wtedy, gdy zbłądził!? Tego właśnie od czasów seminaryjnych nie mogłem zrozumieć.

Pytałem o to różnych ojców. Z pewnością i Ferreirze musiałem zadać to samo pytanie, ale nie pamiętam, co mi wtedy odpowiedział. Co więcej, nie wydaje mi się, żeby jego odpowiedź rozwiązała moje wątpliwości raz na zawsze.

„To nie gniew ani żal. Te słowa płynęły z nienawiści”.

„Z jakiej nienawiści, ojciec wielbny? Czy Chrystus nienawidził wszystkiego, co było w Judaszu? Czy wówczas przestał go już kochać?”

„Nie. Wyobraźmy sobie na przykład męża zdradzonego przez żonę. Nadal ją kocha, ale nie może jej wybaczyć zdrady. Chrystus w stosunku do Judasza czuł właśnie to, co odczuwa zdradzany mąż: kocha żonę, ale nienawidzi jej postępowania, które budzi w nim odrazę i wstręt”.

Takich uproszczonych wyjaśnień udzielali mi ojcowie, ale byłem wtedy zbyt młody, by je zrozumieć. Nie, nie tylko wtedy, ja ich nie rozumiem do dziś. W moich oczach, niech mi będzie wybaczone to bluźnierstwo, Judasz jawi się jako marionetka, pożałowania godna kukielka poruszana sznurkami na chwałę Chrystusa: jego tragicznego żywota i śmierci krzyżowej.

„Co chcesz czynić, czynić prędzej!” Ja teraz tych słów do Kichijiro nie mogłem powiedzieć. Naturalnie dlatego, że troszczyłem się o swoje własne bezpieczeństwo, ale również dlatego, że jako kapłan pragnąłem, by Kichijiro do dawnych zdrad nie dodał nowej, i miałem nadzieję, że to się spełni.

– Tu ścieżka wąska. Ciężko będzie iść.

– Nie ma tu gdzieś rzeki?

W gardle zaschło mi tak, że już nie mogłem dłużej wytrzymać.

Kichijiro uśmiechnął się lekko i przyjrzał mi się uważnie.

– Chcecie wody? Za dużoście się najedli tamtej suszonej ryby!

Ptaki jak wczoraj zataczały koła na niebie. Gdy popatrzyłem w górę, jasny, oślepiający blask słońca poraził mój wzrok. Zwilżając językiem wargi, żałowałem własnej bezmyślności. Jedna suszona ryba okazała się dla mnie klęską.

Szukałem kałuży, ale daremnie. Na łące tu i ówdzie brzęczały zmęczone upałem owady. Łagodny wietrzyk od strony morza niósł zapach wilgotnej ziemi.

– Nie ma tu rzeki? Naprawdę?

– Może w wąwozie jest strumyk. Zaczekajcie.

Nie słuchając mojej odpowiedzi, Kichijiro zsunął się w dół po zboczu. Gdy zniknął w cieniu skały, nagle wokoło zapanowała cisza. Wśród suchych traw owady pocierały z szelestem skrzydełkami o skrzydełka. Jaszczurka nieśmiało wśliznęła się na kamień i zaraz uciekła. Jej złękniiony pyszczek wystawiony na słońce, gdy patrzyła na mnie, przypominał bardzo twarz Kichijiro, który przed chwilą zniknął z moich oczu.

Czy on naprawdę szuka dla mnie wody? Czy może poszedł donieść komuś, że tu jestem?

Podpierając się laską, ruszyłem dalej. Pragnienie jeszcze się wzmogło. Teraz

stało się dla mnie zupełnie jasne, że Kichijiro umyślnie nakarmił mnie suszoną rybą. Przypomniałem sobie Jezusa na krzyżu: „...rzekł »Pragnę«. Stało tam naczynie pełne octu. Nałożono więc na hizop gąbkę pełną octu i do ust Mu podano”^[20].

W tej samej chwili wydało mi się, że czuję w ustach smak octu, zrobiło mi się niedobrze i zamknąłem oczy.

Z daleka dobiegł mnie ochrypły głos:

– *Padre! Padre!*

Kichijiro przywłókł się z rurką bambusową w rękę.

– Dlaczego uciekaliście, *padre*?

Patrzył na mnie smutno zaropiałymi jak u zwierzęcia oczyma. Przytknąłem do ust rurkę, którą mi podał, i na nic już nie zważając, piłem, aż bulgotało mi w gardle. Woda ciekła mi między palcami, spływała na kolana.

– Uciekaliście ode mnie. *Padre*, wy też mi nie wierzycie!

– Nie obrażaj się. Jestem zmęczony. Może zostawisz mnie już samego?

– Samego? Dokąd pójdziecie? Niebezpiecznie! A ja znam wieś, gdzie ukrywają się chrześcijanie. I kościół tam jest. I jest też *padre*!

– Kapłan? – Bezwiednie podniosłem głos.

Nie do pomyslenia, żeby na tej wyspie był oprócz mnie jeszcze jakiś ksiądz. Popatrzyłem podejrzliwie na Kichijiro.

– Tak, *padre*. I to nie jest Japończyk. Tak słyszałem.

– To niemożliwe.

– Nie wierzycie mi, *padre* – szepnął ledwie dosłyszalnie.

Stał, zrywając trawę.

– Nikt mi już nie wierzy.

– To cena za to, że mogłeś się uratować. A Mokichi i Ichizo poszli jak kamienie na dno morza.

– Mokichi był silny! Jak silne sadzonki roślin, które sadzimy. A słabe sadzonki, żeby nie wiem jak je nawozić, i tak nie urosną i nie obrodzą. Tacy jak ja, co mają słaby charakter od urodzenia, są, *padre*, jak te słabe sadzonki.

Spodziewając się najwidoczniej, że go surowo zgromię, cofnął się nieco i patrzył

na mnie wzrokiem skarconego psa. Ale ja nie byłem w nastroju, by potępiać jego słowa. Zasmucony szeptałem, że nie wszyscy ludzie, jak mówił Kichijiro, są świętymi i bohaterami. Iluż to wiernych, gdyby nie przyszło im żyć w czasach prześladowań, mogłoby nadal trwać przy naszej świętej wierze, nie musiałyby wyrzekać się wiary ani poświęcać za nią życia. Pokonał ich strach fizyczny, bo byli tylko zwykłymi przeciętnymi chrześcijanami.

– Ja... nie mam dokąd iść, *padre!* Łażę więc po tych górach.

Litość wypełniła moje serce. Kazałem mu uklęknąć, a Kichijiro, zginając niby osioł kolana, z drzeniem ukląkł na ziemi.

– Może wyspowiadasz się z winy wobec Mokichiego i Ichizo?

Są dwa rodzaje ludzi już od urodzenia. Są silni i są słabi. Święci i zwykli ludzie. Bohaterowie i tchórze. Silni w czasach prześladowań w imię wiary zniosą wszystko: palenie w ogniu i topienie w morzu. A słabi błąkają się po górach jak Kichijiro. A do którego rodzaju ja należę? Gdyby nie wzgląd na kapłański honor i obowiązek, któż wie, może bym tak jak Kichijiro podeptał święty obraz.

– Któryś za nas cierpiał rany...

– Któryś za nas cierpiał rany...

Szeptałem słowa modlitwy, a Kichijiro powtarzał za mną jak dziecko za matką. Na biały kamyk znów wpełzła jaszczurka, z głębi lasu dochodziło granie pierwszych cykad, dusząca woń traw unosiła się ponad kamieniami. I wtedy usłyszałem kroki ludzi nadchodzących od strony, skąd przyszliśmy przed chwilą. Wyszli z zarośli i podeszli do nas.

– *Padre!* Wybaczcie! – niemal z płaczem krzyknął Kichijiro, klęcząc jeszcze na ziemi. – Ja jestem słaby! Nie będę nigdy tak silny jak Mokichi, jak Ichizo!

A mnie chwyciły męskie ramiona i podniosły z ziemi. Jeden z mężczyzn cisnął z pogardą kilka drobnych monet ciągle jeszcze klęczącemu Kichijiro prosto pod nos.

Bez słowa popchnęli mnie naprzód. Poszedłem wyschniętą ścieżką, potykając się od czasu do czasu. Spojrzałem za siebie, w oddali widać było drobną twarz Kichijiro, który mnie zdradził. Podobną do jaszczurki twarz o złękniionych oczach...

[14] *Fumie* – dosłownie: deptany obraz; tego określenia używano zarówno w odniesieniu do wizerunku, do którego deptania zmuszano wiernych wyrzekających się wiary, jak i do samego procesu podeptania świętego wizerunku.

[15] Księga Mądrości 5, 7.

[16] Księga Koheleta 1, 5–9.

[17] *Ibidem*, 1, 2.


[18] Księga Mądrości 10, 6.

[19] Ewangelia wg św. Jana 13, 27.

[20] Ewangelia wg św. Jana 19, 28–29.

沈黙

V

hociaż świeciło jasne słońce, we wsi było dziwnie mroczno. Gdy go prowadzono, spomiędzy chałup krytych strzechą obłożoną małymi kamykami wpatrywali się weń uważnie błyszczącymi oczyma, jak zwierzęta, dorośli i dzieci, wszyscy odziani w łachmany.

Miał złudzenie, że to wierni, i z całych sił starał się uśmiechać, ale nikt nie odwzajemnił jego uśmiechu. W pewnej chwili nagie dziecko na niepewnych nóżkach wyszło na drogę przed idący konwój. Lecz natychmiast wypadła za nim rozczochrana matka i prawie się przewracając, porwała je w ramiona i uciekła jak pies. Żeby opanować drzenie ciała, ksiądz rozpamiętywał całym sercem ową noc, gdy tamtego Człowieka wleczono z Ogrodu Oliwnego do pałacu Kajfasza.

Gdy wyszli ze wsi, nagle oślepił go blask słońca. W głowie mu się zakręciło, więc przystanął. Mężczyzna idący za nim popchnął go, mrużąc coś z cicha. Zmuszając się do uśmiechu, poprosił, żeby mu pozwolono trochę odpocząć, ale tamten z surową miną pokręcił głową. Nad zalanymi blaskiem słońca polami unosił się zapach nawozu. Skowronki śpiewały wesoło. Nieznane mu z nazwy drzewa rzucały przyjemny cień i łagodnie szeleściły liśćmi. Wiodąca przez pola ścieżka zwężała się stopniowo, a tam gdzie zaczynały się góry, w leżącej obok ścieżki dolinie, widać było szłas z gałęzi. Wyraźny czarny cień szłasu padał na ziemię o barwie gliny. Kilkoro ludzi, mężczyzn i kobiet, w codziennych chłopskich kapotach siedziało obok siebie na ziemi. Ręce mieli związane. O czymś rozmawiali, ale na widok postaci księdza otoczonego przez strażników pootwierali ze zdziwienia usta. Policjanci podprowadzili księdza do tych ludzi i uznawszy, że robota skończona, zaczęli śmiać się i pogadywać między sobą. Nie wyglądało nawet, że

pilnują więźniów, by nie uciekli. Gdy ksiądz usiadł na ziemi, kilkoro ludzi wokół niego pochyliło z szacunkiem głowy.

Chwilę milczał. Mucha krążyła uparcie wokół jego twarzy, zwabiona potem płynącym mu z czoła. Wsłuchując się w cichy odgłos muszych skrzydełek, grzejąc plecy w promieniach słońca, stopniowo zaczął nawet odczuwać coś w rodzaju przyjemności. Niby wiedział, że oto w końcu został schwytany i nic nie może zmienić tego faktu, ale dokoła było tak cicho i spokojnie, że zastanawiał się, czy to jednak nie halucynacja. Przypomniało mu się nawet, nie wiedzieć czemu, słowo „święto”. Policjanci, jakby nic się nie stało, gawędzili sobie i nawet się uśmiechali. Słońce świeciło jasno wprost na stojący w dolinie szałas zbudowany z gałęzi i traw. Od dawna z niepokojem, a nawet lękiem, wyobrażał sobie dzień swego pojmania, ale nigdy by nie przypuszczał, że będzie on tak spokojny. Teraz czuł niedający się wyrazić niedosyt, a nawet rozczarowanie, że on sam nie jest ani tak tragiczny, ani tak heroiczny jak Chrystus i tylu innych męczenników.

– *Padre!* – odezwał się siedzący obok mężczyzna z bielmem na oku, poruszając związanymi rękoma. – Co się stało?

Wtedy pozostali również podnieśli głowy i z prawdziwym zaciekawieniem czekali na odpowiedź księdza. Cała ta gromadka niby bezrozumne zwierzęta zdawała się nie mieć najmniejszego pojęcia, co ją czeka. Gdy ksiądz odpowiedział, że schwytano go w górach, mężczyzna chyba nie zrozumiał dobrze, bo przyłożywszy rękę do ucha, zapytał jeszcze raz. Uchwyciwszy wreszcie sens, mruknął:

– Ach, tak!

Wszyscy zaczęli wzdychać ni to ze zrozumieniem, ni to z przejęciem.

– On całkiem dobrze mówi po naszymu! – zachwyciła się jedna z kobiet japońszczyzną księdza i jak dziecko krzyknęła: – Cudnie!

Policjanci też się tylko śmiali, nikogo specjalnie nie strofując ani nie pilnując dyscypliny. Co więcej, gdy jednooki bezceremonialnie zawołał do jednego ze strażników, tamten odpowiadał mu z uśmiechem.

– Co to za ludzie? – zwrócił się ksiądz po cichu do kobiety.

Odpowiedziała mu, że policjanci to ludzie z ich wsi, a teraz czekają na przybycie

urzędnika.

– My jesteśmy chrześcijanie, ojcze, a oni nie. To poganie.

Powiedziała to tak, jakby ten podział wcale nie był ważny.

– Jedzcie, proszę! – związanymi w przegubach rękoma wyjęła ukryte w zanadru małe białe ogórki, jeden ugryzła sama, a drugi podała księdzu. Gdy ugryzł, usta wypełnił mu zapach surowizny. Jak mysz wbijając siekacze w ogórek, ksiądz stwierdzał w myślach, że odkąd jest w tym kraju, przysparza wiernym samych tylko kłopotów. Dostał od tych biedaków szopę do mieszkania, dali mu chłopską kapotę, nie skąpili jadła. Teraz więc on powinien im coś dać. Ale nie miał niczego, co mógłby ofiarować, prócz swoich uczynków i śmierci.

– Jak się nazywasz?

– Monika.

Kobieta powiedziała mu swoje imię chrzestne lekko zawstydzona, jakby pokazywała jedyną swoją ozdobę. Jakiż to misjonarz dał tej cuchnącej rybami kobiecie imię matki Augustyna, wielkiego świętego?

– A tamten? – wskazał na jednookiego, który ciągle rozmawiał ze strażnikiem.

– Pytacie o Chokichiego? On ma na imię Juan.

– A jak się nazywał *padre*, który was ochrzcił?

– To nie był *padre*. To był brat Ishida, chyba go znacie, *padre*?

Ksiądz potrząsnął głową. Poza Garrpem nie znał w tym kraju żadnych duchownych.

– Nie znacie go? – kobieta przyglądała mu się, nieco zaskoczona. – Czy to ten, co został zabity na górze Unzen?

– Nie boicie się? – ksiądz powiedział w końcu to, co od jakiegoś czasu nie dawało mu spokoju. – Przecież niedługo i my możemy zginąć tak jak Ishida.

Kobieta spuściła wzrok i wpatrywała się nieruchomo w trawę pod nogami. Mucha, którą przyciągał zapach potu księdza i kobiety, zaczęła znów krążyć wokół ich głów.

– Nie rozumiem. Brat Ishida zapewniał nas uroczyście, że gdy pójdziemy do raju, czeka nas tam wieczne szczęście. Nie ściągają tam bez litości daniny, nie ma

głodu, chorób ani trosk. Nie ma znoju. Na tym padole męczymy się tylko – westchnęła – zmuszani do pracy ponad siły. W *paraiso* tak nie będzie, prawda, *padre*?

Raj, taki jak ty go sobie wyobrażasz, nie istnieje – chciał powiedzieć kapłan, ale powstrzymał się. Zdaje się, że ci chłopcy niby dzieci uczące się katechizmu widzą w marzeniach Królestwo Niebieskie jako inny świat bez danin i znoonej pracy. Nikt nie ma prawa niszczyć brutalnie ich marzenia.

Masz rację – szepnął w duszy, przymykając oczy. – Tam niczego nikt nam nie będzie odbierał.

Potem zapytał jeszcze:

– Czy znasz *padre* o nazwisku Ferreira?

Kobieta pokręciła głową. Czyżby Ferreira i tu nigdy nie był, podobnie jak we wsi Tomogi? A może jego nazwisko jest wśród japońskich wiernych słowem zakazanym, którego nie wolno wymawiać? – taka myśl też przyszła mu do głowy.

Znad krawędzi doliny dobiegł donośny głos. Podnieśli głowy. Na skale stał wraz z dwoma wieśniakami niski, pulchny staruszek samuraj i uśmiechnięty spoglądał ku nim w dół. Widząc jego uśmiech, ksiądz od razu, nie wiedząc czemu, nabrał pewności, że to właśnie ten człowiek przeprowadzał śledztwo w Tomogi.

– Ależ upał!

Samuraj, chłodząc się wachlarzem, wolno schodził ze skały.

– Coraz goręcej, na polu ciężko wytrzymać.

Monika, Juan oraz inni mężczyźni i kobiety ukłonili się z szacunkiem, kładąc związane ręce na kolanach. Starzec kątem oka dojrzał głowę księdza, tak samo pochyloną w ukłonie, ale minął go, ignorując zupełnie. Gdy przechodził obok, jego narzutka *haori* zaszeleściła, a wokół rozszedł się zapach wonności, którymi była skropiona.

– Nie było tu ulewy, co? Na drodze się strasznie kurzy! Dotrzeć tu to ogromny wysiłek dla takiego starca jak ja!

Przykucnął między więźniami, wachlując bez przerwy kark swoim białym wachlarzem.

– Nooo, tyle kłopotu sprawiać mnie staremu!

W blasku słońca jego uśmiechnięta twarz wydawała się płaska i przypominała księdzu widziane w Makao posągi Buddy. Na twarzach tych posągów nie było żadnego z uczuć, które tak dobrze znał z wizerunków Chrystusa.

Słysząc było tylko bzykanie fruwającej wokół muchy. Obleciawszy twarze wszystkich chrześcijan, poleciała w stronę starca, ale po chwili znów wróciła.

– Nie pojąłem was, bo was nie lubię. Zastanówcie się dobrze, dlaczego tak się stało. Dlaczego was, niezalegających z daniną, pilnie odrabiających pańszczyznę, miałbym nienawidzić i wiązać? My najlepiej wiemy, że „państwo chłopem stoi”.

Szelest wachlarza w ręku starca mieszał się z brzękiem muszych skrzydeł, a podmuch ciepłego wiatru przynosił z daleka pianie koguta.

Czy to jest przesłuchanie? – zastanawiał się kapłan, spuściwszy jak wszyscy oczy. – Czy wielu wiernych i misjonarzy musiało słuchać tego głosu udającego dobroć, zanim dotknęły ich tortury i śmierć? Czy słyszeli szum muszych skrzydełek pośród usypiającej ciszy? Ksiądz spodziewał się, że lada chwila ogarnie go strach, ale, rzecz dziwna, strach nie budził się jeszcze w jego sercu. Męki i śmierć nie wydawały mu się ani trochę rzeczywiste. Myślał o nich zupełnie tak, jak się w dzień deszczowy myśli o dalekich wzgórzach zalanych słońcem.

– Daję wam trochę czasu do namysłu, więc zastanówcie się nad sytuacją i odpowiedzcie.

Gdy skończył mówić, sztuczny uśmiech zniknął z jego twarzy. Zamiast niego pojawił się wyraz przebiegłości zupełnie jak u chińskich kupców w Makao.

– W drogę!

Policjanci podnieśli się z trawy i zaczęli popędzać więźniów. Starzec z małym grymasem na twarzy patrzył na księdza, który wstawał wraz z innymi. Wtedy po raz pierwszy mignął w jego oczach błysk nienawiści.

– Ty zostań! – powiedział z ręką na rękojeści miecza, prężąc, na ile się dało, swą niską postać.

Kapłan, uśmiechając się blado, na powrót usiadł na trawie. Po sylwetce starego samuraja, małej, odchylonej w tył jak u koguta, widać było jasno, że stara się jak

może, by ten cudzoziemski ksiądz nie odniósł nad nim, na oczach więźniów, zwycięstwa.

Małpa! – szepnął ksiądz w duchu. – Nie musisz mnie, ty małpoludzie, pilnować z ręką na mieczu. Przecież nie ucieknę!

Odprowadzał wzrokiem grupę więźniów, którzy ze skrepowanymi rękami wdrapywali się na skałę, aż znikli na równinie po drugiej stronie.

„*Hoc Passionis tempore piis adauge gratiam*”^[21]. W ten czas męki obdarz łaską pobożnych – słowa modlitwy w zeschniętych wargach miały gorzki smak. Szeptał w sercu: „Panie! Racz ich już więcej nie doświadczać! To już dla nich zbyt wiele! Wytrwali aż do dziś! Znosili ciężar danin i pańszczyzny, znosili nędzę! Czy wystawisz ich na dalsze próby?”.

Starzec przytknął do ust bambusową rurkę i pił wodę jak kogut, aż mu bulgotało w gardle.

– Widziałem takich *padre* wiele razy. Przesłuchiwałem ich także. – Zwilżając sobie usta, zwrócił się do księdza innym niż poprzednio, uniżonym tonem: – Znacie język?

Chmury przesłoniły nieco słońce, a gdy cień zaległ w dolinie, rozległy się tu i ówdzie w zaroślach gorące głosy owadów, których dotąd słychać nie było.

– Chłopi to biedaczyska. Od ciebie, *padre*, zależy, czy ich oszczędzę, czy nie...

Ksiądz nie zrozumiał dobrze jego słów, ale wyczuł po minie rozmówcy, że ten przebiegły starzec zastawia na niego pułapkę.

– Chłopi własną głową myśleć nie potrafią. Nawet jeśli coś wymyślą, nie potrafią do końca wyciągnąć wniosków, wrócą bez niczego. Ale jeśli ty powiesz jedno tylko słowo...

– Co mam powiedzieć?

– Powiedz im: wyrzeknijcie się wiary – zaśmiał się starzec, szeleszcząc wachlarzem. – Wyrzeknijcie się wiary!

– A jeśli odmówię, zabijecie mnie, prawda? – uśmiechając się, rzekł spokojnie kapłan.

– Ależ nie, skąd znowu – odpowiedział starzec ze smutkiem. – Nie zrobimy tego.

Gdybyśmy tak zrobili, chłopci by się jeszcze umocnili w swoim uporze i tyle. Tak było w Omurze, tak było w Nagasaki. Chrześcijanie są tacy przekorni!

Starzec westchnął głęboko, ale ksiądz od razu się zorientował, że to gra jak w teatrze. A myśl, że może sobie zakpić z tego małego małpoluda, sprawiała mu nawet przyjemność.

– Gdybyś był prawdziwym *padre*, ulitowałbyś się nad tymi wieśniakami!

Ksiądz czuł, że uśmiecha się mimo woli. Jakże naiwny jest ten stary! Myśli, że go pokona w dyskusji za pomocą takich dziecinnych argumentów. Kapłan zapomniał jednak, że prosty jak dziecko urzędnik, pokonany w dyskusji, po prostu wpada we wściekłość.

– No więc jak?

– Proszę ukarać tylko mnie!

Ksiądz lekceważąco wzruszył ramionami.

Na czole starca pojawił się cień gniewu, a gdzieś w oddali z zachmurzonego nieba dobiegł cichy grzmot pioruna.

– Więc tamci mają cierpieć przez ciebie?

Wprowadzono go do szałas. Na gołej ziemi ciągnęły się wąskie jak nitki smugi słonecznego światła, wpadającego przez szpary w ścianach zrobionych z gałęzi. Zza ściany dochodziły przytłumione głosy rozmawiających policjantów. Dokąd poprowadzono tamtych chłopów? Już się więcej nie pokazali. Siedząc na ziemi z rękoma złożonymi na kolanach, ksiądz myślał o jednookim mężczyźnie i o kobiecie imieniem Monika. Później do tych myśli dołączyło się wspomnienie ludzi z Tomogi: O-Matsu, Ichizo, Mokichiego i innych. Gdybym czuł się trochę swobodniej, udzieliłbym na pewno tym wiernym choćby krótkiego błogosławieństwa. To, że o tym nie pomyślałem, świadczy, jak bardzo byłem spięty. Żałował też, że nie spytał ich, który to dziś dzień i jakiego miesiąca, ale zupełnie o tym zapomniał. Stracił poczucie czasu i nie mógł w żaden sposób obliczyć, ani ile dni minęło od Wielkanocy, ani jakiego świętego dziś przypada.

Nie miał różańca, więc na palcach zaczął odmawiać *Ave Maria* i *Pater noster* po łacinie, ale puste słowa modlitwy prześlizgiwały mu się po wargach niczym woda

wylewająca się z ust chorego, który mocno zaciska zęby. Bardziej zajmowała go dochodząca z zewnątrz rozmowa strażników. Od czasu do czasu śmiali się głośno, najwyraźniej czymś rozbawieni. Kapłan wyobraził sobie sylwetki sług grzejących się przy ogniu w ogrodzie. Nocą w Jerozolimie kilka postaci grzeje ręce przy ciemnym płomieniu, nie przejmując się zupełnie losem jednego Człowieka. A moi strażnicy śmieją się i rozmawiają tonem świadczącym o tym, że człowiek to stworzenie, którego w najmniejszym stopniu nie obchodzi dola bliźniego. Grzechem nie jest, jak się powszechnie uważa, kłamstwo czy kradzież. Grzechem jest, kiedy człowiek zapomina o śladach, jakie zostawia w życiu drugiego człowieka. Przebierając palcami, wyszeptał: „*Nakis*” i dopiero w tej chwili modlitwa przeniknęła w głąb jego serca.

W zamknięte powieki uderzył go nagle jasny blask. Ktoś, starając się nie hałasować, otworzył drzwi szałas i obrzucił jego wnętrze uważnym spojrzeniem małych chytrych oczek. Gdy ksiądz podniósł głowę, natychmiast zniknął.

– Siedzi spokojnie? – spytał go ktoś inny i otworzył drzwi.

Szałas zalało światło niby struga ciepłej wody i w tym blasku ukazała się sylwetka Japończyka, ale nie starego samuraja, tylko innego, bez miecza u boku.

– *Senhor, graça* – odezwał się przybyły po portugalsku. Miał miał dziwną wymowę i mówił niepewnym tonem, ale z całą pewnością po portugalsku. – *Palazera à Dios nuestro Senhor*.

Ksiądz słuchał tych słów nieco oszołomiony i oślepiiony słonecznym blaskiem uderzającym od drzwi wprost w jego oczy. Miejskami zdarzały się błędy, ale sens rozumiał wyraźnie.

– Dziwisz się, *padre*, nieprawdaż? Tymczasem w Nagasaki i w Hirado jest wielu takich jak ja tłumaczy. Ty, *padre*, też dosyć dobrze rozumiesz naszą mowę. A wiesz, gdzie się nauczyłem waszego języka?

Chociaż ksiądz o nic nie pytał, mężczyzna mówił dalej. Mówiąc, machał ciągle trzymanym w dłoni wachlarzem tak samo jak wcześniej stary samuraj.

– Dzięki wielebnym *padre* z twojego kraju i w Arimie, i w Amakusie, i w Omurze powstały seminaria. To wcale nie znaczy, że ja jestem chrześcijaninem,

który wyrzekł się wiary. Chrzest, owszem, przyjąłem, ale nie miałem zamiaru ani zostać zakonnikiem, ani nawet wiernym. W czasach takich jak nasze jedynie wykształcenie otwiera drogę do kariery synowi samuraja ze wsi.

Ze wszystkich sił starał się podkreślić, że nie jest chrześcijaninem. Ksiądz z obojętnym wyrazem twarzy słuchał w półmroku jego niekończącej się opowieści.

– Dlaczego nic nie mówisz, *padre*? – powiedział tamten ze złością. – Wasi *padre* zawsze uważali nas, Japończyków, za głupców. Znałem pewnego ojca o nazwisku Cabral. Ta osoba szczególnie nami pogardzała. Sam mieszkając w Japonii, wyśmiewał nasze domy i nasz język, nasze potrawy i nasze zasady dobrego wychowania. Ponadto nie zgadzał się nigdy, żebyśmy po ukończeniu seminarium zostawali kapłanami.

W miarę jak mówił, przypominając sobie dawne sprawy, wydawał się coraz bardziej wzburzony. Ksiądz siedział z rękoma wokół kolan, wiedział, że gniew tamtego jest szczery. Pamiętał, co o ojcu Cabralu słyszał w Makao od wielebnego Valignano. Valignano narzekał, że przez stosunek Cabrała do Japończyków bardzo wielu wiernych odsunęło się od misjonarzy i w ogóle od Kościoła.

– Ja nie jestem taki jak Cabral.

– Czyżby? – zaśmiał się cicho tamten. – Nie wydaje mi się...

– Dlaczego?

Tłumacz stał w cieniu i ksiądz nie widział wyrazu jego twarzy. Nie widział, więc z samego tylko cichego śmiechu rozmówcy starał się odgadnąć, co kryje się za jego nienawiścią i gniewem. Przecież słuchanie z zamkniętymi oczyma wyznań wiernych w kościelnym konfesjonale było jego pracą.

To nie przeciw ojcu Cabralowi buntuje się ten człowiek – snuł ksiądz niejasny domysł, patrząc na rozmówcę. – On chce raczej odrzucić własną przeszłość, fakt, że został ochrzczony.

– Może chcesz wyjść na dwór? Jesteś przecież księdzem, więc nie będziesz chyba uciekał?

– Tak sądzisz? – uśmiechnął się ksiądz. – Nie jestem święty i boję się śmierci.

Japończyk też roześmiał się głośno.

– Co słyszę! Jeśli rozumiesz tak rozsądnie, to zechciej posłuchać uważnie dobrej rady. Nasza odwaga staje się niekiedy utrapieniem dla innych. My to nazywamy ślełą odwagą. Szczerze mówiąc, wielu waszych ojców ogarniętych tą ślełą odwagą zapomina, że sprawia Japonii kłopot.

– Więc misjonarze sprawiali tylko kłopot?

– Jeśli ktoś wciska drugiemu na siłę coś, czego tamten wcale nie pragnie, mówimy, że to kłopotliwy prezent. Nauka chrześcijańska przypomina taki właśnie kłopotliwy prezent wciskany nam siłą. My mamy swoją religię i nie potrzebujemy obcej. Nasłuchałem się w seminarium *entendimento* waszych *padre* i może cię to dziwi, ale wcale teraz nie uważam, żeby te mądrości były mi do czegokolwiek przydatne.

– My jesteśmy innego zdania. – Ksiądz mówił spokojnie, ściszym głosem. – Inaczej nie przybywalibyśmy do waszego kraju poprzez dalekie morza.

Była to pierwsza dysputa księdza z Japończykiem. Jakże wielu ojców od czasów Franciszka Ksawerego od wymiany takich słów rozpoczynało dyskusję z japońskimi buddystami. Wielebny Valignano mówił, że nie wolno traktować Japończyków jak głupich. Mówił też, że opanowali oni bardzo dobrze umiejętność polemiki.

– A zatem zapytam – rzekł tłumacz z naciskiem, raz po raz składając i rozkładając swój wachlarz. – Chrześcijanie twierdzą, że *Deus* jest źródłem największej miłości i miłosierdzia, źródłem wszelkiego dobra i wszelkich cnót, natomiast nasze bóstwa sintoistyczne i buddyjskie, ponieważ są to istoty ludzkie, takich cnót nie posiadają. Czy myślisz tak samo, wielebny *padre*?

– Buddowie podobnie jak my nie są wolni od śmierci. Nie tak jak Pan Stworzenia.

– Może ci się tak wydawać, wielebny *padre*, bo nie znasz nauki Buddy. Ale buddowie nie są tylko ludźmi. Mają trzy pierwiastki: *Dharma*, *Nirmana* i *Sambhoga*. Budda *Nirmana* zbawia wszelkie stworzenie, symbolizuje osiem cnót, dzięki którym możemy osiągnąć stan łaski. *Dharma* nie ma początku ani końca, jest wieczny i niezmienny, dlatego w *Sutrach* nazywany jest też „ciągle powracającym”, „bezcieleśnym stanem przejściowym między światem błędzenia a stanem buddy”.

Jedynie chrześcijanie myślą, że buddowie to tylko ludzie. My tak nie uważamy.

Japończyk wyrecytował tę odpowiedź jednym tchem, zupełnie jakby się jej nauczył na pamięć. Z pewnością podczas dotychczasowych przesłuchiwań duchownych rozmyślał nad tym, jakim sposobem zmusić przeciwnika do uległości. Pewnie dlatego – pomyślał ksiądz – powybierał trudne wyrażenia, których sam prawie nie rozumie.

– Zatem według was wszystko, co istnieje w przyrodzie, istnieje samo przez się, a świat nie ma początku ani końca – ksiądz skierował kontratak w słaby punkt przeciwnika. – Tak myślicie, prawda?

– Właśnie tak.

– Ale to, co nie jest żywym stworzeniem, nie może się samo z siebie poruszyć, musi go coś innego wprawić w ruch. Jak się narodzili buddowie? I dalej, rozumiem, że buddowie mają serca pełne miłości i miłosierdzia, ale jak powstał świat przed nimi? Nasz *Deus* sam jest swoim początkiem, stworzył człowieka i wszystko w świecie obdarzył istnieniem.

– Czy można powiedzieć wobec tego, że chrześcijański *Deus* stworzył też złych ludzi? Bo skoro tak, to i zło jest dziełem waszego Boga! – zaśmiał się cicho tłumacz dumny ze zwycięstwa.

– Ależ nie! Jesteś w błędzie! – ksiądz mimo woli pokręcił głową. – *Deus* stworzył wszystkie rzeczy, by służyły dobru. Po to, aby człowiek był dobry, obdarzył go rozumem. Lecz zdarza się niekiedy, że nie słuchamy naszego rozumu i postępujemy wbrew niemu. I to jedynie jest złem.

Tłumacz cmoknął głośno z pogardą. Ksiądz zresztą nie sądził, że jego, kapłana, wyjaśnienia mogłyby przekonać rozmówcę. Ta dyskusja przestała już być dyskusją, to raczej łapanie rozmówcy za słowa, żeby za wszelką cenę osiągnąć nad nim przewagę.

– Przestań się wymądrzać. To dobre dla wieśniaków, kobiet i dzieci, ale mnie takimi wywodami nie otumanisz! No mniejsza z tym, mam jeszcze jedno pytanie. Jak sądzisz, dlaczego *Deus*, skoro ma serce pełne miłości i miłosierdzia, po drodze do raju zsyła na ludzi różne trudy i cierpienia?

– Różne cierpienia? Chyba jesteś w błędzie. Gdyby ludzie wypełniali Boże przykazania, mogliby z pewnością żyć w spokoju. Bóg nigdy nam nie nakazuje: Zagłodźcie się na śmierć! Kiedy chce nam się jeść, jemy. Wystarczy, że będziemy się modlić do Stwórcy. Także wtedy, gdy nie możemy się oprzeć żądzy cielesnej, *Deus* nie zmusza nas, abyśmy trzymali się z dala od kobiet. Mówi nam jedynie: Pojmij jedną tylko niewiastę i wypełniaj wolę Bożą.

Udała mi się ta odpowiedź – pomyślał. W mroku zalegającym szalas tłumacz zamilkł na chwilę. Zabrakło mu słów, wyraźnie się to czuło.

– No dosyć – powiedział nieprzyjemnym tonem po japońsku. – Można by tak bez końca gadać po próżnicy! Ja tu nie przyszedłem na takie rozmowy.

W oddali słyhać było pianie kogutów. Przez uchylone drzwi wpływała smuga światła. Wirowały w niej miliony pyłków. Ksiądz wpatrywał się w nie nieruchomym wzrokiem.

Tłumacz wydał długie westchnienie.

– Jeśli nie odstępisz od wiary, tamci chłopci będą wisieć w jamie.

Ksiądz nie całkiem zrozumiał, co rozmówca ma na myśli.

– Przez kilka dni tamtych pięciu chłopów będzie wisieć głową w dół w głębokiej jamie...

– Powieszają ich w jamie?

– Tak. Jeśli nie wyrzekniesz się wiary, czcigodny *padre*.

Ksiądz milczał. Wytężał w ciemności wzrok, by sprawdzić, czy rozmówca chce go tylko postraszyć, czy naprawdę to zrobią.

– A o dostojnym Inoue słyszałeś, czcigodny *padre*? To nasz naczelnik miasta. Zapewne także ciebie, czcigodny *padre*, wkrótce przesłucha osobiście.

Wśród portugalskich słów wypowiedzianych przez tłumacza to jedno słowo „Inoue” zabrzmiało w uszach księdza zupełnie jak żywe stworzenie, coś, co się rusza. Nagły dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

– Jak dotąd po przesłuchaniu przez pana Inoue wiarę porzucili – tłumacz mówił takim głosem, jakby chciał pochlebić naczelnikowi – *padre* Porro, *padre* Petro, *padre* Cassola i *padre* Ferreira.

– *Padre Ferreira!*?

– Znasz to nazwisko?

– Nie, nie znam go! – zaprzeczył ksiądz gwałtownie. – Należę do innego zgromadzenia. Ani nazwiska nie słyszałem, ani go nigdy nie spotkałem. Czy on jeszcze żyje?

– Nie tylko żyje, ale znakomicie mu się powodzi. Zmienił nazwisko na japońskie, dostał rezydencję w Nagasaki, wybrano mu też żonę.

Pod zamkniętymi powiekami kapłan ujrzał nagle miasto Nagasaki, którego nigdy nie widział. W tym wyimaginowanym mieście zachodzące słońce rzucało ostry blask na okienka małych domków w labiryncie uliczek. A uliczką szedł wielebny Ferreira, ubrany tak jak ten tłumacz. Nie, to niemożliwe! To absurdalna wizja!

– Nie wierzę!

Tłumacz, uśmiechając się ironicznie, wyszedł z szałas. Drzwi znowu zamknięto i jasny promień nie wpływał już do wnętrza. Zza ściany, tak jak przedtem, słychać było głosy strażników.

– Wymądrza się – wyjaśnił im tłumacz. – Ale niedługo odstąpi od wiary.

To o mnie mówi – pomyślał ksiądz. Z rękoma oplecionymi wokół kolan roztrząsał w myślach cztery nazwiska, które przed chwilą wyrecytował z pamięci tłumacz. Ojców Porro i Petro nie znał, ale o misjonarzu nazwiskiem Cassola z pewnością słyszał w Makao. Musi to być duchowny portugalski, który przybył potajemnie do Japonii, nie jak on sam z Makao, ale z hiszpańskiej Manilli. Odtąd słuch o nim zaginął, więc w Towarzystwie Jezusowym sądzono, że poniósł chwalebłą śmierć męczeńską zaraz po zejściu na ląd. Za tymi trzema postaciami zobaczył twarz wielebnego Ferreira, którego szukał w Japonii. Jeśli tłumacz nie mówił tego tylko po to, by go nastraszyć, to by znaczyło, że wielebny Ferreira, zgodnie z pogłoskami, zdradził Kościół, dostawszy się w ręce naczelnika Inoue.

I nagle w jego serce wkradł się niepokój, czy będzie w stanie wytrzymać czekającą go próbę, przy której załamał się nawet Ferreira. Pokręcił gwałtownie głową, starając się ze wszystkich sił odepchnąć od siebie tę nieprzyjemną wizję, od której zbierało mu się na wymioty. Jednak im większe czynił wysiłki, tym natrętniej,

na przekór jego woli, mu towarzyszyła.

– *Exaudi nos, (...) Pater omnipotens (...) et mittere digneris Sanctum Angelum tuum de caelis, qui custodiat, foveat, protegat, visitet atque defendat omnes habitantes (...)*^[22]

Odmawiał modlitwy jedną po drugiej, aby zająć myśli czym innym, ale modlitwa nie przynosiła sercu ukojenia.

– Panie, dlaczego milczysz? Dlaczego ciągle milczysz? – szeptał.

Wieczorem drzwi znów się otworzyły. Strażnik postawił przed nim drewnianą miskę z kilkoma małymi dyniami i w milczeniu wyszedł. Gdy ksiądz podniósł dynię do ust, uderzył go zapach podobny do zapachu potu. Musiały być ugotowane przed paroma dniami, ale był tak głodny, że zjadł je razem ze skórą. Nim je pogryzł do końca, muchy poczęły nieznośnie krążyć mu wokół rąk. Zachowuję się jak pies – pomyślał ksiądz, oblizując palce. W dawniejszych czasach często zapraszano misjonarzy na posiłek do domów panów feudalnych i samurajów. Słyszał od ojca Valignano, że wówczas misjonarzom nie brak było chleba ani wina, bo statki portugalskie z bogatym ładunkiem towarów zawijały regularnie do portów w Hirado, Yokoseurze i Fukudzie. Tamci, u czystych stołów, odmawiali na pewno modlitwę, a później powoli delektowali się jedzeniem. On zaś przed chwilą rzucił się na to psie żarcie, zapominając o modlitwie. A kiedy już się modli, to nie po to, żeby dziękować Bogu. Jego modlitwa to błaganie o pomoc lub wypowiedanie swoich skarg i żalów. To upokarzające dla kapłana, zrobiło mu się wstyd. Wie przecież dobrze, że Bóg istnieje po to, aby Go wielbić, a nie po to, by Mu się żalić. A jednak w tym dniu próby jakże mu trudno wielbić Boga, trudniej jeszcze niż okrytemu trądem Hiobowi.

Drzwi znowu skrzypnęły i zjawił się ten sam co przed chwilą strażnik.

– Musimy już iść, *padre!*

– Gdzie?

– Na przystań.

Gdy wstał, poczuł z głodu lekki zawrót głowy. Na zewnątrz był już półmrok. Drzewa w dolinie zwieszały martwo liście i gałęzie, jakby do cna wyczerpane dusznym dniem. Tuż przy jego twarzy krążył rój komarów, w oddali kumkały żaby.

Trzej strażnicy otoczyli go, ale żaden nie pilnował, żeby nie uciekł. Głośno o czymś rozmawiali, niekiedy wybuchali śmiechem. Jeden wyszedł z szeregu, żeby się załatwić w zaroślach. Kapłan pomyślał nagle, że mógłby uciec, gdyby teraz odepchnął dwu pozostałych. Ledwie to pomyślał, idący na przedzie strażnik odwrócił się nagle ku niemu.

– Jak wam było, *padre*, w szafasie? – uśmiechnął się dobrotliwie. – Gorąco, prawda?

Na widok życzliwie uśmiechniętej twarzy ksiądz natychmiast porzucił swój zamiar. Jeśli ucieknie, tych wieśniaków z pewnością ukarzą. Uśmiechnął się lekko i kiwnął potakująco głową.

Przeszli już ścieżkę, którą przyszedł rano. Ksiądz przyglądał się zapadłymi oczami wielkiemu drzewu, które wznosiło się na środku pola rozbrzmiewającego kumkaniem żab. Widział już to drzewo. Wielkie ptaki krakały na nim ochryple, machając skrzydłami. Ich głosy zlewały się z kumkaniem żab, tworząc ponury chór.

Weszli do wsi, gdzie z chat tu i ówdzie unosił się biały dym, rozpraszając kolumny wirujących komarów. Jakiś mężczyzna w przepasce na biodrach stał z dzieckiem na rękach. Na widok księdza zaśmiał się głupkowato, rozdziawiając usta. Kobiety stały ze spuszczoneymi smutno oczami, a potem patrzyły długo za oddalającą się czwórka ludzi.

Za wsią znowu ciągnęły się pola. Ścieżka schodziła w dół i dopiero tam słony wiatr od morza owiał wychudłe policzki księdza. Na końcu ścieżki był port, a właściwie przystań, którą tworzyły czarne kamienie ułożone jeden na drugim. Na brzegu leżały dwie małe łódki, które wyglądały niezbyt solidnie. Podczas gdy strażnicy podkładali belki pod jedną z nich, ksiądz podniósł z piasku muszelkę barwy brzoskwini i bawił się nią, obracając w dłoniach. Była to pierwsza piękna rzecz, jaką zobaczył dzisiaj. Gdy przyłożył ją do ucha, z wnętrza muszli doleciał jakby lekki szum. Nagle pod wpływem mrocznego impulsu zgniótł ją w dłoni z głuchym chrzęstem.

– Wsiadajcie!

Na dnie łodzi stała woda, była biała od kurzu, ale chłodziła obrzmiałe stopy.

Z nogami w wodzie, trzymając się oburącz burty, ksiądz zamknął oczy i odetchnął głęboko.

Gdy łódź powoli ruszyła, obserwował bezmyślnie góry, po których błakał się jeszcze dziś rano. Siniąły w wieczornej mgle, kształtem zupełnie podobne do pełnych piersi kobiecych. Gdy ponownie skierował wzrok na piaszczystą plażę, zobaczył, że biegnie po niej człowiek, jakiś żebrak. Biegnie, coś krzyczy, nogi grzęzną mu w piasku, przewraca się. To ten, który go sprzedał.

Kichijiro upadł, podniósł się i wrzeszczał nadal na cały głos. Brzmiało to trochę jak płacz, trochę jak krzyk oburzenia, ale ksiądz słów tamtego nie rozumiał. Rzecz dziwna, nie czuł do niego nienawiści ani żalu. Jego duszę opanowało uczucie rezygnacji, wiedział, że prędzej czy później i tak by go schwytano. Kichijiro chyba wreszcie zrozumiał, że łodzi nie dogoni, bo przystanął w miejscu, gdzie fale rozbijają się o brzeg, i patrzył ku nim. Jego postać malała w wieczornej mgle.

Nocą wpłynęli do jakiejś zatoki. Gdy ksiądz otworzył na chwilę zaspane oczy, zobaczył, że dotychczasowi strażnicy schodzą na ląd, a na ich miejsce wsiada trzech innych. Mężczyźni rozmawiali miejscowym dialektem pełnym dźwięcznych głosek. Skrajnie wyczerpany ksiądz ani myślał się wysilać, by zrozumieć ich japońszczyznę, i z całej rozmowy wpadły mu w ucho tylko słowa „Omura” i chyba „Nagasaki”. Snuł więc niejasne przypuszczenia, że wiozą go do tego Nagasaki albo Omury. W szaleństwie starczało mu sił, żeby się modlić za podobnie jak on schwytanych ludzi: jednookiego mężczyznę i kobietę, która mu dała ogórka, ale teraz był zbyt słaby, by się modlić nawet za siebie, nie mówiąc już o modlitwie za innych. Było mu wszystko jedno, gdzie go zawiozą i co z nim zrobią. Zamknął oczy i znowu zapadł w sen, a gdy się od czasu do czasu budził, słyszał jednostajny skrzyp wiosła. Jeden z mężczyzn wiosłował, dwaj inni siedzieli skuleni w milczeniu z ponurymi minami.

Ksiądz szeptał w półśnie: „Bądź wola Twoja, Panie!”, ale czuł, że jego obecny stan ducha, choć na pierwszy rzut oka przypomina stan ducha wielu świętych, a mianowicie wolę całkowitego zdania się na Opatrzność Bożą, w istocie jest czymś zupełnie innym. „Do czego to zmierza, co się z tobą stanie? Czy aby twoja wiara nie obumiera po trochu?” – odezwał się w głowie księdza głos i ciężko mu było teraz

tego słuchać.

Gdy się obudził kolejny raz, schrypniętym głosem zapytał nowych strażników:

– Gdzie jesteśmy?

Zagadnięci, zamarli z przerażenia i nic nie odpowiedzieli.

– Gdzie? – zapytał głośno raz jeszcze.

– Yokoseura – jeden z nich, zawstydzony, odpowiedział cicho.

Nazwę Yokoseura słyszał wiele razy z ust ojca Valignano. Był to port założony przez wielebnych ojców Froísa i Almeidę za pozwoleniem władcy okolicznych ziem. Odtąd tylko tu zawijały statki portugalskie, poprzednio zatrzymujące się w Hirado. Na wzgórzu stanął kościół jezuitów, ojcowie postawili tam też krzyż. Był tak olbrzymi, że przybywający do Japonii misjonarze mogli go wyraźnie dostrzec z pokładu statku, będąc jeszcze daleko na morzu, o kilka dni drogi od lądu. Podobno w dniu Zmartwychwstania Pańskiego mieszkający tu Japończycy szli z pieśnią na ustach w procesji na to wzgórze, każdy ze świecą w ręku. Nawet pan feudalny często tu bywał i w końcu przyjął chrzest.

Ksiądz wypatrywał z łodzi portu i wsi, która by przypominała ową Yokoseurę, ale morze i ląd niknęły we wszechogarniającej czerni, nie paliło się ani jedno światło. Nie było widać wsi ani domów. A jednak mogą tu kryć się jeszcze chrześcijanie, jak w Tomogi i we wsiach na Goto. Czy wiedzą, że w tej płynącej przez morze łódeczce jak bezpański pies kuli się i drży kapłan?

Zagadnął strażników, gdzie jest Yokoseura. Po chwili wahania wioślarz odpowiedział:

– Tam nie ma już niczego!

Wieś została spalona, a wszyscy, którzy w niej mieszkali, wypędzeni. Morze i ląd milczały jak grób, tylko fale z głuchym łoskotem uderzały o łódź. Dlaczego pozwalasz na to wszystko? – szeptał ksiądz słabym głosem. – Dlaczego pozwoliłeś, aby spalono wieś, którą zbudowaliśmy dla Ciebie? Czy milczałeś tak jak te ciemności, gdy wypędzano stąd ludzi, zamiast dodawać im odwagi? Dlaczego? Racz mi tylko wskazać przyczynę, powiedz dlaczego! My nie jesteśmy silni jak Hiob, którego doświadczyłeś trądem. On jest świętym, a Twój wyznawcy tylko ubogimi

i słabymi ludźmi, czyż nie? Są granice ludzkiej wytrzymałości. Racz nie zsyłać na nich cierpienie przekraczających te granice. Tymi słowami modlił się ksiądz, a od morza ciągnął chłód i ciemność milczała uparcie. Słyszeć było jedynie miarowy, głuchy skrzyp wiosła.

Załamię się – pomyślał i zadrżał cały. Czuł, że dłużej nie wytrzyma, jeśli łaska Boska nie doda mu odwagi i siły.

Skrzyp wiosła ucichł i jeden ze strażników krzyknął w stronę morza:

– Hej, coście za jedni?

Choć mężczyźni z jego łodzi nie wiosłowali, skądś dochodził skrzyp wiosła.

– Pewnie ktoś wypłynął na nocny połów. Zostawmy go, zostawmy! – szepnął starszy z dwóch milczących dotąd mężczyzn.

– Gdzie jesteś i co tam robisz?

Plusk wiosła nocnego rybaka ustał i w odpowiedzi dał się słyszeć słaby, ledwie słyszalny głos.

Ksiądz miał wrażenie, jakby skądś go znał, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go słyszał.

Nad ranem przybyli do Omury. Wiatr rozegnał z czasem mleczną mgłę i zmęczonym oczom księdza ukazały się białe mury zamku, od strony lądu otoczone lasem. Zamek robił wrażenie nieukończonych budowli, stały tam jeszcze rusztowania z bali. Nad lasem przelatywało stado ptaków. Na tyłach zamku stały ciasno jedna przy drugiej chałupy kryte strzechą ze słomy lub trzciny. Tak wyglądało pierwsze ujrzenie przez księdza japońskie miasto.

Gdy się nieco rozwidniło, od razu zauważył leżące u nóg płynących z nim łodzią strażników grube pałki. Niewątpliwie mieli rozkaz wrzucić go bez litości do morza przy najlżejszym podejrzeniu, że chce uciekać.

Na przystani czekali już samurajowie w kimonach z wąskimi rękawami i z wielkimi mieczami u boku. Kłębił się też tłum gapiów. Strofowani przez samurajów gapie na stojąco lub siedząco cierpliwie czekali na pobliskim wzgórzu, aż łódź przybije do brzegu. Gdy ksiądz wysiadł z łodzi, wśród ludzi zrobił się szum. Przechodząc przez tłum w eskorcie samurajów, dostrzegł kilka twarzy męskich

i kobiecych, które wpatrywały się w niego wzrokiem pełnym bólu. Milczał on i milczały te twarze. Przechodząc obok nich, poruszał nieznacznie ręką, błogosławiąc im znakiem krzyża. W reakcji na to niektórzy z niepokojem spuszczały szybko głowy, odwracali wzrok. W normalnych warunkach włożyłby im do ust, które teraz mieli mocno zaciśnięte, kawałek chleba – Ciało Pańskie. Ale nie miał ani kielicha, ani wina, ani ołtarza, żeby odprawić mszę. Gdy mu wiązano sznurem ręce w przegubach i sadzano go na nieosiodłanego konia, z tłumu rozległy się drwiące śmiechy.

Omura, chociaż nazywana miastem, była zbiorowiskiem chat krytych słomą i prawie nie różniła się od wsi, które dotąd widział. Tylko ruch był większy. Bose kobiety z rozpuszczonymi włosami do ramion, w kimonach z wąskimi rękawami i z zapaskami zawiązanymi w pasie stały wzdłuż drogi, rozłożywszy przed sobą owoce morza, drwa na opał i jarzyny. Mistrzowie gry na japońskiej lutni *biwa* w odświętnych tunikach i szarawarach *hakama* oraz ubrani w czarne szaty mnisi buddyjscy, patrząc na niego, wydawali okrzyki oburzenia. Ciskane przez dzieci w wąskich uliczkach kamyczki przelatywały tuż obok twarzy kapłana. Jeśli ojciec Valignano nie mylił się w swych opowiadaniach, to właśnie tu, w Omurze, misjonarze włożyli w krzewienie wiary najwięcej sił. To w tym mieście powstały kościoły, założono seminarium i wszyscy, od samuraja po chłopca, „żarliwie wsłuchiwali się w nauki”, jak pisał w listach wielebny ojciec Fróis. Podobno nawet pan feudalny był gorliwym chrześcijaninem i cała jego rodzina się nawróciła.

A teraz co? Dzieci ciskają kamieniami, bonzowie wyszydzają misjonarzy, zapluwając się brudną śliną, a samurajowie z eskorty nawet nie próbują ich powstrzymać.

Gościniec wiódł brzegiem morza ku Nagasaki. Przechodząc przez wieś Suzuta, napotkali chłopskie obejście, całe w białych kwiatach nieznanym księdzu z nazwy. Samurajowie zatrzymali konie i posłali po wodę jednego z towarzyszących im pieszo mężczyzn. Wtedy raz jeden dano się księdzu napić. Ale woda wyciekła mu z zaschniętych ust i zmoczyła tylko chudą pierś.

– Patrzcie! Jaki duży! – śmiały się kobiety, ciągnąc dzieci za rękaw.

Gdy konwój znów ruszył z wolna naprzód, ksiądz obejrzał się za siebie. Ogarnął

go nagły żal, że niedługo już chyba nie będzie mógł oglądać tych drzew kwitnących białym kwieciami. Samurajowie zdjęli z głów wysokie czapki *eboshi* i ocierali pot z czoła. Wszyscy mieli włosy związane na czubku głowy i siedzieli na koniach, odsłaniając uda. Za nimi, rozmawiając głośno, szło kilku policjantów uzbrojonych w łuki. Kiedy gościniec, którym szli, skręcił ostro, ksiądz dojrzał, że za nimi idzie żebrak, podpierając się laską. To był Kichijiro. Jak wtedy, stojąc z rozdziawioną buzią, odprowadzał wzrokiem odpływającą łódź, tak teraz szedł niechlujny, rozchełstany na piersi. Gdy zauważył, że ksiądz odwraca się w jego stronę, skrył się w pośpiechu za przydrożnym drzewem. Kapłan nie był w stanie pojąć, po co człowiek, który go sprzedał, ściga go aż tutaj. Przemknęło mu nagle przez myśl przypuszczenie, czy to czasem nie on kręcił się dziś w nocy łódeczką po morzu.

Kołysząc się na koniu, zapadłymi oczyma spoglądał od czasu do czasu bezmyślnie na morze. Woda lśniła ponurą czernią. Na linii widnokręgu majaczył szaro zarys dużej wyspy, ale ksiądz nie wiedział, czy to ta, po której błąkał się do wczoraj, czy jakaś inna.

Za Suzutą gościniec zaludniał się stopniowo. Kupcy z wołami objuczonymi towarami, podróżni w głębokich kapeluszach ze słomy, w pantalonach do kolan i getrach, mężczyźni w słomianych pelerynach od deszczu i kobiety w kapelusikach z woalką chroniącą przed słońcem – wszyscy oni na widok konwoju stawali zaskoczeni na skraju drogi i najwyraźniej poruszeni niezwykłością zjawiska, patrzyli w osłupieniu za idącymi. Zdarzało się, że chłopci porzucali motyki na polu i przybiegali popatrzeć. Dawniej ksiądz był bardzo ciekaw, jak wyglądają, jak ubierają się Japończycy, ale teraz, wyczerpany psychicznie, nie interesował się ani ich strojami, ani nimi samymi. Przymknąwszy oczy, szeptał tylko, poruszając zaschłym językiem, modlitwy Drogi Krzyżowej, którą w klasztorze odprawiano wieczorem. Ta modlitwa jest rozpamiętywaniem kolejnych etapów męki Pańskiej, które zna każdy kapłan i wierny. Wielka rzesza ciekawych podążała za Chrystusem, gdy chwiejąc się, szedł krok za krokiem od bram Świątyni na górę Golgotę, dźwigając na ramionach krzyż. „Córki jerozolimskie, nie płaczcie nade Mną; płaczcie raczej nad sobą i nad waszymi dziećmi!”^[23] – ksiądz wspominał słowa

Pisma Świętego. Pomyślał, że kilkanaście wieków przed nim ten Człowiek językiem zaschłym z pragnienia smakował całą tę gorycz, której on sam dziś doświadcza. To poczucie wspólnoty wstrząsnęło nim i przyniosło jego sercu ulgę większą niż najśodsza woda.

„*Pange lingua! Sław języku!*”^[24] Siedząc na koniu, czuł, że łzy spływają mu po policzkach. „*Bella premunt hostilia da robur fer auxilium*”^[25]. Nie wyrzeknę się wiary, choćby nie wiem co się stało.

Zaraz po południu minęli miasteczko Isahaya. Była tu rezydencja otoczona wielką fosą i wałem ziemnym, a wokół niej chaty kryte trzcina lub słomą. Gdy przybyli przed jeden z budynków, mężczyźni zbrojni w miecze pozdrowili samurajów z konwoju i wynieśli dwa wielkie naczynia z ryżem. Podczas gdy samurajowie posilali się ryżem, księdza po raz pierwszy zszadono z konia i jak psa uwiązano u drzewa. Tuż obok rozczochrani *hinin* – wykluczeni ze społeczeństwa „nieludzie” – przykucali, kulili się, wlepiając w niego oczy błyszczące jak u zwierząt. Nie miał już siły uśmiechnąć się do nich. Ktoś postawił przed nim połamany koszyk z prażonym prosem. Półprzytomny, podniósł głowę i zobaczył Kichijiro.

Kichijiro siedział skulony obok „nieludzi”, od czasu do czasu spoglądając badawczo w stronę księdza. Kiedy spotykali się wzrokiem, nerwowo odwracał głowę. Ksiądz z surową miną patrzył mu w twarz. Wtedy, na brzegu, był zbyt zmęczony, żeby go nienawidzić, ale teraz w żaden sposób nie potrafi zdobyć się na wielkoduszność. Nagle wróciło wspomnienie palącego pragnienia wtedy na łące po suszonej rybie, którą go tamten nakarmił, i złość się w nim zagotowała.

„Co chcesz zrobić, czyń prędzej!” Nawet Chrystus rzucił swojemu zdrajcy Judaszowi te gniewne słowa. Przez długi czas ksiądz uważał, że są one sprzeczne z miłością Chrystusa, ale teraz, na widok tego człowieka, który siedzi tu skulony jak zbity pies i co pewien czas zwraca ku niemu przerażoną twarz, w sercu kapłana rodziło się czarne okrucieństwo. Odejdź! – przeklinał go w myślach. – „Co chcesz zrobić, czyń prędzej!”

Samurajowie skończyli jeść ryż i znów dosiedli koni. Księdza też wsadzono na koński grzbiet i konwój wolno ruszył naprzód. Mnisi buddyjscy znowu rzucali

obelgi, a dzieci ciskały kamykami. Mężczyźni z jucznymi wołami i podróżnicy w pantalonach zdziwieni podnosili wzrok na samurajów i wpatrywali się w księdza. Wszystko było jak przedtem. Ksiądz obejrzał się do tyłu i zobaczył, że Kichijiro, podpierając się laską, idzie w pewnej odległości za konwojem.

Odejź! – szepnął w myślach. – Idź precz!

[21] *Hoc Passionis...* – Z hymnu *Vexilla Regis*. Zwrotka zawierająca te wersy brzmi: *O crux ave, spes unica,/ hoc Passionis tempore!/ piis adauge gratiam,/ reisque dele crimina*. Istnieją polskie przekłady tego hymnu śpiewanego w okresie pasyjnym, m.in. zawarty w druku Baltazara Opecia *Żywot Pana Jezusa Krysta* (Kraków 1522) zatytułowany *Idą królewskie proporce*; brzmi on: *Przetoć się, krzyżu, kłaniamy,/ Mękę Pańską spominamy,/ Pomnóż cnotę sprawiedliwym/ A daj odpuszczenie winnym*. Cytat za: http://staropolska.pl/sredniowiecze/poezja_religijna, dostęp 11.03.2010. Jest to jednak tłumaczenie wolne i poszczególne frazy nie odpowiadają treścią temu, co chce powiedzieć bohater powieści. W tekście zamieszczam tłumaczenie własne, BS.

[22] *Exaudi nos...* – Antyfony odmawiana podczas aspersji.


[23] Ewangelia wg św. Łukasza 23, 28.

[24] *Pange...* – Hymn św. Tomasza z Akwinu *Sław języku*, <http://sanctus.pl>, dostęp 4.03.2010.

[25] *Bella...* – Z hymnu *O zbawcza Hostio*: *Bój srogi nęka wiernych Ci,/ Daj siłę, pomoc ześlij nam*. Cytuję za: www.praktyka.liturgia.dominikanie.pl, dostęp 4.03.2010.

沈黙

VI

 Chmury zasnuły niebo, wolno przepływały nad szczytem Gyosen i rozciągały się nad polami. Były to ugory zwane Chizukano. Tu i ówdzie rosły kępy krzaków, płożąc się po ziemi. Poza tym jak okiem sięgnąć rozciągała się brunatna ziemia. Samurajowie naradzili się między sobą, po czym kazali strażnikom zsadzić księdza z konia. Na skutek zbyt długiego siedzenia na koniu okraczając z związanymi rękoma poczuł on ból po wewnętrznej stronie ud, gdy tylko stanął na ziemi. Skulił się więc tam, gdzie stał.

Jeden z samurajów wyjął długą fajkę i zapalił ją. Ksiądz po raz pierwszy zobaczył, że w Japonii palą tytoń. Samuraj, zaciągnąwszy się parokrotnie, podał fajkę drugiemu samurajowi. Policjanci przyglądali się temu z zazdrością.

Przez dłuższy czas, stojąc lub siedząc na kamieniach, wszyscy patrzyli na południe. Chociaż od północy niebo było jeszcze pogodne, na południu zaczynały się już zbierać wieczorne chmury. Ksiądz zwracał co pewien czas wzrok na gościniec, z którego właśnie zeszli, ale nie było już widać sylwetki Kichijiro, musiał zostać daleko z tyłu. Z pewnością zrezygnował z dalszego podążania za konwojem.

Nagle strażnicy z okrzykiem „Jadą! Jadą!” wskazali rękami południe, skąd powoli zbliżała się do nich podobna grupa samurajów i pieszych pomocników. Palący fajkę samurajowie wskoczyli na konie i pognali co sił ku nadjeżdżającym. Nie schodząc z koni, pochylili głowy na powitanie. Ksiądz domyślił się, że go przekażą nowemu konwojowi.

Po krótkiej rozmowie grupa eskortująca księdza z Omury zawróciła konie i odjechała na północ oświetlonym jeszcze blaskiem słońca gościńcem. Ksiądz zaś otoczyli i znowu wsadzili na konia ludzie, którzy przybyli po niego z Nagasaki.

Więzienie znajdowało się na zboczu wzgórza. Otaczał je las mieszany. Był to nowo zbudowany budynek w stylu spichlerzowym. Do wnętrza celi światło wchodziło przez małe zakratowane okienko i niewielki otwór w drewnianej ścianie, tak mały, że z trudem przechodziła przezeń taca z naczyniami, na której raz dziennie podawano mu jedzenie. Z zewnątrz widział ksiądz więzienie raz, gdy tutaj przybył, i chyba ze dwa razy, gdy go zabierano na spisanie zeznań. Zobaczył wtedy, że budynek otoczony jest szczelnie palisadą, a zaostrome końce kijów bambusowych, z których jest zrobiona, skierowane są do środka. Na zewnątrz zaś widać było kryte płaską słomianą strzechą chaty strażników.

Gdy go przywieziono, nie było tu jeszcze innych więźniów. Całymi dniami, zupełnie jak w tym szałasie na wyspie, siedział nieruchomo w ciemności, słuchając rozmów strażników. Z nudów zdarzało się im zagadać i do niego. Ksiądz dowiedział się od nich, że więzienie leży na peryferiach Nagasaki zwanych Soto-machi, ale nie zdołał się zorientować, w którym kierunku jest centrum miasta. Domyślił się tylko, że w tej okolicy rozbudowuje się miasto, ponieważ w dzień słychać było w oddali głośne pokrzykiwania robotników, odgłos ścinania drzew i wbijania gwoździ. Nocą zaś słychać było głosy leśnych ptaków.

Mimo wszystko czuł w tym więzieniu spokój, odzyskał równowagę ducha, aż sam się dziwił. Udręki i niepokoje, jakie przeżywał, włócząc się po górach, wydawały mu się teraz bardzo odległymi dziejami. Nie był w stanie przewidzieć, co z nim będzie choćby jutro, ale wcale się tym nie martwił. Od strażników dostał tasiemkę i mocny papier japoński, zrobił sobie z tego różaniec i teraz prawie przez całe dni modlił się lub rozważał wersy Pisma. Nocą leżał na podłodze z zamkniętymi oczyma i słuchał głosu ptaków, a pod powiekami przesuwwały mu się obrazy z życia Chrystusa, scena po scenie. To Jemu od dzieciństwa powierzał wszystkie swoje myśli i marzenia. Twarz Chrystusa w czasie Kazania na Górze, twarz Chrystusa, gdy idzie o zmierzchu przez Jezioro Tyberiadzkie, ta twarz nigdy, nawet w czasie męki, nie utraciła swego piękna. Czuł, że łagodne jasne oczy przenikające do głębi ludzkie serca wpatrują się weń z uwagą! Twarz, której nikt i nic nie jest w stanie zastraszyć, której nikt i nic nie może znieważyć. Miał

wrażenie, że gdy o niej myśli, niepokój i trwoga znikają jak drobne fale wchłaniane spokojnie przez piasek na plaży.

Po raz pierwszy, odkąd przybył do Japonii, żył spokojnie dzień po dniu. Przychodziło mu na myśl, że ów spokój może świadczyć o tym, że te jego dobre, kojące serce dni są policzone. Dziewiątego dnia nagle wyprowadzono go na dwór. Ponieważ długo przebywał w ciemnym pomieszczeniu, słoneczny blask kłuł go w oczy, jakby ktoś wbijał w nie tępy miecz. Z lasu dochodziło granie cykad niby szum wodospadu, a czerwone kwiaty za stróżówką cieszyły wzrok. Dopiero teraz spostrzegł, że włosy i zarost ma długie jak włóczęga, że schudły mu nawet pośladki, a ramiona stały się cienkie jak druty. Myślał, że pójdzie na przesłuchanie, ale wprowadzono go od razu do pomieszczenia w stróżówce, które miało drewniane kraty i podłogę. Nie miał pojęcia, dlaczego tu go przeniesiono.

Przyczynę poznał następnego dnia. Usłyszał bowiem gniewne głosy strażników, które nagle zmąciły ciszę, mieszając się z tupotem nóg kilkorga ludzi, których wpędzono przez bramę na dziedziniec. Potem wepchnięto ich do tamtej mrocznej celi, w której był zamknięty do wczoraj.

– Jak się będziecie tak zachowywać, przyłożymy wam! – krzyczeli strażnicy.

Więźniowie stawiali opór, mówiąc:

– Co się wściekacie! Przestańcie nas szarpać!

Sprzeczką strażników i więźniów trwała czas jakiś, po czym ucichła. Wieczorem rozległa się nagle odmawiana chórem modlitwa:

Ojcze nasz, któryś jest w niebie,
święć się imię Twoje;
Przyjdź Królestwo Twoje;
bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi.
Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj
i odpuść nam nasze winy,
jako i my odpuszczamy naszym winowajcom;
i nie wódz nas na pokuszenie...

W wieczornej mgle głosy wzbijały się w górę jak fontanna, po czym milkły. Gdy mówili: „I nie wódź nas na pokuszenie”, w ich głosach pobrzmiwał jęk żalu. Ksiądz przymknął zapadłe oczy i poruszał wargami, łącząc się z nimi w modlitwie. Ciągłe milczysz, Panie. Nie możesz tak milczeć bez końca!

Nazajutrz ksiądz spytał strażnika, czy mógłby pójść do tych więźniów. Pracowali pod nadzorem na wewnętrznym dziedzińcu, mieli zrobić tam poletko uprawne.

Gdy wyszedł na dziedziniec, z trudem poruszający motykami więźniowie ze zdziwieniem obrócili się ku niemu. Było ich kilkoro. Przypomniawszy im siebie. Pamiętał też ich wypłowiałe codzienne kapoty. Zmieniły się tylko twarze – mężczyznom urosły włosy, brody i wąsy, a kobieta zrobiła się bardzo blada, zapewne skutkiem zamknięcia w więzieniu, dokąd nie dochodziło słońce.

– No patrzcie! – zawołała kobieta. – Nie wiedzieliśmy, co z wami, *padre*.

To ona dała mu ukrytego za pazuchą ogórka. Obok niej jednooki, chociaż wyglądał jak żebrak, śmiał się, pokazując nierówne żółte zęby.

Od tego dnia, uzyskawszy pozwolenie strażników, ksiądz chodził dwa razy dziennie, rano i wieczorem, do celi wiernych. W owym czasie strażnicy byli jeszcze wielkoduszni, tym bardziej iż wiedzieli, że chrześcijanie na pewno nie zorganizują żadnego buntu.

Mszy odprawiać nie mógł, bo nie miał wina ani chleba, odmawiał za to z wiernymi *Credo*, *Pater noster* i *Ave Maria*, mógł ich również spowiadać.

„Nie pokładajcie ufności w książętach/ ani w człowieku, u którego nie ma wybawienia./ Gdy tchnienie go opuści, wraca do swej ziemi,/ wówczas przepadają jego zamiary./ Szczęśliwy, komu pomocą jest Bóg Jakuba,/ kto ma nadzieję w Panu, Bogu swoim,/ który stworzył niebo i ziemię,/ i morze ze wszystkim, co w nich istnieje”^[26].

Gdy słowo po słowie szeptał więźniom te wersety ze Starego Testamentu, wszyscy słuchali uważnie, nikt nawet nie zakasłał. Strażnik też słuchał w milczeniu. Dotąd ksiądz czytał te słowa nieuważnie, nie wkładał w nie tyle serca co teraz, recytując dla nich i dla siebie. Słowa, jedno po drugim, nabierając nowego sensu i wagi, zapadały mu głęboko w serce.

„Błogosławieni, którzy w Panu umierają – już teraz”[27].

– Nie będziecie cierpieć już więcej! – mówił ksiądz z zapalem. – Bóg was nie zostawi samych na zawsze. On obmyje nasze rany, Jego ręce obetrą z nich krew. Bóg nie będzie milczał bez końca!

Wieczorem ksiądz udzielał więźniom sakramentu pokuty. Nie było konfesjonału, więc przykładając ucho do otworu, przez który wsuwano jedzenie, słuchał wyznających szeptem swe grzechy wiernych. Inni siedzieli w tym czasie w kącie, starając się, na ile to możliwe, nie przeszkadzać. Gdy ksiądz uświadomił sobie, że od kiedy opuścił Tomogi, dopiero tu w więzieniu może znowu pełnić kapłańską posługę, zapragnął skrycie, aby to życie tutaj trwało jak najdłużej.

Słuchał spowiedzi i na papierze, który dostał od strażników, spisywał znalezionym w ogrodzie kurzym piórem swoje wspomnienia od chwili wyjścia na ląd. Nie wiedział oczywiście, czy kiedykolwiek dotrą one do Portugalii. Może znajdzie się jakiś wierny, który przekaże je jakoś Chińczykom z Nagasaki. Ta nikła nadzieja pozwalała mu pisać.

Nocą, siedząc w ciemności, kapłan słyszał, jak w lesie gruchają ptaki, i czuł, że twarz Chrystusa jest przy nim. Że Jego niebieskie czyste oczy patrzą na niego litościwie, a z twarzy, choć jest tak spokojna, bije pewność siebie.

– O Panie, nie pozostawisz nas dłużej bez opieki? – szepnął ksiądz do tej twarzy i wydało mu się, że słyszy odpowiedź:

– Nie przestanę was strzec.

Ksiądz potrząsnął głową i dla pewności nastawił uszu, ale usłyszał tylko głosy ptaków. Dookoła był gęsty mrok. Jednak na mgnienie oka ksiądz doznał uczucia, jakby mu obmyto serce.

Pewnego dnia zazgrzytała zasuwa i w drzwiach ukazała się twarz strażnika.

– Przebierz się w to – powiedział, kładąc na podłodze szatę bez podszewki. – Popatrz, chyba nowe. Narzutka *jittoku* i bawełniany spód. No, to teraz jesteś kimś!

Strażnik objaśnił mu, że *jittoku* to strój mnichów buddyjskich.

– To dla mnie prawdziwy zaszczyt. – Na zapadłych policzkach księdza pojawił

się uśmiech. – Ale proszę to zabrać. Nie potrzebuję ubrania.

– Co? Nie chcesz tego? Nie chcesz? – strażnik kręcił głową jak dziecko, a jednocześnie chciwym wzrokiem patrzył na ubranie. – Przecież to urzędnicy naczelnika łaskawie ci go dali.

Ksiądz porównał to, co miał na sobie, z zupełnie nowym ubraniem, zastanawiając się przy tym, dlaczego urzędnicy podarowali mu strój mnicha buddyjskiego. Nie wiedział, czy ma to potraktować jako wyraz współczucia dla więźnia ze strony Urzędu Naczelnika Miasta, czy też powinien dopatrywać się w tym jakiejś ukrytej intencji. Tak czy owak – pomyślał – przyjęcie tego ubrania będzie oznaczało wejście w kontakty z urzędem.

– Prędzej! Prędzej! – poganiał strażnik. – Za chwilę przybędą urzędnicy.

Nie spodziewał się przesłuchania tak prędko. Codziennie o nim myślał, wyobrażał sobie, że będzie to dramatyczna scena jak spotkanie Chrystusa z Piłatem. Tłum krzyczy. Piłat się waha. Chrystus stoi, milczący. Tymczasem tu rozbrzmiewał tylko senny głos samotnej cykady. Tak było we wszystkie popołudnia, wierni też siedzieli cicho w swojej celi.

Obmył się gorącą wodą, którą mu przyniósł strażnik, i zaczął powoli wkładać na ramiona bawełniane kimono. Zamiast miłego uczucia, jakie daje dotyk płótna, poczuł całym sobą upokorzenie – jakby przez włożenie tego ubrania poszedł na ugodę z Urzędem Naczelnika Miasta.

Na dziedzińcu stało w rzędzie kilka rozkładanych siedzeń. Rzuciły na ziemię czarne cienie. Księdzu kazano usiąść na ziemi po japońsku z pochyloną głową i z rękoma na kolanach, na prawo od bramy wejściowej. Długo tak siedział. Nieprzyzwyczajony do takiej pozycji, spływał potem i czuł ból w kolanach, ale nie chciał pokazać urzędnikom, że cierpi. Aby odwrócić uwagę od bólu, z całych sił próbował wyobrazić sobie, jaki wyraz twarzy miał Chrystus, gdy Go biczowano.

W końcu dał się słyszeć tętent koni, a wraz z nim odgłos kroków. Teraz na ziemi przysiedli i nisko pochylili głowy również strażnicy. Kilku samurajów, wachlując się wachlarzami, dumnym krokiem weszło na podwórze. Rozmawiając o czymś między sobą, minęli księdza, nie zwracając nań uwagi, i usiedli każdy na swoim

stołku. Strażnicy, poruszając się na przygiętych nogach, przynieśli im czarki, a oni bez pośpiechu rozkoszowali się wrzątkiem.

Po chwili odpoczynku samuraj siedzący na pierwszym stołku od prawej powiedział coś do strażników. A oni przyciągnęli chwiejącego się księdza, tak jak siedział na obolałych kolanach, przed oblicza siedzących w rzędzie samurajów. Na drzewie z tyłu za nim wciąż brzmiał głos cykady. Pot spływał księdzu z karku pod ubraniem. Czuł na plecach spojrzenia ludzi, sprawiało mu to ból. Z pewnością wierni w więzieniu słuchają teraz uważnie, o co go będą pytać urzędnicy i co im odpowie. Ksiądz wiedział doskonale, dlaczego Inoue i jego urzędnicy wybrali to miejsce na przesłuchanie. Po to, aby pokazać tym wieśniakom, jak przyparty do muru, daje się przekonać.

„*Gloria Patri et Filio et Spiritui Sancto*” – zamknął zapadłe oczy i starał się uśmiechnąć, ale wiedział dobrze, że jego spięta twarz jest nieruchoma jak maska.

– Jego dostojność władca Chikugo niepokoi się, że doświadczasz, *padre*, niewygód – samuraj z prawego krańca starał się, jak mógł, mówić po portugalsku. – Więc jeśli tak jest, proszę powiedzieć.

Ksiądz w milczeniu skłonił głowę. Gdy ją podniósł, jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem starca siedzącego na środkowym spośród pięciu stołków.

Starzec ten patrzył na niego z łagodnym uśmiechem i z ciekawością dziecka, któremu dano niezwykłą zabawkę.

– Podajesz, że jesteś poddanym portugalskim, nazywasz się Rodrigues i przybyłeś do Japonii z Makao. Czy tak?

Odczytawszy raz jeszcze protokół z przesłuchania, jakie już dwukrotnie przeprowadzali w towarzystwie tłumacza inni urzędnicy, samuraj siedzący z prawego końca przemówił ze wzruszeniem na twarzy:

– Wzrusza nas głęboko siła woli, dzięki której przybyłeś tu z misją, *padre*, pośród trudów i niebezpieczeństw, z obcej ziemi oddalonej o tysiące mil stąd. Z pewnością do dziś wiele wycierpiałeś.

W jego słowach była łagodność, która boleśnie wnikała księdzu w głąb duszy.

– Ponieważ wiemy o tym wszystkim, to przesłuchanie jest dla nas przykrym

obowiązkiem.

Na te nieoczekiwane słowa urzędnika znikło nagle wewnętrzne napięcie księdza. Zaczął go nawet ogarniać sentymentalny nastrój, pomyślał, że gdyby nie restrykcje polityczno-państwowe, mogliby uścisnąć sobie dłonie i pogwarzyć. Jednak szybko się zmytygował – uleganie takim emocjom było niebezpieczne.

– Nie mam zamiaru, *padre*, ważyć twojej religii, tego, co w niej dobre, a co złe. Dla Hiszpanii, dla Portugalii i dla wielu innych krajów jest ona z pewnością stosowna. My jednak zabroniliśmy wyznawania chrześcijaństwa, ponieważ po głębokim namyśle uznaliśmy, że jest dziś dla Japonii bezużyteczne.

Tłumacz przeszedł od razu do głównego tematu dyskusji. Siedzący na wprost księdza starzec o wielkich uszach nadal patrzył na niego z litością.

– To, co słuszne, naszym zdaniem, jest słuszne zawsze i wszędzie – powiedział ksiądz i z trudem uśmiechnął się do starca. – Przed chwilą dostojny urzędnik raczył wyrazić współczucie dla moich trudów. Mówił życzliwie o tym, że dotarłem do waszego szanownego kraju, przemierzywszy tysiące mil wzburzonego morza, co zajęło mi długie miesiące i lata. Czy tak wielu misjonarzy mogłoby znieść te trudy, gdyby nie wierzyli, że istnieje powszechnie słuszna sprawa? Na tym właśnie polega słuszność sprawy, że odnosi się do wszystkich miejsc i epok. Nauka słuszna w Portugalii musi być słuszna także i w Japonii, inaczej nie byłaby słuszna w ogóle.

Tłumacz zaciął się kilka razy, ale przełożył z twarzą bez wyrazu, jak maska, wypowiedź księdza czterem pozostałym.

Jedynie starzec siedzący na wprost księdza pokiwał kilkakrotnie głową ze zrozumieniem. Jednocześnie zaczął lewą dłonią pocierać prawą, jakby chciał ją rozmasować.

– Wszyscy, *padre*, mówią to samo – tłumacz przekładał powoli słowa innego samuraja. – Ale i drzewo owocujące na jednej glebie schnie, gdy je przesadzić. Drzewo zwane chrześcijaństwem *kirishitan* w innych krajach ma zapewne bujne liście i okrywa się kwiatami, ale na naszej japońskiej ziemi zrzuci liście i nie wypuści ani jednego pąka. Nie pomyślałeś, *padre*, że i ziemia tu inna, i woda?

– Nie musi zrzucać liści, a i pąki wyrosnąć by mogły – podniósł głos ksiądz,

zwracając się w stronę rozmówcy. – Myślisz, że ja o niczym nie wiem? Jednak i w Makao, gdzie byłem czas pewien, i oczywiście w Europie znana jest doskonale działalność misjonarzy w tym kraju. Słyszałem, że w czasie, gdy wielu panów feudalnych pozwalało krzewić wiarę, liczba chrześcijan w Japonii sięgała trzystu tysięcy.

Starzec znów pokiwał kilkakrotnie głową, cały czas pocierając dłońią o dłoń. Chociaż inni urzędnicy słuchali tłumacza z wyrazem nieprzejednania na twarzy, on jeden wyglądał zupełnie, jakby był po stronie księdza.

– Liście nie rosną bujnie i kwiaty nie kwitną chyba wtedy, gdy się ziemi nie nawozi.

Ucichła grająca jeszcze przed chwilą cykada. Popołudniowe słońce paliło coraz mocniej. Urzędnicy milczeli, jakby zakłopotani. Ksiądz czuł, że w więzieniu za jego plecami wierni nastawiają uszu, aby dosłyszeć, co mówi. Był pewien, że zwyciężył w dyskusji. Radość wypełniała mu serce.

– Po cóż zacząłem was przekonywać? – powiedział spokojnie, przymykając oczy. – Cokolwiek bym powiedział, wy i tak zdania nie zmienicie. Ale i ja nie myślę zmieniać swego.

Mówiąc, czuł, jak ogarnia go podniecenie. Im bardziej był świadom, że z tyłu patrzą na niego wierni, tym większym czuł się bohaterem.

– W końcu, cokolwiek bym mówił, i tak zostanę skazany.

Tłumacz mechanicznie przełożył te słowa zwierzchnikom. Blask słońca czynił jego płaską twarz aż nazbyt płaską. W tej chwili ręka starca po raz pierwszy zatrzymała się w ruchu. Pokręcił mocno głową, spoglądając jak dziadek, który chce uspokoić niesfornego wnuka.

– My bez powodu nie karzemy waszych *padre*.

– Dostojny Inoue chyba tak nie myśli? On z miejsca posyła na śmierć!

Na te słowa urzędnicy wybuchnęli głośnym śmiechem, jakby usłyszeli dobry dowcip.

– Czemu się śmiejecie?

– *Padre!* Dostojnego Inoue masz właśnie przed sobą!

Oszołomiony ksiądz wpatrywał się w starca. A ten spoglądał na niego niewinnym wzrokiem dziecka i pocierał dłonią o dłoń.

Kapłan nie znał dotąd nikogo, kto byłby aż do tego stopnia zaprzeczeniem wyobrażeń o nim. Myślał, że ten człowiek, którego wielebny Valignano nazywał szatanem i który sprawił, że misjonarze jeden po drugim wyrzekali się wiary, to ktoś blady, z przebiegłym wyrazem twarzy. Tymczasem siedział przed nim łagodny dobroduszny staruszek.

Szepnąwszy kilka słów do siedzącego obok samuraja, Inoue, władca Chikugo, z trudem wstał ze stołka. Za nim ruszyli kolejno pozostali urzędnicy. Ich postacie znikły za bramą, którą niedawno weszli.

Znów zaczęły grać cykady. Popołudniowe słońce świeciło ostro, na ziemi kładły się wyraźne cienie stołków, na których nikt już nie siedział. Wtedy, bez żadnej przyczyny, ksiądz poczuł, że ma łzy pod powiekami, a pierś rozpiera mu gorące uczucie. Podobne wzruszenie odczuwa się po wypełnieniu jakiegoś wielkiego zadania. W cichym dotąd więzieniu ktoś zaczął nagle śpiewać pieśń:

Pójdźmy, ach, pójdźmy
Do świątyni bram!
Do rajskiej świątyni
Daleko tam.

Strażnicy odprowadzili go na powrót do jego izby z drewnianą podłogą, a pieśń nie cichła jeszcze długo. Jedno jest pewne, nie zasiał w ich sercach zwątpienia, nie osłabił ich wiary. Nie zachowałem się jak podły tchórz – myślał.

Sączący się przez kratę blask księżycy i cienie rzucane na ścianę znów wywołały u księdza wrażenie twarzy Tamtego, która pochyla się, jakby się weń wpatrywała. Próbował nadać mglistej wizji kontury, dodać oczy i usta. Puszył się przed nią jak dziecko: Wspaniały dzisiaj byłem!

Na dziedzińcu rozległ się stuk kołatki. Strażnik co noc krążył tak wokół więzienia.

Trzeci dzień. Strażnicy wzięli spośród więźniów tylko mężczyzn i kazali im wykopać na dziedzińcu trzy doły. Przez kratę widać było sylwetkę jednookiego (nazywa się, bodajże, Juan), jak wraz z innymi machał motyką i dźwigał na plecach kosze z błotnistą ziemią. Plecy Juana, który z powodu upału miał jedynie przepaskę na biodrach, lśniły od potu jak żelazo. Ksiądz spytał strażnika, po co te doły, i otrzymał odpowiedź, że na latrynę. Wierni wchodzili w głęboko wykopany dół i posłusznie wynosili stamtąd ziemię.

W czasie kopania jeden z mężczyzn zasłabł z powodu porażenia słonecznego. Strażnicy wymyślali mu i bili go, ale chory siedział skulony i ani się poruszył. Juan wraz ze współtowarzyszami pomogli mu wstać i zaprowadzili do więzienia.

W jakiś czas później strażnik przyszedł po księdza, mówiąc, że wierni proszą ojca, bo stan chorego nagle się pogorszył. Gdy ksiądz pobiegł do więzienia, chory leżał w ciemności, bezwładny jak kamień o barwie popiołu. Monika i Juan byli przy nim.

– Masz, napij się.

Monika przytknęła mu do ust wyszczerbioną czarkę z wodą, ale woda zwilżyła mu tylko trochę usta, nie był w stanie jej przełknąć.

– Musi cierpieć. Długo tak chyba nie pociągnie?

Nocą oddech chorego stał się urywany. Praca okazała się ponad siły dla wycieńczonego organizmu, którego całodzienny pokarm stanowiła garstka prosa. Ksiądz ukląkł, aby mu w godzinie śmierci udzielić sakramentu ostatniego namaszczenia, ledwo jednak uczynił znak krzyża, chory po raz pierwszy westchnął głęboko. Ale to był już koniec. Strażnicy nakazali spalić ciało, ale ksiądz i wierni z uporem odmawiali, twierdząc, że to jest niezgodne z nauką chrześcijańską, ponieważ wśród chrześcijan tradycją jest grzebanie w ziemi. Tak więc nazajutrz rano pogrzebano zwłoki w lesie za więzieniem.

– Błogosławiony Kyugoro! – szepnął jakby z zazdrością jeden z wiernych. – Nic go już nie boli, zasnął na zawsze!

Pozostali słuchali jego słów, wpatrując się w niego tępym wzrokiem.

Po południu parne powietrze poruszyło się i zaczął padać deszcz. Szumiał

jednostajnie w lesie, gdzie pochowali ciało, i bębnił w dach więzienia. Ksiądz oplótł ręce wokół kolan i zastanawiał się, jak długo urzędnicy pozwolą mu tak żyć. W tym więzieniu nie przestrzegano zbyt rygorystycznie dyscypliny, strażnicy, byleby tylko więźniowie zbyt nie hałasowali, przyzwalali milcząco i na odmawianie modlitw, i na wizyty księdza u wiernych, i na pisanie listów. Dziwne, że zostawiano im tak wielką swobodę, ciekawe dlaczego?

Przez kraty okna dojrzał, że strażnik wciąż wymyśla jakiemuś człowiekowi w słomianej pelerynie przeciwdeszczowej. Pod tą peleryną nie mógł poznać, kto to, ale z całą pewnością nie był to nikt z więźniów. Ten człowiek prosił o coś, a strażnicy kręcili głowami, próbując go przepędzić, ale on ich nie słuchał.

– Spokój! Jak nie przestaniesz, natłukę, ile wlezie!

Gdy strażnik podniósł kij, człowiek uciekł w stronę bramy, ale wkrótce wrócił i dalej stał nieruchomo na deszczu.

Wieczorem ksiądz powtórnie wyjrzał przez kratę i zobaczył, że człowiek w słomianej pelerynie ani drgnie w strugach deszczu. Strażnicy dali za wygraną, nie wychodzą już ze stróżówki.

Człowiek obrócił się w stronę księdza, ich spojrzenia się spotkały – to znowu był Kichijiro. Z miną zalęknioną cofnął się kilka kroków i zaskamlał:

– *Padre!* Zechciejcie mnie wysłuchać! Chcę się wyspowiadać! Wysłuchajcie mnie, *padre!*

Ksiądz odsunął twarz od okna i pozostał głuchy na ten głos. Nie jest w stanie zapomnieć smaku suszonej ryby ani pragnienia palącego gardła. Choćby się nawet starał wybaczyć mu w sercu, nie wymaże z pamięci żalu i gniewu.

– *Padre, o padre!* – nie przestawał błagać, zupełnie jak dziecko czepiające się matki. – Oszukiwałem was, ojczy, cały czas! Czy zechcecie mnie wysłuchać? Gardzicie mną, a i wierni też mnie nienawidzą. Ja, ja podeptałem obraz, ale Mokichi i Ichizo byli silni, a ja nie, ja nie jestem taki silny!

Gdy strażnik, straciwszy cierpliwość, wyszedł na dwór z kijem, Kichijiro, uciekając, nie przestawał krzyczeć:

– Chcę coś powiedzieć! Ten, co podeptał obraz, też ma coś do powiedzenia!

Myślicie, żem deptał, bo chciałem?! Że mnie nie bolała ta noga, com ją postawił na obrazie?! Jeszcze jak bolała! Bóg sprawił, żem się urodził słaby, a teraz każe: Rób to co silni! To przeciw naturze! To nie w porządku!

Okrzyki oburzenia rwały się co chwila, zmieniały w lament, a lament przechodził w szloch.

– *Padre!* No co ma zrobić taki tchórz jak ja? Przecież ja wtedy nie wydałem was dla pieniędzy! Urzędnicy mi grozili...

– Pójdiesz ty stąd! No, już cię tu nie ma! – krzyczeli strażnicy, wysuwając głowy ze stróżówki. – Dostyc tego dobrego!

– *Padre!* Wysłuchaj mnie! Byłem zły! Grzeszyłem okrutnie! Strażnicy! Jestem chrześcijaninem! Zamknijcie mnie w więzieniu!

Ksiądz z zamkniętymi oczyma odmawiał *Credo*. Odczuwał nawet pewnego rodzaju zadowolenie na myśl, że pozwala tamtemu stać i płakać na deszczu. Czy Chrystus, odmawiając modlitwy w chwili, gdy Judasz się wieszał na Polu Krwi, ofiarował je za niego? W Piśmie Świętym nic nie ma na ten temat, a chociażby i było, ksiądz w tej chwili, mówiąc szczerze, nie byłby w stanie tego zrobić. Nie wiedział, na ile można ufać temu człowiekowi. Prosi o przebaczenie, a jednocześnie unosi się gniewem i krzyczy.

Głos Kichijiro cichł stopniowo, aż w końcu ustał. Ksiądz zobaczył przez kraty, jak rozzłoszczony strażnik, popychając go mocno w plecy, prowadzi go do więzienia.

Wieczorem deszcz ustał. Przyniesiono trochę prosa i soloną rybę. Ryba była już zepsuta i nie nadawała się do jedzenia. Słysząc było jak zwykle głośną modlitwę wiernych. Gdy strażnicy pozwolili księdzu pójść do więźniów, Kichijiro siedział zamknięty osobno w bardzo oddalonym, ciasnym pomieszczeniu. To wierni zaprotestowali przeciwko wsadzeniu go do ich celi.

– Uważajcie, *padre*, na tego człowieka – tłumaczyli księdzu po cichu. – Urzędnicy posługują się takimi, co odstąpili. Kto wie, czy to nie on nas wydał?

W Urzędzie Naczelnika Miasta kazano odstępcom przenikać między wiernych, tak by tamci się nie zorientowali, śledzić sprytnie ich zachowanie i namawiać do

odwrócenia się od wiary. Nie wiadomo, czy Kichijiro znowu nie dostał pieniędzy i takiego zadania do wykonania. Ksiądz w żaden sposób nie mógł zaufać ponownie temu człowiekowi.

– O, *padre!* – znowu wołał w ciemnościach Kichijiro, zorientowawszy się, że ksiądz tu jest. – Błagam o spowiedź! Chcę się wyspowiadać i nawrócić.

Nawrócić, czyli znów przyjąć wiarę, której się wyrzekł.

Wierni, słysząc to, uśmiechali się ironicznie:

– Chcesz gadać? Powiedz, jakieś deptał! Powiedz, po coś tu przylazł, ty głupku!?

Ksiądz jednak nigdzie nie ma prawa odmówić spowiedzi. Nie wolno mu pod wpływem emocji decydować o tym, czy ma udzielić sakramentu, czy też odmówić jego udzielenia. Niechętnie podszedł do pomieszczenia, w którym przebywał Kichijiro. Podniósł rękę i pobłogosławił, z obowiązku szepcząc modlitwę, przybliżył do niego ucho. Gdy twarz kapłana owionął cuchnący oddech, ujrzał w wyobraźni niewidoczne w mroku żółte zęby i chytre oczka mężczyzny.

– Posłuchajcie, *padre* – Kichijiro wydzierał się tak, żeby go wierni słyszeli. – Tak, jestem odstępcą, ale gdybym się urodził dużo wcześniej, może jako dobry chrześcijanin poszedłbym do rajy! Wierni nie mówiliby do mnie z pogardą: ty odstępczo! Mam żal, że przyszło mi żyć w czasach, gdy chrześcijaństwo jest zakazane, tylko o to mam żal!

– Nie ufam ci – szepnął ksiądz, znosząc z trudem cuchnący oddech. – Rozgrzeszenie ci dam, ale już ci nie wierzę i nie wiem, po coś tu teraz przyszedł.

Kichijiro westchnął głęboko i zaczął się wiercić, szukając słów na swe usprawiedliwienie. Czuć było od niego brudem i potem. Czyżby Chrystus przyjmował do siebie nawet takich najbardziej skalanych spośród ludzi? – pomyślał ksiądz nagle. – W człowieku złym jest jeszcze siła i piękno zła. Ale ten tu Kichijiro niewart jest nawet tego, żeby go nazwać złym człowiekiem. On jest nikim, skalanym śmieciem. Powstrzymując uczucie niechęci, ksiądz odmówił modlitwę na zakończenie spowiedzi i szepnął, jak zwyczaj każe: Odejdź w pokoju! Potem wrócił do wiernych, chcąc uciec jak najszybciej od smrodu z jego ust i ciała.

No tak, przecież Pan nasz poszukuje tylko takich skalanych, nic niewartych ludzi! –

pomyślał ksiądz, leżąc na podłodze. Według Pisma Świętego Chrystus wybierał spośród przychodzących do niego ludzi istoty pozbawione piękna i uroku, jak kobieta z Kafarnaum, która długo cierpiała na krwotok, jak obrzucana kamieniami nierządnicą. Oddać serce temu, co piękne i pełne uroku – to każdy potrafi! Lecz to nie jest miłość. Miłością jest nie przestać widzieć człowieka w tych, co się stali jak spłowiała szmata. Ksiądz pojmował to rozumem, jednak nie mógł jeszcze przebaczyć Kichijiro. Gdy znów twarz Chrystusa zbliżyła się ku niemu i utkwiała w nim łagodne, wilgotne od łez oczy, ksiądz zawstydził się swoich dzisiejszych myśli.

Rozpoczęło się deptanie obrazu. Wiernych ustawiono rzędem jak osły na targu. Nie ma urzędników, którzy tu byli poprzednio. Na stołkach siedzieli młodzi, niżsi stopniem urzędnicy ze splecionymi rękami. Strażnicy pilnowali wszystkiego z kijami w ręku. Dziś też słychać było kojące granie cykad. Niebo było błękitne, bez jednej chmurki. Świeże jeszcze i czyste powietrze miało niebawem ustąpić miejsca męczącemu upałowi. Jedynie księdza nie wyprowadzono na dziedziniec. Przycisnął do kraty wychudłe policzki i z całą uwagą obserwował scenę deptania obrazu, która się właśnie zaczynała.

– Im szybciej to załatwicie, tym prędzej będziecie mogli stąd wyjść. Nie każę wam deptać z sercem. Tu chodzi tylko o formę, jak postawicie nogę na obrazie, to przecież nie ucierpią na tym wasze uczucia religijne.

Urzędnik od dłuższej chwili tłumaczył wiernym, że podeptanie świętego obrazu to jedynie formalność. Wystarczy, że podepczą. A potem mogą wyznawać w sercu wiarę, jaką chcą, bo nikt od nich z urzędu nie ma zamiaru tego sprawdzać. Jak tylko lekko dotkną stopą wizerunku, on ich wypuści, bo takie ma polecenie z Urzędu Naczelnika Miasta Nagasaki. Czworo ludzi słuchało tych słów z twarzami bez wyrazu. Nawet ksiądz przyciskający twarz do kraty nie wiedział, co tak naprawdę myślą. Cztery twarze z wystającymi kośćmi policzkowymi, tak samo jak jego własna sine i obrzękłe, całymi dniami pozbawione światła słonecznego, wyglądały zupełnie jak twarze lalek pozbawionych woli.

Powoli zrozumiał, że przyszło to, co przyjść miało, jednak wcale nie czuł tego,

że oto za chwilę rozstrzygnie się los wiernych i jego samego. Urzędnicy zwracali się do nich zupełnie tak, jakby ich o coś prosili. Jeśli im chłopci odmówią, odejdą pewnie z kwaśnymi minami jak niedawno orszak naczelnika.

Strażnik przykucnął, położył owinięty w płótno obraz między stołkami, na których siedzieli samurajowie, a chłopami i wrócił na swoje miejsce.

Jeden z urzędników rozwinął rejestr i odczytał nazwisko:

– Kuboura Tobei z wyspy Ikitsuki!

Czworo ludzi siedziało nadal bez ruchu. Strażnik uderzył nerwowo w plecy mężczyznę siedzącego na końcu po lewej stronie. Ten machnął ręką i siedział dalej. Popchnięty kilka razy kijem upadł na twarz, ale nie ruszył się z miejsca, gdzie go posadzono.

– Kuboura Chokichi!

Jednooki potrząsnął kilkakrotnie głową, zupełnie jak dziecko.

– Kuboura Haru!

Kobieta, która dała księdzu ogórek, zgarbiła się i spuściła głowę. I nawet popychana przez strażników nie zamierzała jej podnieść. Wywołany jako ostatni stary Mataichi też przywarł do ziemi.

Urzędnicy ani nie krzyczeli ze złością, ani nie wymyślali nikomu. Siedzieli na stołkach i po cichu o czymś między sobą rozmawiali, zupełnie jakby od początku spodziewali się takiego zachowania. Później wstali pośpiesznie i odeszli w stronę stróżówki. Promienie świecącego nad więzieniem słońca padały wprost na głowy pozostawionych na dziedzińcu ludzi. Na ziemi widać było czarne cienie czterech siedzących postaci. W rozświetlonym słońcem powietrzu rozbrzmiało znów głośnie granie cykad.

Wierni i strażnicy, śmiejąc się, zaczęli ze sobą o czymś rozmawiać. Nie wyczuwało się już w żaden sposób, że przed chwilą jedni stali po stronie przesłuchujących, a drudzy byli przesłuchiwanymi. Urzędnik zawołał ze stróżówki, że wszyscy poza jednookim Chokichim mogą wrócić do celi.

Ksiądz zdjął ręce z krat i usiadł na podłodze. Nie wiedział, co będzie potem, ale teraz jego serce wypełniło poczucie ulgi, że oto dzisiejszy dzień minął spokojnie. Do

szczęścia wystarczało mu to, że dzień się dobrze kończył. A jutro... No cóż, dobrze by było przeżyć i następny dzień.

– Biedaczysko, mogłeś odrzucić...

– Żal mi...

Ksiądz słyszał niesione wiatrem słowa swobodnej rozmowy strażników z jednookim, ale nie rozumiał, o czym mówią. Przez kraty wleciała mucha i zaczęła krążyć wokół głowy księdza, usypiając go brzęczeniem. Nagle ktoś przebiegł przez dziedziniec. Dał się słyszeć ciężki, głuchy łoskot. Kapłan dopadł kraty w chwili, gdy urzędnik po dokonanej egzekucji chował swój ostry błyszczący miecz. Zwłoki jednookiego leżały twarzą do ziemi. Strażnicy wzięli go za nogi i powlekli powoli do wykopanego przez wiernych dołu. Z martwego ciała płynęła czarna smuga krwi.

W więzieniu rozległ się przenikliwy jęk kobiety. Ciągnął się długo, niby pieśń. Gdy umilkł, straszliwa cisza zapadła dokoła, tylko uczone kraty ręce księdza drżały jak w konwulsjach.

– Tak więc rozważcie sobie – inny urzędnik, obrócony plecami do księdza, mówił w stronę więzienia – co się dzieje, gdy ktoś ma za nic własne życie! Będę mówił do znudzenia: Im prędzej załatwimy sprawę, tym szybciej stąd wyjdziecie! I powtarzam, nie każę wam deptać z sercem. Tu chodzi tylko o formę, jak postawicie nogę na obrazie, to przecież nie ucierpią na tym wasze uczucia religijne.

Rozległy się krzyki i strażnik wyprowadził Kichijiro. Ten, tylko w przepasce na biodrach, chwiejąc się, wyszedł przed urzędników, pochylił kilka razy głowę w ukłonie i postawił na obrazie chudą stopę.

– Już cię tu nie ma!

Urzędnik z nieprzyjemnym wyrazem twarzy wskazał mu bramę, a Kichijiro uciekł, o mało się nie przewracając. Nie obejrzał się nawet w stronę stróżówki, gdzie był ksiądz. A jemu było już wszystko jedno, co się stanie z Kichijiro i w ogóle.

Na nieosłoniętym dziedzińcu słońce prażyło bezlitośnie. W jasnym blasku południa na ziemi widać było wyraźnie czarne plamy. To krew, która wypłynęła z ciała jednookiego.

Jak przedtem słychać było szorstkie granie cykad. Nie było wiatru. I tak jak

przedtem mucha krążyła, bzykając, wokół twarzy księdza. Świat pozostał taki sam. Nic się nie zmieniło, chociaż umarł człowiek.

Więc to tak... – ksiądz, przerażony, zacisnął dłonie na kratkach. – Więc to tak...

Powodem zamętu w jego głowie nie było to, co się stało przed chwilą. On nie mógł pojąć tej ciszy na dziedzińcu, grania cykad i bzykania muchy. Umarł człowiek, a życie toczy się jak poprzednio, jakby nic się nie stało. To jakiś absurd. I to ma być męczeństwo? Dlaczego milczysz, Boże? Przecież wiesz, że tamten jednooki wieśniak umarł dla Ciebie, za Ciebie! Dlaczego więc pozwalasz trwać tej ciszy? Tej ciszy w samo południe. Patrzysz w inną stronę, jakbyś nic nie miał wspólnego z tym bzykaniem muchy, z tym okrutnym absurdem! Ja tego... nie wytrzymam!

Kyrie eleison (Panie, zmiłuj się)! – próbował wreszcie drżącymi wargami wyszeptać modlitwę, ale język odmówił mu posłuszeństwa. – Panie, proszę, nie zostawiaj mnie już dłużej samego! Nie pozwól mi dłużej trwać w nieświadomości! Czy to jest modlitwa? Długo wierzyłem, że modlitwa jest po to, by Cię chwalić, ale gdy zaczynam mówić do Ciebie, wygląda to zupełnie tak, jakbym ci złorzeczył. Nagle zachciało mu się śmiać. Czy w dniu, w którym mnie w końcu zabiją, świat tak jak dziś pozostanie obojętny? Czy w chwili po mojej śmierci zagrają cykady, a mucha będzie fruwać, usypiając kogoś swoim bzykaniem? Czyżbym tak bardzo pragnął zostać bohaterem? Więc pragniesz śmierci dla próżnej chwały, a nie prawdziwego męczeństwa, o którym nikt się nie dowie? Chcesz, aby cię wierni wysławiali i modlili się do ciebie, chcesz, aby mówiono, że *padre* Rodrigues był święty?

Siedział czas pewien bez ruchu na podłodze, z rękoma oplecionymi wokół kolan. „A gdy nadeszła godzina dwunasta, mrok ogarnął całą ziemię aż do godziny trzeciej”^[28]. W chwili gdy tamten Człowiek umierał na krzyżu, ze świątyni ozwały się po trzykroć trąby, raz długo, dwa razy krótko. Zaczęto wstępne obrzędy przed świętem Paschy. Arcykapłan w jasnoniebieskiej szacie szedł w górę po stopniach świątyni, a przed ołtarzem ofiarnym brzmiały flety. Wtedy niebo pociemniało, a chmury zasłoniły słońce. „Słońce się zaćmiło i zasłona przybytku rozdarła się przez środek”^[29]. Takie było przez wiele lat jego wyobrażenie męczeństwa. Tymczasem męczeńska śmierć chłopca, jaką zobaczył w rzeczywistości, była żalosna

i nędzna jak chaty, w których mieszkają ci ludzie, jak łańchmany, które noszą na sobie.

[26] Księga Psalmów 146, 3–6.

[27] Apokalipsa św. Jana 14, 13.

[28] Autor błędnie cytuje fragment „A było już około godziny szóstej i mrok ogarnął całą ziemię aż do godziny dziewiątej”, z Ewangelii wg św. Łukasza 23, 44.

[29] *Ibidem*, 23, 45.

沈黙

VII

Pięć dni później wieczorem spotkał się po raz drugi z Inoue, władcą Chikugo. Gdy nieruchome w ciągu dnia powietrze poruszyło się i wieczorny wiatr zaszeleścił wreszcie rzeźwo w liściach drzew, kazano mu usiąść w izbie strażników naprzeciwko Inoue. Nie towarzyszył mu nikt prócz tłumacza. Gdy ksiądz ze strażnikiem weszli do wartowni, naczelnik Inoue, trzymając w obu dłoniach dużą czarę, pił powoli wrzątek.

– Dawno tu nie byłem – mówił powoli, przyglądając się księdzu z zaciekawieniem szeroko otwartymi oczyma. – A to dlatego że jeździłem w sprawach urzędowych do Hirado.

Polecił tłumaczowi, aby kazał przynieść gorącej wody dla księdza i z uśmiechem zaczął powoli opowiadać o Hirado, skąd wrócił.

– I ty, *padre*, mógłbyś przy sposobności wybrać się do Hirado – mówił tak, jakby uważał księdza za zupełnie wolnego. – Miasto leży u stóp zamku księcia Matsuury, a góra zamkowa wznosi się tuż nad cichą zatoką.

– Słyszałem od misjonarzy w Makao, że to piękne miasto.

– Nie wydaje mi się, żeby aż piękne, ale jest interesujące – mówił władca Chikugo, potrząsając głową. – Gdy patrzę na to miasto, przypominam sobie dawno słyszaną historię. Książę Hirado, Takenobu Matsuura, miał cztery nałożnice i te nałożnice były o sobie nawzajem zazdrosne, więc bez przerwy się kłóciły. Książę Takenobu nie mógł tego wytrzymać i w końcu wszystkie cztery wygnał z zamku. Ale tobie, *padre*, który masz zachować czystość całe życie, nie wolno słuchać takich historyjek.

– Bardzo mądrze postąpił ten książę.

Pod wpływem swobody, z jaką rozmawiał władca Chikugo, wewnętrzne napięcie księdza ustąpiło i poczuł się swobodniej.

– Naprawdę tak myślisz, *padre*? No to mi ulżyło! Hirado, nie, Japonia, jest właśnie takim księciem Matsuurą! – Inoue uśmiechał się, obracając czarę w rękach. – Były cztery kobiety, zwące się Hiszpania, Portugalia, Holandia i Anglia. Każda z nich, sypiając z mężczyzną imieniem Japonia, szeptała mu do ucha oszczerstwa na temat pozostałych.

Słuchając tłumacza, ksiądz stopniowo pojmował, o czym naczelnik mówi. Wiedział też, że Inoue ani trochę nie kłamie. Od dawna bowiem wiadomo było powszechnie i w Makao, i w Goa, że kraje protestanckie, Anglia i Holandia, zabiegając o względy Japonii, niechętnym okiem patrzyły na sukcesy państw katolickich, Hiszpanii i Portugalii, oczerniając je często przed rządem sioguna i ludnością. Misjonarze zaś w odpowiedzi na to w pewnym okresie zabronili japońskim wiernym kontaktów z Anglikami i Holendrami.

– Jeśli uważasz, *padre*, że książę Matsuura postąpił mądrze, nie możesz jednocześnie twierdzić, że Japonia postąpiła głupio, zakazując chrześcijaństwa.

Z tłustej i rumianej twarzy naczelnika znikł uśmiech, a oczy jego wpatrywały się nieruchomo w twarz księdza. Te oczy są dziwnie brązowe, a na skroniach nie ma ani jednego siwego włosa. Może je farbuje.

– Nasz Kościół naucza, że małżeństwo to jeden mąż i jedna żona – ksiądz umyślnie wybrał żartobliwą formę odpowiedzi – i dlatego mądrą jest rzeczą wypędzić nałożnice, jeśli w domu jest ślubna małżonka. I mężczyzna imieniem Japonia mógłby wybrać sobie jedną małżonkę spośród czterech kobiet.

– A tą małżonką miałyby być Portugalia?

– Nie, nasz Kościół.

Gdy tłumacz z twarzą bez wyrazu przełożył tę odpowiedź, Inoue skrzywił się i głośno roześmiał. Śmiał się wysokim jak na starca głosem, a wpatrujące się w księdza oczy pozostawały bez wyrazu. One się nie śmiały.

– A nie sądzisz, *padre*, że najlepiej będzie, gdy Japonia nie wybierze żadnej

cudzoziemki, tylko zwiąże się z kobietą japońską, urodzoną w tym kraju, z kobietą, którą dobrze zna?

Ksiądz zaraz oczywiście odgadł, co naczelnik ma na myśli, mówiąc „cudzoziemka”, ale ponieważ partner rozpoczął dyskusję, nadając jej pozory swobodnej rozmowy towarzyskiej, on musiał się do niego dostosować.

– My w Kościele uważamy szczere uczucie kobiety do męża za rzecz ważniejszą niż kraj jej urodzenia.

– Ach, tak? Gdyby uczucie wystarczyło, żeby stworzyć dobre małżeństwo, nie byłoby cierpienia na tym świecie! Ale przysłowie mówi, że to brzydkie kobiety kochają namiętnie.

Naczelnik, zdaje się bardzo zadowolony z tej metafory, kiwając głową, ciągnął dalej:

– Zdarzają się na świecie mężczyźni, którym ta namiętność brzyduli sprawia kłopot.

– Wasza dostojność uważa, że głoszenie religii jest jak narzucanie się z miłością?

– Dla nas owszem. Poza tym, jeśli *padre* razi zwrot: namiętna miłość brzydkiej kobiety, spróbujmy wyrazić to inaczej. Kobieta, która nie potrafi urodzić i wychować dziecka, nazywana jest bezpłodną i nie nadaje się na żonę.

– Jeśli nasza nauka tu w Japonii nie może się rozwinąć, to nie z winy Kościoła! Winni są raczej ci, co starają się rozłączyć kobietę, czyli Kościół, i męża, czyli wiernych!

Tłumacz milczał chwilę, szukając słów. O tej porze z celi wiernych płynie zwykle wieczorna modlitwa. Dziś jednak niczego nie słychać. Nagle przypomniała się księdzu cisza sprzed pięciu dni – pozornie taka sama cisza jak ta, a jednak całkiem inna. Martwe ciało jednookiego padło twarzą w dół na ziemię rozświetloną jasnym blaskiem słońca, a strażnik pociągnął je nonszalancko za jedną nogę do dołu. Do samego dołu płynęła po ziemi struga krwi, jakby ktoś jednym pociągnięciem pędzla namalował długą linię. Księdzu zupełnie nie mieściło się w głowie, że tamta egzekucja odbyła się z rozkazu tego oto człowieka o łagodnej twarzy.

– Ty, *padre*... Nie, wy wszyscy, dotychczasowi ojcowie – mówił władca Chikugo, akcentując każde słowo – jakże wy nic nie wiecie o Japonii!

– A wasza dostojność nic nie wie o chrześcijaństwie!

Ksiądz i Inoue roześmiali się jednocześnie.

– Ależ przed trzydziestu laty, gdy byłem wasalem rodu Gamo, ja też szukałem u waszych *padre* prawdy i wiedzy!

– No i?

– I dziś zwalczam chrześcijaństwo, ale to nie znaczy, że zgadzam się z powszechnym poglądem, że chrześcijaństwo to zła religia.

Tłumacz ze zdziwieniem wysłuchał tych słów, a po krótkim wahaniu zaczął je tłumaczyć. Naczelnik w tym czasie, śmiejąc się, patrzył na czarękę, w której pozostało jeszcze trochę wody.

– A teraz, *padre*, pomyśl sobie trochę o tych dwu sprawach, o których ci mówiłem ja, stary człowiek. O tym, że namiętna miłość brzydkiej kobiety jest dla mężczyzny trudnym do zniesienia ciężarem, i o tym, że niewiasta bezpłodna nie nadaje się na małżonkę.

Gdy naczelnik wstał, tłumacz, położywszy jedną rękę na drugiej, pochylił z szacunkiem głowę. Władca Chikugo powoli włożył słomiane sandały, które strażnik ustawił przed nim w pośpiechu, i nie patrząc już w stronę księdza, wyszedł na dziedziniec. W drzwiach stróżówki wirował rój komarów. Za bramą rozległo się rżenie.

Nocą zaczął padać deszcz. Szeleścił jak piasek w lesie za budynkiem.

Ksiądz z głową przyciśniętą do twardej podłogi myślał, słuchając deszczu, o tamtym Człowieku i o dniu, w którym stanął przed sądem tak jak on teraz. Był ranek dnia siódmego czwartego miesiąca, gdy Tamten wychudły z nieruchomą, poranioną twarzą schodził ze wzgórza jerozolimskiego, popędzany przez ludzi. Promienie wschodzącego słońca oświetlały łańcuch gór Moabu po tamtej stronie Morza Martwego, orzeźwiająco szemrał potok Cedronu. Nikt nie pozwalał Mu odpocząć. Gdy przecinali plac na Wzgórzu Dawidowym, widać było złocący się w porannej poświacie gmach Wielkiej Rady obok mostu nad Tyropeonem.

Ponieważ starsi i uczeni w Prawie już wydali wyrok śmierci, pozostało tylko uzyskać zatwierdzenie tego wyroku przez Piłata, namiestnika rzymskiego. Piłat, którego już o tym powiadomiono, czekał zapewne w pretorium leżącym poza murami miasta, niedaleko Świątyni.

Ksiądz od dzieciństwa znał na pamięć wszystkie sceny z poranka siódmego dnia czwartego miesiąca, poranka, kiedy wszystko się dokonało. Tamten wychudły Człowiek był dla niego wzorem we wszystkim. Wyobrażał Go sobie, że patrzy, tak jak wszystkie ofiary, ze smutkiem pełnymi rezygnacji oczyma na plujący nań obelżywie tłum. Ale wśród tłumu jest także Judasz.

Dlaczego i wówczas szedł za Nim? Czy odczuwał mściwą radość, że zobaczy koniec Tego, którego sprzedał? Jakkolwiek było, teraz sytuacja jest zadziwiająco podobna.

Jak Judasz sprzedał Chrystusa, tak jego sprzedał Kichijiro i on zostanie teraz, tak jak kiedyś Chrystus, osądzony przez możnych tego świata. Gdy poczuł, że dzielą ten sam los, w tę deszczową noc serce księdza wypełniła bolesna radość. Była to radość jedności z Synem Bożym, jakiej mogą zaznać Jego uczniowie.

Z drugiej jednak strony myśl, że nie zaznał jeszcze takich jak Chrystus mąk cielesnych, budziła niepokój. Tamtego w rezydencji Piłata przywiązano do słupa tortur i smagano zakończonymi ołowiem biczami. Wbijano mu gwoździe w ręce. Tymczasem jego, odkąd siedzi w tym więzieniu, rzecz dziwna, ani razu nikt nie uderzył, ani urzędnicy, ani straż. Nie wie, czy to z polecenia władcy Chikugo, czy nie. I wcale by się nie zdziwił, gdyby mijały kolejne dni, a jego nadal nikt by nie uderzył.

Dlaczego tak jest? Słyszał po wielekroć, jak straszne tortury i męki zadawano wielu innym pojmanym w tym kraju misjonarzom. W Shimabarze został spalony żywcem wielebny Navarro, ojców Carvalla i Gabriela wielokrotnie zanurzano w gejzerze Unzen, w więzieniu w Omurze wielu misjonarzy zamorzono głodem. Jemu zaś pozwalają tu modlić się i rozmawiać z wiernymi. Raz na dzień przynoszą jedzenie, byle jakie, ale przynoszą. Co więcej, ani urzędnicy, ani naczelnik nie przesłuchują go zbyt ostro. Przychodzą tylko dla formalności, porozmawiają chwilę i wracają.

Co tak naprawdę zamierzają zrobić?

„Czy wytrzymamy do końca, jeśli nas wezmą na męki?” Ileż to razy w szopie w Tomogi rozmawialiśmy o tym z konfratrem Garrpem – przypomniał sobie ksiądz. Nie ma oczywiście lepszego sposobu, niż zdać się całym sercem na Pana, ale w owym czasie gdzieś w kątku duszy księdza tkwiło jeszcze przekonanie, że nie złamie się, choćby go zabili. Również błakając się po górach, był przygotowany na tortury cielesne, gdyby go schwytali. Być może z powodu silnego napięcia psychicznego wydawało mu się, że zaciśnie zęby i wytrzyma każdy ból.

Teraz jednak ta gotowość znoszenia cierpienia częściowo osłabła. Wstał z podłogi i kręcąc głową, zaczął się zastanawiać, kiedy załamała się jego odwaga.

Może to z powodu tutejszego życia? – przemówił nagle głos w głębi jego serca. – Może to dlatego, że ci się tutaj bardzo przyjemnie żyje?

To prawda. Odkąd jest w Japonii, poza tym więzieniem prawie nigdzie nie spełniał kapłańskiej posługi! W Tomogi krył się ze strachu przed urzędnikami, a później nie miał już kontaktu z chłopami poza Kichijiro. Dopiero tutaj był wśród ludzi, nie był głodny i mógł się przez większą część dnia modlić lub rozmyślać w milczeniu.

Tutaj dzień za dniem upływał spokojnie, jak przesypujący się piasek w klepsydrze. Jego napięte nerwy po trochu się rozluźniały. Miał wrażenie, że już nie dosięgną go psychiczne tortury i męki cielesne, na które się kiedyś szykował, przekonany, że są nieuchronne. Urzędnicy i strażnicy byli wielkoduszni, naczelnik o pulchnej twarzy opowiadał ciekawie o Hirado. A jak się już raz pójdzie na łatwiznę i skosztuje wygodnego życia, o wiele trudniej pogodzić się z myślą, że znów trzeba by się błakać po górach i ukrywać w szopie.

Dopiero teraz ksiądz uświadomił sobie, że Inoue i japońscy urzędnicy nic nie robią, bo czekają jak pająk, aż zdobycz zapłacze się w jego sieć, czyli aż ksiądz straci czujność. Przypomniał sobie nagle nieszczerzy uśmiech i starcze zacieranie rąk władcy Chikugo. Pojął jasno, dlaczego tamten tak się zachowywał.

Jakby na potwierdzenie jego przypuszczeń od następnego dnia zaczęto mu podawać dwa posiłki dziennie zamiast, jak dotąd, jednego. Niczego nierozumiejący

strażnik śmiał się dobrodusznie, pokazując wszystkie zęby:

– Jedzcie, jedzcie! To polecenie jego dostojności, mało kogo tak traktuje.

Ksiądz popatrzył na drewnianą miskę z ryżem i suszoną rybą, pokręcił głową i poprosił strażnika, żeby to zaniósł wiernym. Nad ryżem krążyły muchy. Wieczorem strażnik przyniósł dwie maty.

Ksiądz zaczął pojmować po trochu, co chcą osiągnąć urzędnicy, coraz lepiej się z nim obchodząc. Zaczęto się o niego troszczyć, a to znaczy chyba, że lada dzień wezmą go na tortury. Przywykłe do wygod ciała nie potrafi znieść bólu. Niewątpliwie urzędnicy spodziewają się, że za pomocą takich podstępnych metod doprowadzą do tego, iż straci kontrolę nad swoim ciałem i duchem, a wtedy niespodzianie poddadzą go torturom.

Tortura jamy?

Zapamiętał to określenie, które usłyszał od tłumacza na wyspie w dniu, gdy go schwytano. Jeśli Ferreira wyrzekł się wiary, to bez wątpienia musiano go najpierw traktować grzecznie, tak jak teraz jego, a potem, gdy rozluźnił się psychicznie i fizycznie, poddano go nagle tej torturze. W przeciwnym razie ten cnotliwy mistrz nie wyrzekłby się wiary. Jakiż to przebiegły sposób!

Ksiądz przypomniał sobie słowa napisane przez świętego Franciszka Ksawerego, że Japończycy to najbystrzejsi ludzie, jakich znamy, i roześmiał się ironicznie.

Strażnicy powiadomili zapewne naczelnika i urzędników, że nie chce jeść dodatkowego posiłku ani nie korzysta nocą z maty, ale nie robiono mu specjalnie wymówek. Nie wiedział oczywiście, czy spostrzegli, że przejrzał ich zamysły.

Jakieś dziesięć dni po wizycie władcy Chikugo księdza obudziły rankiem krzyki na podwórzu. Gdy przyłożył twarz do krat okna, zobaczył, jak trójkę wiernych wyprowadzają z więzienia, z tyłu popędzał ich samuraj. W porannej mgle strażnicy ciągnęli troje ludzi przywiązanych jedno do drugiego za przeguby. Kobieta, która mu kiedyś dała ogórek, była przywiązana na końcu.

– *Padre!* – wykrzyknęli wszyscy razem, mijając stróżówkę, w której siedział kapłan. – Idziemy na roboty!

Wysunął rękę przez kratę i błogosławił im po kolei, kreśląc nad każdym znak

krzyża. Palec księdza musnął czoło Moniki, która podsunęła mu je jak dziecko, uśmiechając się smutno.

Dzień upłynął spokojnie, ale już od rana temperatura stopniowo rosła i żar słoneczny bez litości wlewał się przez kratę do celi. Na pytanie, kiedy wierni wrócą, strażnik odpowiedział, że wrócą, jak tylko skończą robotę, do wieczora powinni tu być. Teraz w Nagasaki z rozkazu naczelnika wszędzie budują świątynie buddyjskie i sintoistyczne, więc wciąż brakuje rąk do pracy.

– Dziś wieczorem jest święto *Urabon*. Pewnie *padre* o tym nie wie?

Strażnik wyjaśnił, że to buddyjskie święto zmarłych. Mieszkańcy Nagasaki zapalą dziś lampiony przed domami. Ksiądz zaś powiedział strażnikowi, że i w Europie są Zaduszki, i obchodzi się je w ten sam sposób.

Gdzieś daleko śpiewały dzieci. Nastawił uszu i usłyszał urywającą się chwilami rzewną pieśń.

Lampiony, lampiony,
co rok nam świecą.
Kto rzuci kamieniem,
ręce mu odlecą.
Lampiony, lampiony,
co rok nam świecą,
Kto rzuci kamieniem,
ręce mu odlecą.

O zmierzchu cykady *tsuku-tsukuboshi* znów zaczęły grać w gałęziach drzew *lagerstroemii*. Umilkły, gdy ucichł wiatr, a trójka wiernych ciągle nie wracała. Gdy ksiądz przy świetle *kaganka* kończył wieczerzę, znów dotarł do niego ledwie słyszalny dziecięcy śpiew. O północy jasny księżyc wpłynął przez okno i obudził go swym blaskiem. Święto już się chyba skończyło, ale w gęstym mroku nie mógł poznać, czy wierni wrócili już, czy nie.

Nazajutrz strażnik obudził go, nim się rozwidniło, każąc mu się prędko ubrać i wyjść na dwór.

– A więc już!

Gdy zapytał, dokąd ma iść, strażnik, potrząsając głową, odpowiedział, że sam nie wie, ale taką wczesną porę wybrano zapewne po to, aby uniknąć tłumu ciekawych, którzy zbiegliby się, chcąc popatrzeć na cudzoziemskiego kapłana chrześcijańskiego.

Na księdza czekali trzej samurajowie. Objaśnili mu tylko, że to rozkaz naczelnika, i obstąpiwszy go w milczeniu, pośród porannej mgły ruszyli pieszo przed siebie. Mijali stojące rzędem kupieckie domy kryte słomą lub trzcina, które teraz pozamykane były na głucho. Po obu stronach drogi ciągnęły się pola i leżały stosy drewna. Jego zapach mieszał się z wonią mgły. Miasto Nagasaki dopiero się budowało. W cieniu nowo wznoszonych domów spali żebracy i *hinin* – wykluczeni ze społeczeństwa „nieładzie” – przykrywszy głowy matami.

– Pierwszy raz w Nagasaki? – uśmiechnął się do księdza jeden z samurajów. – Dużo tu wzgórz.

Rzeczywiście dużo. Niektóre całe pokryte wiejskimi zagrodami pod strzechą. Koguty paniem ogłaszały poranek, pozostałe po wczorajszym święcie wyblakłe lampiony walały się pod okapami domów. Tuż u podnóża skarpy morze, porośnięte u brzegów gęstymi trzciniami, otoczone długim półwyspem, ciągnęło się hen, daleko. Z tyłu, w rzednącej mgle widać było jeden przy drugim kilka niezbyt wysokich pagórków.

Nad morzem rósł sosnowy las. Stały przed nim kosze, a obok nich przykucnęło kilku bosych samurajów. Czymś się pożywiali. Poruszając ustami, utkwili w księdzu pełne ciekawości spojrzenia.

W lesie teren był już odgradzony od reszty białymi płachtami, czekał na przybyszów rząd składanych stołeczków. Jeden z samurajów wskazał księdzu jeden z nich, mówiąc, żeby usiadł. Ksiądz raczej nie spodziewał się takiego traktowania, myśląc, że będą go przesłuchiwać.

Piaszczysta plaża barwy popiołu rozciągała się łagodnie od lasu do zatoki. Niebo było zachmurzone, więc morze miało mętny brązowy odcień. Jednostajny szum fal wgrzyzających się w piasek przywodził księdzu na myśl śmierć Mokichiego i Ichizo. Tamtego dnia bez przerwy siąpił deszcz, do słupów podfruwały morskie ptaki. Morze milczało, znużone. Milczał też niezmiennie Bóg. Ksiądz nie potrafił jeszcze

odpowiedzieć sobie na podejrzenia, które kilka razy zniemacka przemknęły mu przez myśl.

– *Padre!* – usłyszał z tyłu.

Odwrócił się i zobaczył mężczyznę o kanciastej twarzy i opadających na ramiona włosach, który z uśmiechem bawił się trzymanym w dłoni wachlarzem. Raczej po głosie niż z twarzy ksiądz poznał, że to tłumacz, który przesłuchiwał go w szałasie na wyspie.

– O!

– Pamiętasz mnie? Ileż to już czasu minęło od tamtego dnia? A jednak mamy szczęście znów się spotkać! Więzienie, w którym teraz przebywasz, *padre*, to nowy budynek, więc chyba nie jest ci tam źle? Zanim je zbudowano, chrześcijańskich *padre* umieszczano przeważnie w więzieniu Suzuta w Omurze. Ciężko tam było więźniom. W dni deszczowe lało się na głowę, a w dni wietrzne wiatr dmuchał przez ściany.

– Czy naczelnik zaraz tu przybędzie? – zmienił temat ksiądz, aby powstrzymać potok słów rozmówcy, na co tamten, poruszając głośno wachlarzem, odparł:

– A nie, nie! Nie spodziewamy się tu pana Inoue, władcy Chikugo. A jak się podoba dostojny naczelnik?

– Jest łaskaw traktować mnie uprzejmie. Dostaję jedzenie dwa razy dziennie, otrzymałem nawet odzież nocną. Zastanawiam się, czy na skutek tak wygodnego życia ciało moje nie sprzeniewierzy się sercu. Wy, zdaje się, bardzo na to liczycie?

Tłumacz patrzył w bok, udając, że nie wie, o co chodzi.

– Dzisiaj z rozkazu naczelnika przybędzie tu zaraz pewna osoba, która chce się koniecznie zobaczyć z *padre*, prosiła, byśmy jej to umożliwili. To także Portugalczyk, więc będziecie mieli sobie wiele do powiedzenia.

Ksiądz utkwiał wzrok w mętnych pożółkłych oczach tłumacza. Uśmiech zniknął z twarzy rozmówcy. Księdzu przemknęło przez myśl nazwisko Ferreiry. Czyżby to on? Czy na koniec przyprowadzą Ferreirę i każą, aby go namawiał do odstępstwa? Długi czas kapłan nie czuł do Ferreiry nienawiści, raczej litość, jaką lepszy odczuwa wobec gorszego. Teraz jednak, kiedy realne stało się spotkanie z nim twarzą

w twarz, poczuł niepokój i gwałtowne bicie serca, których przyczyny sam dobrze nie rozumiał.

– Wiesz, *padre*, kim jest ta osoba?

– Wiem.

– A, wiesz!?

Tłumacz z uśmiechem, szeleszcząc wachlarzem, spojrział w kierunku popielatych piasków. Daleko na plaży widać było zbliżającą się ku nim grupę ludzi idących w szeregu. Wydawali się jeszcze bardzo mali.

– Jest wśród nich.

Ksiądz starał się nie pokazać po sobie, jak bardzo jest przejęty, ale odruchowo podniósł się ze stołka. Pomiędzy pniami ubrudzonych piaskiem sosen obserwował zbliżających się ludzi, z czasem zaczął rozpoznawać ich sylwetki. Na czele jako straż szło dwóch samurajów. Za nimi trójka ludzi przywiązanych jedno do drugiego. Widział ich jak na dłoni, nawet to, że Monika słała się na nogach. Za nimi ujrzał swego konfratra Garrpego.

– No, patrz, patrz! – zawołał tłumacz triumfalnie. – O nim myślałeś?

Ksiądz śledził zachłannym wzrokiem postać Garrpego. Tamten nie wie, że on jest tu, w lesie. Tak samo jak on ma na sobie japońską wieśniaczą kapotę po kolana. Spod kapoty wystają białe łydki, wygląda to nienaturalnie. Idzie na samym końcu, wypręża z całej siły pierś i oddycha głęboko.

Ksiądz nie zdziwiło ani nie zaskoczyło to, że współbrata też schwytano. Od chwili gdy wyszli na brzeg w Tomogi, zdawali sobie sprawę, że kiedyś to nastąpi. Teraz pragnął się dowiedzieć, gdzie pojmano Garrpego i o czym myślał po aresztowaniu.

– Chcę mówić z Garrpem!

– Pewnie, że chcesz, ale dzień długi. Jest rano, nie ma więc pośpiechu.

Tłumacz, chcąc księdza zdenerwować, zaczął umyślnie ziewać, wachlując sobie twarz.

– A przy okazji. Wtedy na wyspie zapomniałem cię, *padre*, spytać o jedną rzecz. Co to w ogóle jest miłość i miłosierdzie według nauki chrześcijańskiej?

– Drażnisz się ze mną jak kot z myszą! – szepnął ksiądz, ze smutkiem wpatrując się w rozmówcę zapadłymi oczami. – Masz teraz dziką satysfakcję. Powiedz mi, proszę, jak i gdzie schwytano Garrpego.

– Bez uzasadnionej przyczyny nie ujawniamy więźniom faktów związanych z działalnością Urzędu Naczelnika Miasta.

Szereg zatrzymał się nagle na popielatym piasku, a urzędnicy zaczęli z grzbietu konia, który szedł na samym tyle, zdejmować słomiane bele.

– Noo! – tłumacz, zadowolony, obserwował minę księdza. – A wiesz, *padre*, po co ta słoma?

Urzędnicy zaczęli okręcać słomą wiernych, wszystkich oprócz Garrpego. Wyglądali potem jak larwy w kokonie, ze słomianych peleryn sterczały im tylko głowy.

– Zaraz wsadzą ich do łódki. Wypłyną z nimi na morze. Ta zatoka jest głębsza, niż się wydaje.

Szaroniebieskie fale wciąż z jednostajnym szumem biły o brzeg. Ciężkie ołowiane chmury wisiały nisko nad ziemią, zasłaniając słońce.

– Spójrz, teraz urzędnik zwraca się do *padre* Garrpego! – tłumacz mówił śpiewnym głosem. – A wiesz, co on mówi? Zapewne mówi tak: Jeśli jest w tobie, *padre*, prawdziwie chrześcijańska miłość, to chyba zlitujesz się nad tą trójką owiniętą w słomę. Chyba nie pozwolisz, żeby ich zabito na twoich oczach?

Teraz ksiądz pojął jasno, co tłumacz ma na myśli. Jak wichler targnął nim gniew. Gdyby nie był kapłanem, ścisnęłoby chyba z całych sił tego człowieka za gardło.

– Dostojny naczelnik obiecał, że daruje życie tym trojgu, jeśli *padre* Garrpe powie: „Wyrzekam się wiary”. Oni wczoraj w Urzędzie Naczelnika Miasta już podeptali święty obraz.

– Skoro już podeptali obraz... to okrutne... – zaczął ksiądz, chwytając z trudem oddech, ale nie mógł mówić dalej.

– Nam nie zależy na tym, by wiary wyrzekli się tacy maluczcy jak oni. Na naszych japońskich wyspach wielu jeszcze wieśniaków wyznaje potajemnie chrześcijaństwo. Aby mogli wrócić na słuszną drogę, to *padre* muszą odstąpić od

wiary.

Vitam praesta puram, iter para tutum! (Daj wieść życie czyste,/ drogę ścieł bezpieczną).

Ksiądz próbował odmawiać *Ave Maris Stella*^[30], ale zamiast słów modlitwy miał w sercu żywy obraz ciemnoczerwonej smugi krwi, która płynęła po rozświetlonej słońcem ziemi dziedzińca, słyszał grające w drzewach cykady. Przybył do tego kraju gotów umierać za bliźnich, tymczasem fakty są takie, że to japońscy chrześcijanie umierają jeden po drugim za niego i przez niego. Nie wiedział, co ma robić. Nie potrafił teraz jednoznacznie ocenić uczynków według zasad religii, jakich się dotąd uczył. Nie był w stanie powiedzieć, co jest słuszne, a co nie, co jest dobre, a co złe. Jeśli Garrpe odmówi, tamta trójka wiernych pójdzie jak kamienie na dno zatoki. A jeśli Garrpe ulegnie zachętom urzędników, będzie to oznaczało skazę na jego życiorysie. Ksiądz nie wiedział, co należałoby uczynić.

– Ciekawe, co ten Garrpe odpowie? Jeśli nauka chrześcijańska na pierwszym miejscu stawia miłość i miłosierdzie, jeśli wasz *Deus* jest miłością i miłosierdziem, a tak słyszałem... O, jest i łódka!

Nagle dwaj owinięci w słomiane maty mężczyźni zaczęli biec, omal się nie przewracając. Kiedy urzędnik popchnął ich z tyłu, więźniowie upadli na piasek. Tylko Monika w swoim kokonie patrzyła nieruchomo w szaroniebieskie morze. Ksiądz przypomniał sobie jej śmiech, a w ustach poczuł smak tamtego ogórka.

Możesz odstąpić od wiary! – krzyczał w duszy do Garrpego, który tam daleko, odwrócony do niego plecami, słuchał słów urzędnika.

Możesz odstąpić! Nie, nie wolno ci tego zrobić!

Ksiądz czuł, że pot spływa mu z czoła i zamknął oczy. Chciał, choć to podłe, oszczędzić sobie widoku tego, co się za chwilę stanie.

Czemu milczysz, Panie? Jak możesz milczeć w takiej chwili?

Gdy otworzył oczy, trzy ludzkie kokony, popędzane przez urzędników, kierowały się już ku łodzi.

Ja się wyrzeknę wiary! Ja się wyrzeknę! – te słowa cisnęły mu się na usta. Zacisnął zęby, żeby nie powiedzieć ich na głos. W ślad za więźniami dwaj urzędnicy

z włóczyniami w ręku, podkasawszy kimona aż po uda, siedli okrakiem na burcie i łódź, kołysząc się na falach, odbiła od brzegu. Jeszcze jest czas! Boże, nie czyni mnie i Garrpego winnymi tego wszystkiego. Ty jesteś za to odpowiedzialny, Boże!

Garrpe puścił się pędem i w miejscu, gdzie fale biją o brzeg, skoczył w morze z uniesionymi w górę rękoma. Rozbryzgując wodę, podpłynął do łodzi. Krzyczał:

– *Audi nos!* Wysłuchaj nas, Panie!

Kiedy czarna głowa nikła między falami, cichnął również ten głos, ni to krzyk, ni zawodzenie.

– *Audi nos!*

Urzednicy, wychylając się z łodzi, śmiali się, pokazując białe zęby. Jeden z nich drażnił się z podpływającym do nich Garrpem, strasząc go włócznią. Głowa kapłana znikła w morzu, krzyk się urywał, lecz po chwili znów nagle pojawiała się jego postać. Wyglądała jak jakiś rozgniatany przez fale czarny śmieć. Krzyczał coś słabszym niż poprzednio, urywanym głosem.

Urzednicy kazali stanąć jednemu z wiernych na burcie i silnie pchnęli go końcem włóczni. Ciało owinięte słomą jak kukła wpadło pionowo do wody. Potem w okamgnieniu wypadł z łodzi drugi mężczyzna, na koniec morze pochłonęło Monikę. Tylko głowa Garrpego unosiła się jeszcze przez chwilę niby kawałek drewna z rozbitego okrętu, ale i ją zaraz pokryły wywołane przez łódź fale.

– Ilekroć patrzę na takie rzeczy, czuję obrzydzenie. – Tłumacz podniósł się ze stołka i zwrócił na księdza pełen nienawiści wzrok. – *Padre!* To przez was! Dlatego, że chcecie nam egoistycznie narzucić swoje marzenia. Nie pomyśleliście, że przez te wasze ideały chłopci doświadczają tylu przykrości? Patrz! Znowu się leje krew! Krew ludzi, którzy niczego nie rozumieją!

Potem wyrzucił z siebie jeszcze:

– Garrpe miał przynajmniej honor! Ale ty... ty jesteś najpodlejszym tchórzem! Nie zasługujesz, aby cię nazywać *padre!*

Lampiony, lampiony,
co rok nam świecą.
Kto rzuci kamieniem,

ręce mu odlecą.

Lampiony, lampiony,

co rok nam świecą,

Kto rzuci kamieniem,

ręce mu odlecą.

Święto Zmarłych już się skończyło, ale dzieci gdzieś daleko śpiewały jeszcze tamtą pieśń. O tej porze w domach w Nagasaki rozdają żebrakom i „niełudziom” ryż, który wraz z fasolą, patatami i bakłazanami ofiarowano duchom zmarłych na domowym ołtarzyku. Cykady nadal grają całymi dniami, ale coraz ciszej.

– Co z nim? – pyta urzędnik, który raz na dzień kontroluje księdza.

– Bez zmian. Cały dzień patrzy w ścianę – odpowiada szeptem strażnik, wskazując na izbę, w której jest zamknięty ksiądz. Urzędnik zerka ukradkiem przez kratę okna i widzi plecy księdza siedzącego na podłodze w smudze słonecznego blasku.

Na ścianie, w którą wpatruje się całymi dniami, widzi błękitne fale i unoszącą się wśród tych fal małą czarną głowę Garrpego. Właśnie w tej chwili owinięci w słomę wierni spadają do wody jak kamienie.

Potrząsnął głową i obraz znikł, ale gdy zamknął oczy, znów cisnął mu się pod powieki.

„Jesteś podłym tchórzem! – powiedział, wstając ze stołka, tłumacz. – Nie zasługujesz, aby cię nazywać *padre!*”

Nie potrafił ocalić wiernych ani jak Garrpe pójść za nimi w otchłań wody. Ogromnie im tylko współczuł. Ale za współczuciem nie poszły czyny. Nie było w nim miłości. Współczucie to podobnie jak żądza uczucie instynktowne. Nauczył się tego bardzo dawno, siedząc w twardej seminaryjnej ławce, ale pozostało to dla niego książkową wiedzą.

„Patrz! To przez was leje się krew! Ziemia wciąż jeszcze spływa chłopską krwią!”

Wyobraził sobie płynącą po rozświetlonym słońcem dziedzińcu więziennym ciemnoczerwoną strugę krwi. Tłumacz powiedział, że to krew przelana za

egoistyczne marzenia misjonarzy. Inoue porównał te ideały do namiętności brzydkiej kobiety. Mówił, że bywają mężczyźni, dla których namiętna miłość brzydkiej niewiasty jest ciężarem nie do zniesienia.

„Chociaż – rumiane i pulchne oblicze władcy Chikugo nakładało mu się w wyobraźni na uśmiechniętą twarz tłumacza – chociaż podobno przybyłeś do tego kraju, aby umrzeć za nich, to oni idą na śmierć za ciebie!”

Głośny śmiech pogardy rozdrapywał rany księdza, ranił jak ciernie. Potrząsając lekko głową, tłumaczył on sobie, że to nie za niego umierali przez cały ten czas japońscy chłopci. Że odkąd uwierzyli, wybierali śmierć, aby siebie ocalić. Ale teraz i takie wyjaśnienie nie było w stanie uśmierzyć jego bólu.

Tak mijał dzień za dniem. Słyszeć jeszcze było ciche granie cykad.

– Co z nim? – pyta urzędnik przybyły na codzienną kontrolę.

– Bez zmian. Cały dzień patrzy w ścianę – odpowiada szeptem strażnik, wskazując na izbę.

– W Urzędzie Naczelnika Miasta polecono mi, żebym dokładnie mu się przyjrzał. Wszystko chyba idzie po myśli dostojnego władcy Chikugo.

Urzędnik odsunął od kraty twarz, na której pojawił się zaraz uśmieszek zadowolenia jak u lekarza śledzącego z uwagą przebieg choroby pacjenta.

Po Święcie Zmarłych przez pewien czas dni w Nagasaki płynęły spokojnie. W końcu miesiąca przypada Dzień Dziękczynienia i naczelnicy wsi, czyli tak zwani *shoya* z Nagasaki, Oyamaury i Urakami, przynoszą do Urzędu Naczelnika Miasta pudełka z pierwszym zebraniem ryżem. 1 sierpnia urzędnicy i przedstawiciele zacnych rodów z miasta w letnich szatach z konopnego płótna składają wizytę miejscowemu zarządcy.

Była pełnia księżyca. W lesie za więzieniem jak co noc gruchały ptaki, nawołując się wzajemnie. Nad lasem idealnie okrągły księżyc, tak czerwony, że aż robiło się nieswojo, to się krył w czarnych chmurach, to zza nich wyłaniał. Starcy plotkowali, że pewnie w tym roku wydarzy się coś złego.

13 sierpnia. W domach w Nagasaki przyrządzają sałatkę z ryb i jarzyn – *namasu*, prażą soję, gotują pataty i szykują inne potrawy. W tym dniu funkcjonariusze

Urzędu Naczelnika Miasta składają w podarku swemu zwierzchnikowi ryby i słodczyce, a on ze swej strony rozdaje im sake, ryżowe pączki i inne przysmaki.

Tego wieczora strażnicy ucztowali długo w noc, jedząc pataty i soję, popijając sake. Do późna słychać było ich ochryple wrzaski i brzęk naczyń.

Ksiądz siedział po japońsku, a jego wychudłe barki oblewał wpadający przez zakratowane okno srebrny blask księżyca. Chudy cień padał na drewnianą ścianę. Od czasu do czasu w lesie słychać było: „tzy, tzy”, jakby samotna, przestraszona cykada *aburazemi* zrywała się do lotu. Kapłan zamknął zapadłe oczy i trwał bez ruchu, pogrążony w mroku. W tę noc, gdy spali wszyscy, których zna, wszyscy, o których coś wie, boleśnie przesywało mu serce wspomnienie innej podobnej nocy. Ksiądz rozpamiętywał twarz tamtego Człowieka, który oddaliwszy się od uczniów w Getsemani, przywarł do ziemi i samotnie „pogrążony w udręce, jeszcze usilniej się modlił, a Jego pot był jak gęste krople krwi, sączące się na ziemię”^[31] gorącą od wchłoniętego w południe żaru. Kiedyś oblicze Chrystusa setki razy pojawiała się w myślach i wyobraźni księdza i tylko to Jego zbolące, złane potem oblicze z Getsemani wydawało się księdzu czymś dalekim. Tej nocy po raz pierwszy pod jego powiekami powstał wyraźny obraz tej twarzy o zapadłych policzkach.

Czy tamtej nocy Chrystus trząsł się ze strachu, przeczuwając milczenie Boga? Ksiądz nie chciał się nad tym zastanawiać. Lecz oto nagle odezwał się w głębi jego duszy głos, którego nie chciał słyszeć, więc potrząsnął kilkakrotnie głową. Morze zasnute deszczem, które pochłonęło przywiązanych do słupa Mokichiego i Ichizo. Morze, na którym unosiła się niby kawałek drewna czarna głowa goniącego łódź Garrpego, który już opadał z sił! Morze, do którego z tej łodzi spadły pionowo, jedno za drugim, ciała owinięte w słomę. Bezkresne, smutne morze, nad którym Bóg nawet w tamtych chwilach nie przerwał milczenia.

Eli, Eli, lema sabachthani? – Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił? – ten głos wdarł się w serce księdza razem ze wspomnieniem ołowianego morza.

Eli, Eli, lema sabachthani. W piątek o godzinie szóstej ten głos zabrzmiał wśród ciemności z krzyża ku niebu. Ksiądz długo uważał te słowa za modlitwę tamtego Człowieka i nigdy nie pomyślał, że mogło je wywołać przerażenie milczeniem Boga.

Czy Bóg naprawdę istnieje? Bo jeśli Boga nie ma, to połowa jego życia, to

przemierzanie licznych mórz, by przynieść ziarno prawdy na jałową ziemię tych małych wysepek, była farsą. Farsą było życie jednookiego, któremu ścięto głowę w samo południe pośród grania cykad. I życie Garrpego, który płynął, próbując dogonić na morzu łódź z wiernymi. Ksiądz roześmiał się w głos do ściany.

Ochryple wrzaski popijających sake strażników ucichły.

– Co was tak śmieszy, *padre*? – zapytał jeden z nich, przechodząc na wprost drzwi księdza po drodze z ustępu.

Ale gdy rankiem jasne światło dnia znów wlało się przez kraty, ksiądz odzyskał nieco siły ducha, otrząsnął się z poczucia osamotnienia, które zawładnęło nim wczorajszej nocy. Z nogami wyciągniętymi przed siebie i z głową opartą o ścianę, zduszonym głosem szeptał psalm Dawida: „Pieśń. Psalm. Dawidowy. Gotowe jest serce moje, Boże,/ zaśpiewam i zagram./ Zbudź się, chwało moja, zbudź się, harfo i cytro!/ Chcę obudzić jutrzeńkę./ Wśród ludów będę chwalił Cię, Panie (...)”^[32]. Te wersety Pisma przychodziły mu na myśl w dzieciństwie, ilekroć patrzył na błękitne niebo lub poruszane wiatrem gałęzie drzew owocowych, ale Bóg w tamtych dniach nie był, jak dziś, przedmiotem lęku ani niejasnych podejrzeń, był kimś bliskim, kto sprawiał, że czuło się radość życia w harmonii z otaczającym światem.

Od czasu do czasu ciekawe oczy urzędnika i strażników spoglądały przez kraty, ale ksiądz już nawet głowy nie odwracał w ich stronę. Często się też zdarzało, że nie sięgał po jedzenie, które mu dwa razy dziennie przynoszono.

Nadszedł wrzesień i pewnego popołudnia, gdy powietrze ochłodziło się nieco, niespodziewanie odwiedził go tamten tłumacz.

– No, chciałbym, żebyś dziś się z kimś spotkał – zaczął mówić, szeleszcząc wachlarzem, jakby chciał zakpić z księdza. – Nie, nie, to nie dostojny naczelnik ani żaden z urzędników. Na pewno i ty będziesz zadowolony ze spotkania z tą osobą.

Ksiądz w milczeniu patrzył na rozmówcę oczyma bez wyrazu. Miał jeszcze wyraźnie w pamięci słowa, które tłumacz mu wcześniej rzucił prosto w twarz, ale, rzecz dziwna, nie był w stanie wzbudzić w sobie nienawiści ani gniewu. A właściwie był zbyt otępiały, by w ogóle odczuwać cokolwiek.

– Jak słyszę, już nawet jeść nie chcesz – mówił tłumacz ze swoim zwykłym

uśmieszkiem. – Lepiej nie myśleć za dużo.

Mówiąc to, ciągle pochylał głowę, to wchodząc do izby, to z niej wychodząc.

– Lektyka się spóźnia! Powinna już tu być.

Ksiądz prawie wcale nie zainteresował się tym, kto do niego przyszedł. Otępiały, patrzył na plecy tłumacza krążącego bez przerwy między izbą strażników a jego celą, tak jak się patrzy na rzecz.

W bramie rozległy się głosy ludzi niosących lektykę. Rozmawiali z tłumaczem o czymś na dworze.

– *Padre*, ruszamy!

Ksiądz wstał, milcząc, i powoli wyszedł na dziedziniec. Od światła potwornie zaboląły go oczy, które z powodu wyczerpania nerwowego pożółkły i zaszyły mgłą. Tylko dwaj tragarze w przepaskach na biodrach z lektyką na ramionach przyglądali mu się z uwagą.

– Ciężko! Ale gruby! – wyrazili swe niezadowolenie, gdy wsiadał do lektyki.

Aby uniknąć ludzkiego wzroku, w lektyce spuszczone zasłony z mat bambusowych, tak że ze środka nie było widać, co jest na zewnątrz. Dochodziły tam tylko dźwięki. Dziecięce wrzaski. Dzwoneczki mnichów buddyjskich. Odgłosy z placów budowy. Zachodzące słońce przenikało przez zasłonę i tworzyło cętki na twarzy księdza. Prócz dźwięków docierały też różne zapachy. Drzew i błota. Kur, krów i koni. Z zamkniętymi oczyma ksiądz chłonał pełną piersią codzienne życie ludzi, które nagle, wprawdzie tylko na krótką chwilę, odzyskał. Ogarnęła go nieprzeparta chęć, aby jak inni znów mówić do ludzi, słuchać tego, co mówią oni, zanurzyć się po prostu w życiu. Miał dość ukrywania się w szopie na węgiel drzewny, błądzenia po górach w strachu przed pościgiem, patrzenia, jak zabijają wiernych. Wydawało mu się, że nie ma siły dłużej tego znosić. Lecz odkąd został kapłanem, miał tylko jedno zadanie, które powinien wypełniać „z całego swego serca, z całej duszy swojej, ze wszystkich swych sił”^[33].

Po samych dźwiękach poznał, że weszli do miasta. Chociaż jeszcze przed chwilą słychać było gdakanie kur i porykiwanie bydła, teraz przez zasłonę dochodziły już inne odgłosy – nieustanny tupot nóg przechodniów, głośnie nawoływania

przekupniów, skrzypienie kół u wozów i krzyki kłócących się ludzi.

Było mu wszystko jedno, gdzie go zaprowadzą i z kim każą się spotkać. Ktokolwiek by to był, będzie to śledztwo prowadzone tymi samymi metodami co dotąd, pytania też będą się powtarzać. Podobnie jak Herod, przesłuchując Chrystusa, zadawał Mu pytania nie po to, by usłyszeć odpowiedź, tak też nikogo nie interesują jego odpowiedzi, przesłuchanie będzie czystą formalnością. Ksiądz nie rozumiał ponadto, dlaczego władca Chikugo zachowuje go przy życiu, nie zabija, ale też nie wypuszcza na wolność. Lecz był teraz zbyt oziębiały, żeby roztrząsać możliwe przyczyny.

– To tu!

Ocierając pot dłonią, tłumacz zatrzymał lektykę i podniósł zasłonę. Ksiądz wysiadł i spostrzegł, że zachodzące słońce nabrało intensywnie czerwonej barwy i że są tu strażnicy, którzy go pilnowali w więzieniu. Najwidoczniej obawiano się mimo wszystko, że mógłby uciec po drodze.

U szczytu kamiennych schodów, za błyszczącą w wieczornym słońcu bramą widać było niewielką świątynię. Za nią piętrzyły się strome skały jasnobrazowej barwy.

W kuchni klasztornej było ciemnowo, kilka kur kręciło się po drewnianej podłodze, nic sobie nie robiąc z ludzi. Wszedł młody mnich, spojrzał na księdza pałającymi wrogością oczyma i zniknął, nie ukłoniwszy się nawet tłumaczowi.

– Mnisi was nienawidzą – powiedział zadowolony tłumacz, siadając na drewnianej podłodze i spoglądając na wewnętrzny dziedziniec. – Ciągłe patrzenie w ścianę zatruwa ci ciało i ducha. A my przerwaliśmy tę twoją samotność nie po to, żeby cię dręczyć niepotrzebnie.

Ksiądz prawie nie słuchał słów tłumacza, który zapewne swoim zwyczajem kpił sobie z niego. Wśród wypełniających kuchnię zapachów: trociczek, wilgoci, japońskiego jedzenia poczuł nagle obcą woń. To pachniało mięso. Dawno nie jadł mięsa, więc mógł wyczuć wrażliwym węchem nawet ten ledwo uchwytny zapach.

Z daleka słychać było kroki. Powoli zbliżały się ku nim długim korytarzem.

– Domyśliłeś się, z kim masz się spotkać?

Tym razem ksiądz z napięciem na twarzy skinął potakująco głową. Wiedział, że wbrew jego woli drżą mu kolana. Przypuszczał, że kiedyś nadejdzie ta chwila, kiedy spotka się z tym człowiekiem, ale nie spodziewał się, że to będzie tutaj.

– Dostojny naczelnik powiedział – tłumacz patrzył z przyjemnością na trzęsącego się księdza – że można by już zetknąć was ze sobą.

– Dostojny Inoue?

– No właśnie! Tamten zresztą też chce się z tobą spotkać.

Za starym mnichem szedł ubrany na ciemno, przygarbiony Ferreira. Niski stary mnich trzymał się całkiem prosto, przez co postawa wysokiego, ale pochylonego Ferreira wydawała się jeszcze bardziej uniżona. Wyglądał zupełnie jak duże zwierzę domowe prowadzone na powrozie przywiązany u szyi.

Mnich przystanął, bez słowa popatrzył na księdza i usiadł ze skrzyżowanymi nogami w kącie na podłodze. Wszyscy długo milczeli.

– *Padre!* – wymówił wreszcie ksiądz drżącym głosem. – *Padre!*

Ferreira uniósł nieco pochyloną głowę i spojrzał na księdza. Przez moment w jego oczach mignął uniżony uśmiech połączony z zawstydzeniem. Potem w jego śmiałym spojrzeniu pojawiło się wyzwanie.

Ksiądz nie wiedział, co ma mówić. Serce mu się ścisnęło i czuł, że teraz każde słowo będzie kłamstwem. Nie chciał też wzbudzać jeszcze większej ciekawości tłumacza i mnicha, którzy nie spuszczaali z nich oka. Miłość, gniew, żal i nienawiść – te różne uczucia splątane ze sobą burzyły się w głębi jego serca. Dlaczego tak patrzysz? – krzyczał w myśli. – Nie przyszedłem tu, aby cię oskarżać, nie jestem tu po to, aby cię sądzić! Nie jestem lepszy od ciebie.

Próbował zmusić się do uśmiechu, ale zamiast niego, wbrew woli księdza, w oczach zakreśliły mu się jasne łzy i potoczyły z wolna po policzkach.

– *Padre*, ileż to czasu! – powiedział wreszcie drżącym głosem. Wiedział aż nazbyt dobrze, jak śmiesznie, głupio brzmią teraz te słowa, ale co innego mógł powiedzieć?

Ferreira milczał nadal z tym samym wyzywającym wyrazem twarzy. Ksiądz wiedział, co się dzieje w sercu Ferreira, widział je jak na dłoni. Rozumiał

wszystko – i unizony uśmiech, i wyzywające spojrzenie. I dlatego właśnie pragnął runąć jak spróchniałe drzewo.

– Powiedz coś, proszę – odezwał się, z trudem łapiąc oddech. – Jeśli masz nade mną litość, proszę, powiedz coś!

Miał ochotę powiedzieć: Zgoliłeś brodę! Sam nie wiedział, dlaczego taka właśnie dziwna myśl przyszła mu nagle do głowy. Faktem jednak jest, że wielebny Ferreira w dawnych czasach, kiedy go znali z Garrpem, nosił bardzo zadbaną brodę. To przydawało jego twarzy łagodności pełnej dostojeństwa. Teraz ma gładko wygoloną twarz i pod nosem, i na podbródku. Ksiądz czuł, że jego wzrok sam się kieruje ku tej gładkiej części twarzy Ferreira. Było w tym coś nieprzyzwoitego.

– Co można powiedzieć w takiej chwili?

– Okłamujesz się.

– Okłamuję się? A jak nazwać to, co we mnie kłamstwem nie jest?

Tłumacz, nie chcąc uronić ani słowa z ich rozmowy po portugalsku, przysunął się bliżej. Z klepiska w sieni, łopocząc skrzydłami, wpadło do kuchni jeszcze kilka kur.

– Jak długo mieszkasz tutaj?

– Już chyba rok.

– A co to za miejsce?

– Świątynia Saishoji.

Na dźwięk „Saishoji” stary mnich siedzący nieruchomo jak kamienny budda ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie odwrócił głowę w ich stronę.

– Ja też jestem w Nagasaki, w jakimś więzieniu. Sam nie wiem, gdzie to jest.

– Ja wiem. To więzienie w Soto-machi, na obrzeżu miasta.

– Co tutaj robisz na co dzień?

Ferreira skrzywił się i potarł ręką gładki podbródek.

– Pan Sawano codziennie pisze książkę – zamiast Ferreira odpowiedział siedzący z boku tłumacz.

– Na polecenie naczelnika Inoue tłumaczę książkę o astronomii – zaczął pośpiesznie mówić Ferreira, chcąc zamknąć usta tłumaczowi. – Dzięki temu jestem

pożyteczny. Służę ludziom w tym kraju. Japończycy bowiem, jakkolwiek posiadają bogatą wiedzę, w astronomii i medycynie mogą jeszcze potrzebować pomocy takich jak ja cudzoziemców. Oczywiście istnieje w tym kraju wspiana medycyna, przejęta z Chin, ale... jednak wzbogacenie jej o naszą chirurgię z pewnością przyniesie jej korzyść. To samo z astronomią. Dlatego zamówiłem sobie u kapitanów statków holenderskich soczewki i teleskop. Z całą pewnością nie jestem bezużyteczny w tym kraju. Jestem tu potrzebny. Tak właśnie.

Ksiądz wpatrywał się w usta Ferreiry, z których wylewał się potok słów. Nie wiedział, dlaczego tamten stał się nagle taki rozmowny. Miał jednak wrażenie, że pojmuje niepokój jego serca, który każe mu podkreślać na każdym kroku, że jeszcze jest pożyteczny. Ferreira nie mówił tylko do niego. Wyrzucał to z siebie, aby usłyszeli go tłumacz i mnich i aby się samemu pogodzić ze sobą.

– Służę temu krajowi.

Tymczasem ksiądz patrzył na Ferreirę, smutno mrużąc oczy. Tak, jedynym pragnieniem, jedynym marzeniem duchownego jest służyć bliźniemu, być użytecznym! Samotność kapłana zaczyna się wtedy, gdy już nikomu nie może służyć. Ksiądz uznał, że Ferreira nawet teraz, gdy wyrzekł się wiary, nie może się wyzbyć starego sposobu myślenia. Jak obłąkana matka nadal karmi piersią swe niemowlę, tak Ferreira kurczowo trzyma się dawnego życia, pamięta, że kiedyś był ludziom potrzebny.

– Czy to daje szczęście? – szeptem spytał ksiądz.

– Komu?

– Tobie.

– Szczęście... – Ferreira znów spojrzał przenikliwym, wyzywającym wzrokiem. – Każdy inaczej rozumie szczęście.

Dawniej byś nigdy tak nie powiedział! – już miał powiedzieć ksiądz, ale powstrzymał się, był zbyt otępiały. – Nie przyszedłem tutaj, aby cię oskarżać, że odstąpiłeś od wiary i zdradziłeś nas, twoich uczniów. Nie miał już najmniejszej ochoty wkładać palca w głęboką ranę, którą jego rozmówca starał się przed nim ukryć.

– Otóż to! Pracuje i jest użyteczny dla nas, Japończyków. Zmienił też nazwisko. Nazywa się Chuan Sawano – tłumacz uśmiechał się do nich obu. – Właśnie pracuje nad pewnym dziełem. Jest to książka, która przedstawia błędy i nieprawidłowości doktryny i religii chrześcijańskiej. Tytuł ma być, zdaje się, *Kengiroku*, czyli *Zapiski demaskujące błędy*.

Tym razem Ferreira nie zdążył mu przerwać. Przez chwilę patrzył na trzepoczące się kury, udawał, że niczego nie usłyszał.

– Sam naczelnik raczył czytać rękopis i pochwalił, że udany. Ty też mógłbyś przejrzeć go w wolnej chwili w więzieniu.

Dopiero teraz ksiądz pojął przyczynę nerwowej paplaniny Ferreiry o tłumaczeniu dzieła astronomicznego. Księdzu zdawało się, że widzi zgięte plecy Ferreiry, który trzyma w ręku pędzel. Ferreiry, który na rozkaz Inoue codziennie siada przy biurku! Ferreiry piszącego, że nauka chrześcijańska, w którą niegdyś wierzył i gotowy był poświęcić za nią życie, jest zła i fałszywa!

– To okrutne!

– Co mówisz!

– To okrutne! Bardziej niż wszelkie tortury. Myślę, że to najokrutniejsze, co można zrobić.

Ksiądz zauważył, że w oczach Ferreiry, który starał się odwrócić wzrok, błysnęły nagle jasne łzy. Ubrany w czarne kimono, kasztanowe włosy związuje jak Japończyk, nawet nazywa się Chuan Sawano... ale żyje. O Panie, Ty wciąż milczysz! I wobec takiego losu milczysz uparcie!

– Panie Sawano! Nie przyprowadziliśmy tu dziś tego *padre* na długie rozmowy! – Tłumacz obrócił się do starego mnicha, który nadal jak kamienny Budda siedział na podłodze w blasku zachodzącego słońca. – Także i ty, wielebny, masz wiele zajęć. Należałoby już chyba przejść do rzeczy!

Ferreira stracił ducha walki. Księdzu wydało się, że ten człowiek z błyszczącymi jeszcze na rękach łzami nagle skurczył się i zmałał.

– Kazano mi, abym namówił cię do odstępstwa od wiary – szepnął Ferreira zmęczony. – Spójrz na to!

W milczeniu wskazał miejsca za uszami. Były tam blizny. Brązowe blizny jak po oparzeniu.

– To się nazywa tortura jamy. Chyba ci już kiedyś o niej mówiłem. Związuje się człowieka tak, że nie może ruszyć ręką ani nogą, i wiesz głową w dół – pokazywał tłumacz, rozkładając ręce i udając, że sam też zadrżał z trwogi. – A ponieważ w takiej pozycji człowiek od razu by umarł, robi się otwory za uszami, żeby krew mogła ściekać kropla po kropli. Tę torturę wymyślił dostojny Inoue.

W myślach ujrzał tłustą rumianą twarz i duże uszy naczelnika. Trzyma oburącz czarkę i powoli pije gorący płyn. Kiedy ksiądz mu się sprzeciwia, powoli kiwa głową, zupełnie jakby się z nim zgadzał, i powoli przywołuje uśmiech na twarz. Herod też spożywał posiłek przy stole przybranym kwiatami, gdy torturowano tamtego Człowieka.

– Zastanów się! Jesteś w tej chwili jedynym chrześcijańskim *padre* w tym kraju, ale już cię schwytano i nie masz możliwości nauczać wieśniaków, szerzyć wiary i tak dalej. No więc jesteś istotą bezużyteczną, tak? – tłumacz zmrużył oczy i dalej mówił już łagodnym głosem. – A pan Chuan, jak sam mówił przed chwilą, tłumaczy książki astronomiczne i medyczne, pomaga chorym, służy ludziom. Czy chcesz całe życie spędzić w więzieniu, leniwie i bezużytecznie, czy też oficjalnie wyrzekłszy się wiary, służyć ludziom pomocą? To właśnie musisz rozważyć. Panu Sawano także musiał to wielokrotnie tłumaczyć obecny tu sędziwy mnich. Iść drogą łaski to, krótko mówiąc: wyrzec się własnego „ja”. A właśnie to nasze „ja” upiera się, by bezsensownie dzielić ludzi według religii. Nie ma przecież żadnej różnicy, czy się służy ludziom jako buddysta czy jako chrześcijanin. Rzecz w tym, czy się służy, czy nie. Pan Sawano o tym też pisze w swoich *Zapiskach demaskujących błędy*.

Tłumacz skończył i odwrócił się do Ferreiry, przynaglając go do zabrania głosu.

Zachodzące słońce padało prosto na wąskie plecy starca w japońskich szatach. Ksiądz, wpatrując się w te drobne plecy, daremnie próbował odnaleźć w nich postać dawnego mistrza Ferreiry z seminarium w Lizbonie, kochanego i szanowanego przez alumnów. Dziwna rzecz, ale nie czuł pogardy. Miał w sercu tylko litość, jakby patrzył na istotę pozbawioną duszy.

– Dwadzieścia lat – szeptał Ferreira, nie mając odwagi podnieść oczu –

dwadzieścia lat prowadziłem misje w tym kraju. Ten kraj i jego sprawy znam lepiej niż ty.

– I przez te dwadzieścia lat prowadziłeś chwalebłą działalność jako superior Towarzystwa Jezusowego – powiedział głośno ksiądz, aby dodać mu odwagi. – Z czcią czytaliśmy listy, jakie nadsyłałeś do zwierzchników Towarzystwa.

– Ale teraz masz przed sobą starego misjonarza, który w nauczaniu wiary poniósł klęskę.

– Nie ma klęsk w nauczaniu wiary! Po twojej i po mojej śmierci znów jakiś kapłan przypłynie dżonką z Makao i gdzieś w tym kraju potajemnie wyjdzie na ląd!

– I zostanie schwytyany! – pośpiesznie wtrącił z boku tłumacz. – A za każdym razem, gdy schwytemy misjonarza, poleje się krew Japończyków. Będę ci dotąd powtarzał, aż wreszcie zrozumiesz, że to Japończycy giną przez wasze samolubne ideały. Czas najwyższy, żebyście zostawili nas w spokoju!

– Dwadzieścia lat nauczałem tu wiary – powtórzył beznamiętnym głosem Ferreira i ciągnął dalej: – i zrozumiałem w końcu jedno, że w tym kraju twoja i moja religia nigdy nie zapaści korzeni.

– To nieprawda, zapaściła korzenie! – ksiądz z głośnym krzykiem potrząsnął głową. – Tylko je odcięto!

Ferreira nawet nie spojrzał na krzyczącego księdza, stał nadal ze spuszczonego wzrokiem, bezwolny, pozbawiony emocji, jak marionetka.

– Ten kraj to bagno. Kiedyś to zrozumiesz. Ten kraj okazał się straszniejszym bagnem, niż się spodziewałem. Każdej młodej roślince zasadzonej na tym bagnie zaczynają gnąć korzenie, żółkną i więdną liście. My na tym bagnie posadziliśmy roślinę zwaną chrześcijaństwem.

– I był czas, że ta roślina okryła się liśćmi i rosła!

– Kiedy?

Po raz pierwszy Ferreira przyjrzał się uważnie księdzu, a na jego wychudłej twarzy pojawił się uśmiezek. Uśmiech politowania nad nieznanym światem młodzieńcem.

– Gdy przybyłeś do tego kraju, wszędzie budowano tu kościoły, wiara pachniała

jak świeży kwiat o poranku, a Japończycy, jak Żydzi nad Jordanem, tłumnie przyjmowali chrzest, każdy chciał być szybszy od innych.

– A jeśli bóstwo, w które wówczas uwierzyli Japończycy, nie było Bogiem chrześcijańskim? – wyszeptał powoli Ferreira, z którego twarzy nie zniknął jeszcze uśmiech politowania.

Ksiądz uczuł wzbierający w głębi serca gniew, którego przyczyny nie rozumiał. Bezwiednie zacisnął pięści. Powtarzał sobie z całych sił: Musisz myśleć rozsądnie. Nie daj się zwieść tym wydumanym teoriom. Ktoś, kto przegrał, będzie oszukiwał sam siebie na wszelkie sposoby, byleby tylko usprawiedliwić własną klęskę.

– Chcesz przeczyć temu, czemu zaprzeczyć nie sposób?

– Bynajmniej. To nie w naszego Boga wierzyli wówczas mieszkańcy tego kraju. Wierzyli w swoich bogów. Bardzo, bardzo długo nie wiedzieliśmy o tym, myśleliśmy, że stali się chrześcijanami.

Ferreira, zmęczony, usiadł na podłodze. Spod rozchylonej poły kimona widać było jego brudne nogi chude jak patyki.

– Nie mówię tak, żeby się tłumaczyć, usprawiedliwiać przed tobą. Zapewne nikt by mi nie uwierzył. Nie tylko ty. Nie uwierzyliby misjonarze w Makao i w Goa ani żaden kapłan w Europie. Ale ja po dwudziestu latach pracy misyjnej poznałem Japończyków. Zrozumiałem, że korzenie posadzonej przez nas rośliny gniły po trochu cały ten czas, tylko myśmy o tym nie wiedzieli.

– Święty Franciszek Ksawery – ksiądz nie wytrzymał i przerwał rozmówcy – wcale nie miał takich poglądów, gdy przebywał w Japonii.

– Tak – skinął głową Ferreira – tamten święty na początku wcale tego nie zauważył. A Japończycy nawet samo słowo *Deus*, o którym nauczał Ksawery, zmienili samowolnie na *Dai-Nichi*, czyli Wielkie Słońce. Dla czczących Słońce Japończyków *Deus* i *Dai-Nichi* brzmiały bardzo podobnie. Nie czytałeś listu, w którym Ksawery pisze, że zauważył to nieporozumienie?

– Gdyby wielebny Ksawery miał ze sobą dobrego tłumacza, nie byłoby takich drobnych, głupich nieporozumień.

– Nie o to chodzi! Niczego nie rozumiesz z tego, co ci mówię! – Ferreirze po raz

pierwszy zadrgały nerwowo skronie, ale ciągnął dalej: – Niczego nie rozumieją ci wszyscy, którzy z klasztorów w Makao i w Goa obserwują misje w tym kraju. Z chwilą gdy Japończycy połączyli słowa *Deus* i *Dai-Nichi*, zniekształcili na swój sposób naszego Boga, a następnie zaczęli sobie tworzyć całkiem innego. Nawet po wyjaśnieniu nieporozumienia z pomieszaniem słów, zniekształcone rozumienie Boga pozostało. A w czasach najwspanialszego rozwoju misjonarskiej działalności, o których mówiłeś przed chwilą, Japończycy wierzyli nie w Boga chrześcijan, ale w istotę, którą stworzyli, wypaczając Go.

– Przekształcili i wypaczyli naszego Boga, a później stworzyli innego – ksiądz powtórzył słowa Ferreiry, rozgryzając ich sens. – Czy jednak nie był to mimo wszystko nasz Bóg?

– Nie! Bóg chrześcijański w sercu Japończyka w pewnej chwili przestał być prawdziwym Bogiem.

– Co chcesz przez to powiedzieć!?! – krzyknął ksiądz, aż kury spokojnie dziobiące pokarm na klepisku w sieni uciekły w kąt, łopocąc skrzydłami.

– To, co mówię, jest proste. Wy widzicie tylko zewnętrzną stronę nawracania, nie myślicie o istocie misji. Rzeczywiście, w ciągu dwudziestu lat mojej pracy misyjnej, tak jak mówiłeś, zbudowano wiele kościołów w regionie Kamigata i na Kiusiu, w regionie Chugoku i w Sendai. Powstały seminaria w Arimie i w Azuchi. Japończycy prześcigali się, żeby zostać chrześcijanami. Mieliśmy czterysta tysięcy wiernych.

– Powinieneś być z tego dumny.

– Dumny? Tak, jeśli ci Japończycy wierzyli w Boga, o którym ich uczyłem. Ale w kościołach, któreśmy wznieśli w tym kraju, Japończycy modlili się nie do Boga chrześcijan. Modlili się do Boga zniekształconego na ich własną modłę, niezrozumiałego dla nas. Nawet jeśli oni to bóstwo nazywają Bogiem – Ferreira pochylił się i poruszył wargami, jakby coś sobie przypominając – to nie jest to Bóg! Zupełnie jak motyl schwytyany w pajęczynę. Początkowo ten motyl z pewnością jest motylem, ale dnia następnego, chociaż ma skrzydła i tułów motyla i wygląda jeszcze jak motyl, w istocie to trup, który prawdziwym motylem już nie jest. I nasz Bóg tu, w Japonii, jest tylko pozornie Bogiem, pozbawiony bowiem swojej istoty jest

martwy.

– Z pewnością tak nie jest! Nie chcę dłużej słuchać tych bzdur! Nie byłem w Japonii tak długo jak ty, ale na własne oczy widziałem męczenników! – Ksiądz zakrył twarz dłońmi. – Oni z pewnością umierali z żarliwą wiarą! Widziałem na własne oczy!

W sercu księdza ożyło znów bolesne wspomnienie morza w dzień deszczowy i stojących w wodzie dwóch czarnych słupów. Czyż mógł zapomnieć, jak w słoneczne południe zabito człowieka o jednym oku? W pamięci utkwiła mu też scena, gdy topiono w morzu owiniętą w słomianą matę kobietę, która dała mu ogórka. Jakimż bluźnierstwem przeciw człowiekowi byłoby twierdzenie, że nie umarli za wiarę! Ferreira kłamie!

– Bóstwo, w które oni wierzyli, to nie jest Bóg chrześcijański. Japończycy aż do dziś – powiedział Ferreira, wyraźnie akcentując każde słowo, aby podkreślić, że jest pewien tego, co mówi. – Japończycy aż do dziś nie znali koncepcji Boga i chyba nigdy jej nie poznają.

Te słowa położyły się księdzu kamieniem na sercu. Miały tę samą wagę co inne, kiedyś w dzieciństwie, gdy mu po raz pierwszy powiedziano, że istnieje Bóg.

– Japończycy nie są w stanie wyobrazić sobie Boga będącego czymś całkowicie odmiennym od ludzi. Japończycy nie potrafią wyobrazić sobie bytu ponadludzkiego.

– Nauka Chrystusa i Kościół są prawdą niezaprzeczalną w każdym kraju i na każdej ziemi! Gdyby tak nie było, jakież sens miałyby nasze misje?

– Japończycy nazywają Bogiem wyidealizowanego i wyolbrzymionego człowieka. Nazywają Bogiem byt podobny do człowieka. Ale to nie jest Bóg Kościoła.

– Tyle zrozumiałeś przez dwadzieścia lat w tym kraju!?

– Tak, tyle – smutno skinął głową Ferreira. – I dlatego nawracanie straciło dla mnie sens. Zasadzonej przez nas roślinie, nie wiedzieć kiedy, zaczęły gnić korzenie w bagnie zwanym Japonią. Przez długi czas nie zauważyłem tego, nie wiedziałem, że tak jest.

Ostatnie słowa Ferreira pełne były bolesnej rezygnacji, w którą i ksiądz nie mógł

wątpić. Osłabł blask zachodzącego słońca, do kątów w sieni zaczęły się wkradać wieczorne cienie. Ksiądz usłyszał w oddali monotony dźwięk drewnianych kołatek i smutne głosy mnichów recytujących sutry.

– Nie jesteś już – szepnął ksiądz do Ferreiry – wielebny ojcem Ferreirą, którego znałem.

– To prawda, nie jestem Ferreirą. Jestem człowiekiem, który otrzymał od naczelnika nazwisko Chuan Sawano – odpowiedział Ferreira, patrząc w ziemię. – I nie tylko nazwisko. Razem z nazwiskiem otrzymałem też żonę i dzieci po skazańcu.

W godzinach świni, czyli między dziesiątą a dwunastą, wsadzono księdza do lektyki i ruszył w drogę powrotną, a wraz z nim urzędnik i strażnicy. O tak późnej porze ustał już ruch na ulicach i nie było obawy, że ktoś zajrzy do wnętrza lektyki. Urzędnik pozwolił księdzu podnieść zasłony. Gdyby spróbował uciec, może by mu się to udało, ale ksiądz nie miał już na to dość siły ducha. Droga była bardzo wąska i kręta. W dzielnicy, którą strażnik określił jako śródmieście, stały ciasno wiejskie chałupy kryte deskami, ale gdy opuścili tę dzielnicę, wokół były tylko lasy mieszane i gdzieś długie mury buddyjskich świątyń. Ksiądz miał okazję się przekonać, że Nagasaki to jeszcze nie jest prawdziwe miasto. Nad czarnymi wierzchołkami drzew wzeszedł księżyc i zdawał się wraz z lektyką posuwać na zachód. Miał przerażający kolor.

– Chyba trochę poprawił ci się nastrój? – powiedział miłym tonem urzędnik idący obok lektyki.

Gdy przybyli do więzienia, ksiądz pożegnał się grzecznie z tym urzędnikiem, ze strażnikami i wszedł do swojej izby. Usłyszał za sobą głuchy zgrzyt spuszczonej jak zwykle przez strażnika zasuw. Miał wrażenie, że wrócił tu po długiej nieobecności. Zdawało mu się, że dawno nie słyszał głosu leśnych ptaków.

Jeden dzisiejszy dzień był tak długi i męczący, że starczy za dziesięć spędzonych tu w więzieniu.

To, że w końcu mógł zobaczyć Ferreirę, samo przez się nie zrobiło na księdzu zbyt wielkiego wrażenia. Po przyjeździe do Japonii zaczął sobie wyobrazać, że

tamten zmienił się w takiego właśnie starca. Kiedy wymizerowany, ubrany w kimono Ferreira szedł ku nim korytarzem, kołysząc się lekko, ksiądz nie czuł ani zbyt dużego wzruszenia, ani zdziwienia. To wszystko teraz nie miało już dla niego znaczenia.

Ale ile jest prawdy w tym, co tamten mówił?

Ksiądz siedział prosto, twarzą do ściany, a jego chude plecy skąpane były w księżycowej poświacie, która wlewała się przez kraty w oknie. Ferreira powiedział to wszystko chyba po to, by usprawiedliwić swoją słabość i błędy. Z pewnością tak było – rozumował połową serca, a jednocześnie ogarniał go niepokój, czy tamte słowa nie były aby prawdziwe. Ferreira nazwał Japonię bagnem bez dna. Młodym pędem gniją w nim korzenie i rośliny umierają. Sadzonka chrześcijaństwa marniała w tym bagnie, a ludzie tego nie dostrzegali.

„To nie zakaz i prześladowania, jak się tobie wydaje, zniszczyły chrześcijaństwo. W tym kraju jest coś, co powoduje, że chrześcijaństwo nigdy się tu nie przyjmie”.

Każde słowo Ferreira jak cierń kłuło uszy księdza. „Bóg, w którego wierzą w tym kraju, przestaje być sobą, traci ciało i krew, zachowuje tylko zewnętrzną formę, zupełnie jak martwy owad w pajęczynie” – tylko te słowa Ferreira mówił z płonącym wzrokiem. Z wyrazu jego twarzy ksiądz wyczuł, że mówi prawdę, że to nie samookłamywanie się kogoś, kto przegrał.

Na dziedzińcu słychać było ciche kroki strażnika, który skończył się załatwiać. Gdy ucichły, w ciemności słychać było tylko chrobot robaków.

Na pewno tak nie jest. Nie może tak być!

Ksiądz nie miał oczywiście żadnego doświadczenia w pracy misyjnej, które pozwoliłoby mu podważyć słowa Ferreira. Jeśli im jednak nie zaprzeczy, sprzeniewierzy się sobie, temu, co kazało mu przyjechać do Japonii. Bijąc głową o ścianę, powtarzał szeptem w kółko: Na pewno tak nie jest. Nie może tak być!

To niemożliwe, by człowiek w imię fałszywej wiary składał siebie w ofierze! A przecież widział tych chłopów na własne oczy. Ubodzy męczennicy. Gdyby nie wierzyli w zbawienie, jakże mogliby niby głazy pograć się w morzu, nad którym

siąpił deszcz?! To byli pod każdym względem silni ludzie, ludzie silnej wiary. Chociaż ta ich wiara była taka prosta, to Kościół ją nimi natchnął. Nie japońscy urzędnicy ani buddyzm.

Ksiądz przypomniał sobie, że Ferreira był smutny podczas ich rozmowy. Nie nawiązał on ani słowem do ubogich japońskich męczenników. Chyba świadomie unikał tego tematu. Starał się zignorować tych, którzy byli, w przeciwieństwie do niego, silni, potrafili wytrzymać tortury, nawet wiszenie głową w dół. Ferreira pragnie zapewne, żeby znalazł się ktoś tak samo słaby jak on, by miał z kim dzielić samotność i słabość.

Ksiądz zastanawiał się w ciemności, czy Ferreira śpi w tę noc. Nie, pewnie nie śpi. Pewnie teraz ten starzec, gdzieś w tym samym mieście co on, z oczyma wpatrzonymi w mrok, rozpamiętuje głębię swej samotności. Wieje od niej jeszcze większym chłodem, jest straszniejsza niż samotność, której on doświadcza tu, w więzieniu. Ferreira nie tylko zdradził samego siebie. On do własnej słabości i tchórzostwa próbuje dodać nowe tchórzostwo i słabość, namawiając innych do zdrady. Panie, Ty nie zbawisz Ferreiry? Powiedziałaś Judaszowi: „Co chcesz czynić, czyń prędzej”. Czy i tego człowieka włączasz w grono odtrąconych, Panie?

Gdy tak porównywał samotność Ferreiry i swoją, po raz pierwszy odzyskał szacunek dla samego siebie i mógł się uśmiechnąć, zadowolony. Potem wyciągnął się na twardych deskach i leżąc bez ruchu, czekał, aż przyjdzie sen.

[30] Hymn *Witaj Gwiazdo Morza*. Cytuję za <http://sanctus.pl>, dostęp 12.03.2010.

[31] Ewangelia wg św. Łukasza 22, 44.

[32] Księga Psalmów 108, 1–4.

[33] Księga Powtórzonego Prawa 6, 5.

沈黙

VIII

Nazajutrz tłumacz odwiedził go znowu i spytał:

– No jak? Namysliłeś się?

Tym razem nie mówił jak zawsze tonem kota bawiącego się swoją zdobyczą, lecz ze stanowczym wyrazem twarzy.

– Skończ lepiej, jak ci mówił Sawano, z niepotrzebnym uporem! Nie każemy ci wyrzec się wiary z przekonaniem. Chcemy, żebyś publicznie oświadczył, że się wyrzekasz. Potem możesz sobie robić, co chcesz.

Ksiądz milczał uparcie ze wzrokiem utkwionym w jednym punkcie na ścianie. Gadanina tłumacza nawet nie sprawiała mu przykrości, puszczał ją mimo uszu jak słowa pozbawione sensu.

– No, nie rób mi więcej kłopotów. Radzę ze szczerego serca. Mnie też jest ciężko.

– Dlaczego nie wieszacie mnie w jamie?

– Dostojny naczelnik zawsze powtarza: Tak długo, jak się da, przekonuj za pomocą argumentów.

Ksiądz, z rękoma złożonymi na kolanach, jak dziecko pokręcił głową. Tłumacz westchnął głęboko i długo nic nie mówił. Wokół nich, bzykając, krążyła mucha.

– No cóż... trudno.

Do uszu siedzącego nieruchomo księdza dobiegł głuchy zgrzyt zasuw. Ten tępy dźwięk uświadomił mu jasno, że z tą chwilą skończyły się wszelkie dyskusje.

Nie wiedział, do jakiego stopnia potrafi znieść męki. Jednak nie miał poczucia, że tortury, których tak się bał wtedy, gdy osłabiony na duchu i ciele błędził po

górach, naprawdę przyjdą. Wszystko mu już jedno, jest zmęczony. Wydaje mu się nawet, że jedyną drogą ucieczki od ciągłego męczącego napięcia mogłaby być śmierć, gdyby nadeszła w najbliższych dniach. Nie ma już ochoty ani żyć, ani dręczyć się religią i Bogiem. Pragnął skrycie, aby to jego psychiczne i fizyczne wyczerpanie przyniosło mu jak najszybciej śmierć. Pod powiekami pojawił mu się na chwilę obraz czarnej głowy tonącego Garrpego. Pozazdrościł współbratu. Szczęśliwy Garrpe, wyzwolony już od cierpienia!

Tak jak się spodziewał, nazajutrz nie dostał śniadania. Koło południa odsunięto zasuwę.

– Wyłaź!

Wielkie, nagie do pasa chłopisko wsunęło brodę do celi księdza.

Gdy ten wyszedł, tamten związał mu zaraz ręce z tyłu. Przy najmniejszym ruchu sznur wpijał się tak mocno w przeguby, że z zaciśniętych ust kapłana bezwiednie wyrwał się okrzyk. Wiążąc sznur, mężczyzna obrzucał księdza niezrozumiałymi dłońmi wyzwiskami. Ksiądz poczuł całym sobą, że oto nadszedł koniec wszystkiego, ale rzecz dziwna, była to czysta i świeża ekscytacja, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył.

Wyprowadzono go na dwór. Na zalanym słońcem dziedzińcu stało rzędem trzech urzędników, czterech strażników i jeszcze tamten tłumacz. Wszyscy patrzyli na niego. Ksiądz, zwracając się w ich kierunku, zwłaszcza w stronę tłumacza, uśmiechnął się triumfalnie. Gdy się uśmiechał, przyszło mu nagle do głowy, że człowiek, w jakiegokolwiek by się znalazł sytuacji, nie potrafi uwolnić się od próżności. Był bardzo zadowolony, że potrafi jeszcze zauważać takie rzeczy.

Olbrzym wziął księdza bez trudu na ręce i posadził na końskim grzbiecie. Zwierzę bardziej niż do konia podobne było do wynędzniałego, chudego osła. Ruszyło, chwiejąc się, a za nim pieszo urzędnicy, straż i tłumacz. Na drodze stały już gromady Japończyków, czekając na przejście konwoju. Ksiądz z wysokości końskiego grzbietu patrzył ku nim uśmiechnięty. Starzec rozdziawił ze zdziwienia usta. Dziecko jadło ogórka. Kobiety, patrząc na księdza, śmiały się głupawo, lecz gdy tylko napotykały jego wzrok, cofały się przestraszone. Na każdej z tych japońskich twarzy słońce tworzyło inne cienie. Koło uszu księdza przeleciała

brunatna grudka. Ktoś rzucił końskim łajnem.

Postanowił twardo, że uśmiech nie zniknie z jego warg. Oto jedzie teraz „na ośle” przez Nagasaki! Tamten Człowiek też wjechał do Jerozolimy na osiołku. To On księdza nauczył, że spośród ludzkich twarzy najwięcej dostojęstwa ma ta, która znosi szyderstwo i pogardę. Chce do samego końca zachować taką twarz. Twarz wiernego chrześcijanina wśród pogan.

W cieniu wielkiego kamforowca zebrała się grupa mnichów buddyjskich, którzy nie kryli swej wrogości. Gdy osioł księdza podjechał do nich, straszili zwierzę, wymachując kijami. Wśród szeregów ludzi po obu stronach drogi ksiądz wypatrywał chrześcijan, lecz na próżno, żaden wyraz twarzy na to nie wskazywał. Była w nich wrogość, nienawiść bądź ciekawość, nic więcej. Gdy więc wśród tego tłumu napotkał spojrzenie błagającego o litość jak pies, mimo woli się odwrócił. To był Kichijiro.

Stał w łachmanach w pierwszym szeregu i czekał na konwój. Gdy ich oczy się spotkały, spuścił wzrok i pośpiesznie schował się między ludźmi. Ale ksiądz na grzbiecie chwiejącego się konia wiedział już, że ten człowiek pójdzie za nim wszędzie. Jedyiny znajomy wśród tych obcych pogan!

Dobrze. Już dobrze. Już się nie gniewam. I Pan nasz też się chyba nie gniewa – kiwał głową do Kichijiro, tak jak pocieszał wiernych po spowiedzi.

Jak mówią kroniki, tego dnia konwój z księdzem przeszedł przez Hakata-machi, Katsuyama-machi i Goto-machi. Urząd Naczelnika Miasta ma zwyczaj na dzień przed egzekucją wystawiać misjonarza na widok publiczny, w tym celu oprowadza się go po Nagasaki. Wszystkie miejsca, przez które przechodził konwój, należały do nazywanej śródmieściem starej części miasta. Było w nich dużo domów mieszkalnych i tłumy ludzi. Zwykle nazajutrz po oprowadzeniu więźnia następowała egzekucja.

Goto-machi to była dzielnica, w której osiedlała się ludność z Goto, gdy za czasów Sumitady Omury otwarto pierwszy port w Nagasaki. Stąd można było objąć wzrokiem całą lśniąca w popołudniowym słońcu zatokę Nagasaki. Zanim konwój doszedł tutaj, z tyłu uzbierał się już tłum jak na festynie. Ludzie cisnęli się, bo każdy

chciał zobaczyć, jak dziwaczny barbarzyńca z Południa jedzie związany na koniu. Za każdym razem gdy ksiądz próbował się poruszyć, nasilał się drwiący śmiech.

Robił wysiłki, żeby się uśmiechnąć, ale twarz miał zbyt spiętą. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to zamknąć oczy i starać się nie widzieć tych wyszczerzonych zębów, tych drwiących z niego twarzy. Czy tamten Człowiek wciąż się łagodnie uśmiechał, słysząc wrzaski tłumu otaczającego siedzibę Piłata? Chyba nawet On tego nie potrafił. *Hoc passionis tempore* – w ten czas męki – słowa modlitwy jak kamyki wypadły z ust księdza, ale przez chwilę nie było dalszego ciągu. *Reisque del crimina*^[34] – przebacz winy grzesznikom – z trudem wyszeptał ciąg dalszy. Przywykł do bólu, jaki sprawiał mu sznur, przy każdym ruchu wpijający się w przeguby, ale cierpiał z powodu tego, że nie potrafił, jak Tamten, miłować wrzeszczących nań tłumów.

– No co, *padre*? Nikt ci nie przychodzi na ratunek? – zawołał, spoglądając ku niemu tłumacz, który od jakiegoś czasu siedł przy koniu. – Na prawo i lewo tylko głośnie drwiny z ciebie! Podobno to dla nich przybyłeś do tego kraju, ale żaden cię nie potrzebuje. Człowiek bezużyteczny – oto kim jesteś.

– Być może są wśród nich i tacy, co się modlą po cichu – po raz pierwszy odezwał się głośno ksiądz siedzący na końskim grzbiecie, patrząc surowo na tłumacza nabiegłymi krwią oczyma.

– Teraz mówisz takie rzeczy!?! Posłuchaj, w tym tu Nagasaki było kiedyś dwadzieścia tysięcy wiernych i jedenaście kościołów. Gdzie się pochowali? Wśród tych ludzi są pewnie dawni chrześcijanie, ale teraz wymyślając ci, pokazują wszystkim dokoła, że już nimi nie są.

– Im bardziej mnie upokarzacie, tym większej dodajecie mi odwagi!

– Dziś w nocy – tłumacz z uśmiechem poklepał dłonią konia po brzuchu – dziś w nocy wyprzesz się wiary. Dostojny Inoue tak powiedział. A dotychczas, kiedy dostojny Inoue zapowiadał, że któryś *padre* odstąpi, zawsze tak się działo, bez wyjątku. Tak było z Sawano, a teraz kolej na ciebie.

Tłumacz, bardzo pewny swego, zacisnął pięści i odszedł powoli. Tylko jego ostatnie słowa „tak było z Sawano” nadal dźwięczały w uszach księdza. Trzęsąc się

na końskim grzbiecie, odganiał je precz.

Po drugiej stronie błyszczącej w popołudniowym słońcu zatoki kłębiły się na niebie obrzeżone złotem chmury burzowe. Były nie wiedzieć czemu białe i ogromne jak powietrzne pałace. Ksiądz dotąd nieskończenie wiele razy widywał takie bałwany, ale nigdy nie patrzył na nie z takim uczuciem jak dziś. Po raz pierwszy dostrzegł, ile piękna jest w pieśni, którą śpiewali japońscy wierni:

Pójdźmy, ach, pójdźmy

Do świątyni bram!

Do rajskiej świątyni

Daleko tam.

Prawda, że i tamten Człowiek przeżywał trwogę, od której on sam teraz drży, była mu w tej godzinie jedyną podporą. Radość, że nie jest w tym osamotniony! Tamci dwaj japońscy chłopcy, przywiązani do słupa w morzu, znosząc przez cały dzień podobną mękę, śpiewali, że idą do niebios bram. Nagła radość, że jest związany z nimi i z Garrpem, a także z tamtym Człowiekiem na krzyżu, aż do bólu przeniknęła serce księdza. Oblicze Tamtego żywe jak nigdy wcześniej w tej chwili zbliżało się ku niemu. Chryste umęczony! Chryste cierpiący! – modlił się z całego serca, by jego własna twarz zbliżyła się naprawdę do tamtego oblicza.

Urzednicy batami przegonili część tłumu na boki. Rojący się jak muchy ludzie milczeli potulnie, odprowadzając niespokojnym wzrokiem konwój, który ruszył w drogę powrotną. Skończyło się popołudnie. Na lewo od stromej drogi lśnił w wieczornym blasku dach wielkiej czerwonej świątyni buddyjskiej. Widać było w całej okazałości góry znajdujące się tuż za miastem. Teraz też w powietrzu fruwały kamyki i łajno, trafiając księdza w policzki.

Tłumacz szedł przy koniu i chcąc przekonać księdza, powtarzał wielokrotnie:

– No, źle nie radzę. Powiedz tylko: „odstępuję”. Proszę. Ten koń nie wraca już do więzienia!

– Gdzie mnie wieziecie?

– Do Urzędu Naczelnika Miasta. Nie chcę cię męczyć. Wierz mi, dobrze radzę. Nie powiesz tego jednego słowa „odstępuję”?

Ksiądz zagryzł wargi i milczał. Krew spływała mu z policzków na brodę. Tłumacz szedł smutny z opuszczoną głową, dotykając ręką końskiego brzucha.

Gdy popchnięty w plecy ksiądz znalazł się w ciemnej komorze, uderzył go w nozdrza smród. Był to zapach moczu. Ponieważ cała podłoga była zalana moczem, czas pewien stał bez ruchu, walcząc z falą nudności. Wreszcie mógł w mroku dojrzeć, gdzie ściana, a gdzie podłoga, i dotykając ręką ściany, szedł, aż po chwili natknął się na drugą ścianę. Gdy rozciągnął ramiona, końcami palców dotykał jednocześnie obu bocznych ścian. W ten sposób poznał rozmiary tej kłitki.

Wyteżał słuch, ale żaden ludzki głos tu nie dochodził. Nie miał pojęcia, w jakiej części Urzędu Naczelnika Miasta się znajduje. Ale przypuszczalnie w pobliżu nie było nikogo, bo nie słyszał żadnego dźwięku. Gdy powiódł dłonią po drewnianej ścianie, wyczuł końcami palców coś jakby głębokie nacięcia. Najpierw wziął je za spojenia desek, ale nie, wyczuł, że mają jakiś kształt. Gładząc je dalej, rozpoznał z wolna literę „L”. Za nią było „A”. *LAUDATE EUM. CHWALCIE GO.* Ksiądz macał ręką dokoła, jak to czynią ślepi, ale poza tymi literami na nic więcej nie natknęły się już opuszki jego palców. Zapewne jakiś wtrącony tu misjonarz wyrył na ścianie ten łaciński napis dla tych, którzy przyjdą po nim. Pewną rzeczą jest, że ten misjonarz, gdy tu przebywał, wierzył gorąco i w żadnym razie nie wyrzekł się swej wiary. Ten fakt wzruszył do łez przebywającego samotnie w ciemnościach księdza. Poczuł, że Opatrzność czuwa nad nim do końca.

Wiedział, że jest noc, ale nie miał pojęcia, która może być godzina. Gdy po oprowadzeniu po mieście przywieziono go do Urzędu Naczelnika Miasta, tłumacz i nieznany mu urzędnik długo go wypytywali, powtarzając te same co dotąd pytania. Skąd przybył? Do jakiego zakonu należy? Ilu misjonarzy jest w Makao? Do porzucenia wiary już go jednak nie namawiali. Nawet tłumacz zachowywał się zupełnie inaczej niż przedtem, z zawodową obojętnością przekładał słowa urzędnika. Drugi urzędnik zapisywał je na wielkim papierze. Gdy to głupie przesłuchanie dobiegło końca, przyprowadzono go tutaj.

Z twarzą przy *LAUDATE EUM* na ścianie znowu odtwarzał w myśli obraz twarzy Tamtego. Od dawnych lat zwykł był w chwilach samotności wyobrażać ją sobie, tak

jak chłopiec w dalekiej podróży odtwarza w pamięci twarze rodziców. Ale odkąd go schwytano, a szczególnie nocami tam, w więzieniu, gdy słuchał szmeru liści w lesie, z powodu innego pragnienia, ta twarz utkwiała mu pod powiekami. Była tuż przy nim w ciemności i milcząc, spoglądała ku niemu czułym wzrokiem. Gdy cierpisz – zdawała się mówić – gdy cierpisz, ja też cierpię razem z tobą. I będę przy tobie aż do końca.

Ksiądz przypomniał sobie jednocześnie o Garrpem.

Już wkrótce znów będziemy razem.

Nocą widywał niekiedy w snach czarną głowę, jak goni za łodzią i ginie w morzu. Nie posiadał się wtedy ze wstydu, że porzucił wiernych. Czasem nie mógł już znieść tego wstydu, więc starał się nie myśleć o Garrpem.

Z oddali dobiegały głosy. Coś jakby warczenie dwóch gryzących się psów. Nastawił uszu, ale głosy ucichły. Po chwili jednak rozległy się znowu i słyszeć je było długo. Ksiądz mimo woli roześmiał się cicho, bo zorientował się, że to czyjeś chrapanie.

Straż więzienna wypła sake i śpi sobie w najlepsze.

Chrapanie urywało się co jakiś czas. Raz brzmiało wyżej, raz niżej, jakby ktoś źle grał na flecie. Nie wiedzieć czemu, wydało mu się niebywale idiotyczne, że w chwili, gdy jemu w ciemnościach ścisną się serce w obliczu śmierci, ktoś inny chrapie sobie w najlepsze. Skąd w człowieku taka przewrotność? – znowu roześmiał się cicho.

Tłumacz zapewniał mnie, że wyrzeknę się wiary tej nocy, ale gdyby wiedział, jaką swobodę czuję teraz w sercu...

Na tę myśl odsunął nieco głowę od ściany, a na jego twarzy znów pojawił się delikatny uśmiech. Zdawało mu się, że widzi twarze chrapiących beztrąsko strażników.

– Nawet im się nie przyśni, że mógłbym na przykład uciec wśród tego ich chrapania.

Nie miał teraz najmniejszego zamiaru uciekać i tylko żeby się rozerwać, pchnął oburącz drzwi, jednak były z zewnątrz mocno zamknięte na zasuwę i nawet nie

drgnęły.

Rozumem pojmował, że śmierć jest pewnie o krok, ale rzecz dziwna, nie towarzyszyło temu żadne uczucie.

Tak, śmierć była blisko. Gdy chrapanie ustało, księdza otoczyła złowroga cisza nocy. To nie była po prostu cisza, w której nie słychać najsłabszego nawet dźwięku. W tej ciszy mrok, niby wiatr szumiący niewyraźnie w gałęziach drzew, wsączył w serce księdza strach przed śmiercią. Kapłan zacisnął dłonie i krzyknął głośno: ach! Wtedy lęk cofnął się jak morze w czasie odpływu. Po chwili ogarnął go znowu. Ksiądz rozpaczliwie usiłował modlić się do Pana, ale w myślach pojawiała się co chwila zlna krwawym potem, wykrzywiona twarz tamtego Człowieka. Teraz fakt, że Tamten podobnie jak on bał się śmierci, już nie dodawał mu otuchy. Pocierając ręką czoło, począł dla odwrócenia uwagi krążyć po ciasnej klitce. Nie mógł ustać w miejscu.

Wreszcie z daleka usłyszał ludzkie głosy. Nawet jeśli to stróże więzienni, którzy go zaraz wezmą na męki, lepsze to niż ta zimna jak ostrze miecza ciemność. Pośpiesznie przyłożył ucho do otworu w drzwiach, aby coś usłyszeć.

Ktoś chyba komuś wymyślał. Z wyzwiskami mieszał się inny błagalny głos. Kłócili się, stojąc w oddali, po czym stopniowo zaczęli zbliżać się do księdza. Słuchając tych głosów, nie wiedzieć czemu, pomyślał nagle o czymś zupełnie innym. O tym, że człowiek boi się ciemności, bo pozostaje w nas jeszcze instynktowny strach ludzi pierwotnych, którzy nie mieli światła. Takie właśnie głupie myśli przychodziły mu do głowy.

– Nie mówiłem ci! Wynoś się, ale już! – nie ustawały wymyślenia. – Aleś się przyczepił!

A besztany wołał niemal z płaczem:

– Jestem chrześcijanin! Daj mi zobaczyć się z *padre*!

Pamiętał ten głos. To Kichijiro.

– Dość wrzasków! Chcesz oberwać?

– Bij! Bij!

Ich głosy splątały się jak tasiemki, dołączył się jeszcze ktoś trzeci.

– Co to za jeden?

– Jakiś przygłup. Przywlókł się żebrak wczoraj. Mówi, że chrześcijanin.

Po czym rozległo się nagle głośnie wołanie Kichijiro:

– Wielebny *padre*, wybaczcie mi! Od tamtego czasu idę za wami, żeby prosić o spowiedź! Dajcie mi rozgrzeszenie!

– Coś się do nas przyczepił, uparte to!

Rozległ się łomot, to strażnicy tłukli Kichijiro.

– *Padre*, wielebny *padre*, przebaczcie mi!

Ksiądz z zamkniętymi oczami wyrecytował formułkę stosowną dla sakramentu pokuty. Na końcu języka pozostała gorycz.

– Urodziłem się słaby. Tchórzliwi nie będą męczennikami. Co mam robić? Ach, czemu urodziłem się w takich czasach?

Głos rwał mu się jak na wietrze, później się oddalił. Pod powiekami ksiądz ujrzał nagle sylwetkę hołubionego przez wiernych Kichijiro z tych dni, kiedy pojechali razem na Goto. Gdyby to nie były czasy prześladowań, jako chrześcijanin przeżyłby lekko i radośnie całe swoje życie. „W takich czasach... w takich czasach...!” – Ksiądz zatykał palcami uszy, broniąc się przed tym głosem podobnym do skomlenia psa.

Wyszeptał przed chwilą słowa rozgrzeszenia dla Kichijiro, ale jego modlitwa nie płynęła z głębi serca. Odmówił ją z kapłańskiego obowiązku. Dlatego na końcu języka pozostał gorzki smak, jak osad po jedzeniu. Nie miał już żalu do Kichijiro, ale zapach suszonej ryby, którą go tamten nakarmił, nim go sprzedał, i palące pragnienie wryły mu się głęboko w pamięć. Nie czuł gniewu ani nienawiści, w żaden sposób jednak nie mógł wyzbyć się pogardy dla niego. Ksiądz na nowo rozpamiętywał pogardliwe słowa, które Chrystus skierował do Judasza.

Od dawna, ilekroć czytał Pismo Święte, potykał się na tych słowach, bo nie mógł się w swoim sercu z nimi zgodzić. Nie tylko nie rozumiał dobrze ich sensu, ale w ogóle roli Judasza w życiu tamtego Człowieka. Dlaczego włączył do grona swoich uczniów kogoś, kto miał Go zdradzić? Dlaczego, znając prawdziwe zamiary Judasza, udawał tak długo, że nic nie wie? Czy wobec tego Judasz nie był marionetką, która

miała spowodować posłanie Go na krzyż?

Poza tym... poza tym, jeśli jest On samą miłością, czemu odepchnął na koniec Judasza? Czemu zostawił Judasza, który wieszając się na Polu Krwi, na wieki pogrzył się w mroku?

Te wątpliwości, jak brudna piana na powierzchnię bagna, wypływały na wierzch jego świadomości już w czasach seminaryjnych i potem, gdy został kapłanem, również. Starał się wtedy nie myśleć o tym, by ta piana nie kładła się cieniem na jego wierze. Teraz jednak te wątpliwości pojawiły się z taką mocą, że nie był w stanie ich odeprzeć.

Ksiądz potrząsnął głową i westchnął. Nadejdzie kiedyś dzień Sądu Ostatecznego. Człowiek nie może pojąć wszystkich tajemnic zapisanych w Piśmie Świętym. Ale ksiądz bardzo chciałby je poznać. Chciał pojąć wszystko do końca.

„Dziś w nocy wyprzesz się wiary” – powiedział pewny siebie tłumacz. Zupełnie jak tamten Człowiek do Piotra: „Nim kogut zapieje, trzy razy się Mnie wyprzesz”^[35]. Do świtu jeszcze daleko, nie pora na pianie kogutów.

Och, znów zaczęli chrapać! Zupełnie jakby wiatrak obracał się na wietrze! Ksiądz usiadł na mokrej od moczu podłodze i śmiał się jak głupi. Jakże dziwną istotą jest człowiek! Rozlegało się idiotyczne chrapanie, raz przybierało wyższe, raz niższe tony. Ci, co nie wiedzą, nie boją się śmierci. Mogą sobie smacznie spać jak wieprzki, rozdziawiać gęby i chrapać. Jakby widział twarze śpiących strażników. Czerwone z przepicia, zdrowe, tłuste gęby, tylko dla ofiar okrutne. Okrucieństwo strażników to nie jest okrucieństwo szlachetnie urodzonych, tylko takie, jakie człowiek przejawia względem bydła czy zwierząt w ogóle. Ksiądz dobrze poznał je w portugalskich wioskach. Ci strażnicy pewnie też ani razu nie pomyśleli, że tym, co robią, sprawiają bliźniemu wielki ból. Tacy sami ludzie zamordowali tamtego Człowieka, kryształ, który był uosobieniem ideałów z ludzkich marzeń: wszystkiego, co najpiękniejsze i najlepsze.

Denerwowały go te prostackie, nieprzyjemne dla ucha odgłosy mącące spokój tej najważniejszej w jego życiu nocy. Miał nawet wrażenie, że ktoś się z niego natrzasa, więc przestał się śmiać i zaczął walić pięściami w ścianę. Strażnicy nie obudzili się,

tak samo jak uczniowie, którzy posnęli w Getsemani, obojętni wobec męki tamtego Człowieka. Ksiądz znów gwałtownie zaczął tłuc w ścianę.

Rozległ się zgrzyt odsuwanej zasuw, z daleka ktoś nadchodził szybkimi krokami.

– Co się stało? Co się stało, *padre*?

To był tłumacz. Swoim zwykłym tonem kota igrającego z ofiarą powiedział:

– Aaa, strach obleciał! Nie ma się co dłużej upierać. Wystarczy powiedzieć: „wyrzekam się”, a wszystko będzie dobrze. Rozluźnisz się psychicznie, odetchniesz, poczujesz wielką... wielką... wielką ulgę.

– Ja tylko... tego chrapania... – odpowiedział ksiądz z ciemności.

Tłumacz zamilkł nagle, jakby zaskoczony.

– Tego chrapania...? Słyszał pan, panie Sawano? *Padre* nazywa to chrapaniem!

Ksiądz nie wiedział, że za tłumaczem stoi Ferreira.

– Może mu pan wyjaśni, panie Sawano?

Rozległ się w końcu cichy i smutny głos Ferreiry, ten głos, który dawniej ksiądz słyszał codziennie.

– To nie chrapanie. To jęk wiernych powieszonych w jamie.

Jak stare zwierzę Ferreira stał bez ruchu, ze zwieszoną głową. Tłumacz przykładał ucho do drzwi, które sam mocno zamknął na zasuwę, i długo nasłuchiwał, co się dzieje w środku. A gdy zorientował się, że i tak niczego nie usłyszy, choćby stał tak bez końca, odezwał się niespokojnym, zachrypniętym głosem:

– Przecież chyba nie umarł – cmoknął. – Ależ nie, nie! Chrześcijanin nie ma prawa odebrać sobie życia, które mu dał jego *Deus*. Panie Sawano, pańska kolej.

Odwrócił się i tupiąc głośno, zniknął w ciemności. Odgłos jego kroków ucichł zupełnie, ale Ferreira nadal stał skulony bez ruchu i milczał. Ksiądz wyobrażał sobie Ferreirę jako zjawę. Wydawało mu się, że jest cienki jak papier, drobny jak dziecko. Że mógłby zmieścić go w dłoni.

– Słyszysz? – Ferreira przykłada usta do otworu w drzwiach – słyszysz?

Nie ma odpowiedzi, więc Ferreira raz jeszcze powtarza to samo słowo.

– Gdzieś tam na ścianie powinny być wyryte przeze mnie słowa *LAUDATE EUM!* Jeśli się nie zatarły, to są po prawej stronie, gdzieś tak pośrodku. Może wymacasz palcami?

Ale z wnętrza nie było żadnej odpowiedzi. Klitka, w której zamknięto księdza, zdawała się wypełniona nieprzeniknionym mrokiem.

– Byłem tu zamknięty tak samo jak ty – mówił Ferreira, oddzielając słowa. – Byłem tu zamknięty tak samo jak ty! Tamta noc była ciemna i zimna jak żadna inna.

Ksiądz przyciskał silnie głowę do ściany i słuchał w zamyśleniu wyznań starca. Nie musiał mu wcale mówić, jak ciemna była ta noc, wiedział to aż nazbyt dobrze. Tym bardziej musiał uważać, bo nie wolno mu było ulec kuszeniu Ferreira, który usiłował w nim obudzić poczucie wspólnoty, podkreślając to, że był zamknięty w takich samych jak on ciemnościach.

– Ja też słyszałem tamte głosy. Jęk wiernych poddanych torturze jamy.

Ledwo wymówił te słowa, niby chrapanie, raz niskie, raz znów wysokie, dotarło do ich uszu. Nie, to już nie było chrapanie. Ksiądz wiedział już teraz jasno, że to jęki i urywane oddechy tych, którzy u kresu sił wiszą głową w dół w jamie.

Podczas gdy on siedział tu w kucki pośród ciemności, ktoś inny jęczał, brocząc krwią z nosa i ust. On się tego nawet nie domyślał, nie modlił się. On się śmiał! Na myśl o tym poczuł w głowie zamęt. On uważał tamte głosy za śmieszne. Śmiał się z nich na głos! Wierzył w swojej pysze, że on jeden cierpi tej nocy, tak jak cierpiał tamten Człowiek. A tymczasem tuż obok byli ludzie, którzy dla Niego znosili o ileż większe katusze!

Jak można takie głupie rzeczy... – szeptał mu w głowie obcy głos. – Czy mimo to jesteś kapłanem!? Czy bierzesz na siebie cierpienia innych?

Chciał krzyknąć: O Panie, dlaczego nawet w takiej chwili naigrawasze się ze mnie?

Ferreira powtórzył:

– *LAUDATE EUM.* Wyryłem ten napis na ścianie! Nie znalazłeś go? Poszukaj!

– Znalazłem! – krzyknął wreszcie ksiądz uniesiony gniewem. – Ale ty milcz! Nie masz prawa wymawiać tych słów!

– Nie mam prawa. Tak, z pewnością nie mam prawa. Słuchając całą noc tamtych głosów, nie mogłem już dłużej chwalić Pana. Jeśli zaparłem się wiary, to nie dlatego, że mnie powieszono w jamie. Ja przez trzy dni... wisiałem głową w dół w jamie pełnej nieczystości, a jednak nie sprzeniewierzyłem się Bogu ani jednym słowem! – Ferreira niemal ryczał. – Dlaczego wyparłem się wiary? Chcesz wiedzieć? To posłuchaj! Dlatego, że kiedy później umieszczono mnie tutaj, słyszałem te jęki, a Bóg niczego nie uczynił. Dlatego, że Bóg niczego nie uczynił, chociaż modliłem się do Niego z całych sił!

– Milcz!

– Lecz ty możesz się modlić. Tamci wierni cierpią teraz trudne do zniesienia katusze, o których ty nie masz pojęcia. Cierpieli wczoraj. Cierpieli przed chwilą. I właśnie teraz, w tym momencie też. Dlaczego muszą aż tak cierpieć? A ty nie możesz nic dla nich zrobić. Bóg też nic dla nich nie uczyni, prawda?

Ksiądz kręcił głową jak szalony i zatykał palcami uszy. Jednak głos Ferreira i jęki torturowanych wiernych docierały do niego nieubłaganie. Przestań! Przestań! Panie, teraz musisz przerwać milczenie, zburzyć tę ciszę! Nie możesz dłużej milczeć! Musisz dać świadectwo, że jesteś sprawiedliwością, dobrocią i miłością. Musisz przemówić, by pokazać światu i ludziom, że twoje istnienie jest niepodważalnym faktem.

Na serce księdza padł wielki cień, jakby skrzydło ptaka, co musnęło w locie maszt okrętu. Ten cień wywołał kilka wspomnień o wiernych, o ich bolesnym konaniu, podczas którego Bóg milczał. Milczał, gdy nad morzem mżył drobny deszcz. Nie powiedział ani słowa, gdy zabijano człowieka o jednym oku na dziedzińcu oświetlonym prostopadle padającymi z góry promieniami słońca. Wtedy ksiądz był jeszcze w stanie to wytrzymać! Może nie wytrzymać, ale nie patrzeć na to wprost, odpychając daleko od siebie przerażające wątpliwości, jakie się w nim budziły. Ale to się zmieniło. Teraz, słysząc te jęki, oskarża: Dlaczego ciągle milczysz, Panie?

– Tu na dziedzińcu – smutno szepnął Ferreira – wisi teraz trzech nieszczęsnych wieśniaków. Powieszono ich wszystkich po twoim przyjsciu tutaj.

Starzec nie kłamał. Gdy się nastawiło uszu, w tym jednym, zdawałoby się, jęku,

można było dosłyszeć różne głosy. Mieszały się ze sobą płynące z kilku stron niskie i wysokie tony.

– W noc, kiedy mnie tu umieszczono, wisiało pięciu. Pięć głosów pośród szumu wiatru dochodziło do moich uszu. Urzędnik powiedział: „Jeśli wyrzekniesz się wiary, tamtych natychmiast wyjmą z jamy, przetną więzy, podadzą lekarstwa”. Odpowiedziałem: „Dlaczego tamci nie wyrzekają się wiary?”. Urzędnik, śmiejąc się, objaśnił: „Oni już kilka razy się wyrzekli, ale dopóki ty tego nie zrobisz, nie mogę uratować tamtych chłopów”.

– Trzeba było się modlić! – powiedział ksiądz, niemal płacząc.

– Przecież się modliłem! Modliłem się cały czas! Ale modlitwa nie ulży męce tamtych! Z tyłu, za uszami mają zrobione małe dziurki. Sączy się z nich krew, podobnie jak z nosa i z ust. Wiem, jak cierpią, bo doświadczyłem tego na własnym ciele. Modlitwa nie zmniejszy ich bólu.

Ksiądz pamiętał. Pamiętał wyraźnie blizny jak po oparzeniu za uszami Ferreiry. Widział je, kiedy go spotkał po raz pierwszy w świątyni Saishoji. Miał teraz pod powiekami nawet ich brązową barwę. Walił bez przerwy głową o ścianę, żeby odpędzić ten obraz.

– Ci ludzie w zamian za cierpienie na ziemi otrzymają radość wiekiustą.

– Nie oszukuj się! – spokojnie odrzekł Ferreira. – Nie masz prawa tuszować własnej słabości takimi pięknymi słowami.

– Mojej słabości? – ksiądz potrząsnął głową, ale bez przekonania. – O nie! Mówię tak, bo wierzę w zbawienie tych ludzi!

– Ty chyba bardziej przejmujesz się sobą niż nimi. A w każdym razie bardziej dbasz o własne zbawienie! Jeśli powiesz, że wyrzekasz się wiary, tych ludzi wyciągną z jamy, uwolnią od męki. Ale ty nie chcesz tego zrobić! Bo ty się boisz zdradzić dla nich Kościół! Boisz się zostać, jak ja, plamą na jego honorze! – Ferreira wyrzucił to z siebie jednym tchem, jakby uniesiony gniewem, stopniowo jednak jego głos osłabł. – Ze mną było tak samo. W tamtą czarną zimną noc zachowywałem się tak jak ty teraz. Ale czy tak się czyni miłość? Kapłani mają żyć, naśladować Chrystusa. Gdyby Chrystus był tutaj... – Ferreira urwał na chwilę, ale zaraz

powiedział wyraźnie i z całą mocą: – Chrystus z pewnością wyrzekłby się dla nich wiary.

Zaczynało się rozwidniać. W klitce, którą wypełniała dotąd bryła ciemności, zaczęło powoli przebłyskiwać jasne światło.

– Chrystus dla ludzi z pewnością wyrzekłby się wiary.

– Nie! Nie! – ksiądz ukrył twarz w dłoniach, spod których wydobywał się teraz zduszony głos. – Nie zrobiliby tego.

– Chrystus wyrzekłby się wiary. Z miłości. Poświęciłby siebie całego.

– Nie dręcz mnie już dłużej! Odejdź daleko stąd!

Ksiądz płakał głośno. Zasuwa odsunęła się z tępym zgrzytem, drzwi się otworzyły i do celi wpadły poranne promienie słońca.

– A zatem – Ferreira dotknął lekko dłonią ramienia księdza. – Spełnisz najtrudniejszy uczynek miłości, jakiego dotąd nie spełnił nikt.

Ksiądz zataczał się, powłócząc nogami. Powoli, krok za krokiem, jakby u nóg miał ciężkie kajdany z ołowiu, szedł popychany w plecy przez Ferreirę. Przed nim ciągnął się w nieskończoność prosty korytarz oświetlony słabym porannym blaskiem. Na jego końcu stali dwaj urzędnicy i tłumacz, wyglądali jak trzy marionetki.

– No jak, panie Sawano? Skończone? Możemy przygotować obraz do podeptania? Dostojnego naczelnika chyba zawiadomimy później?

Tłumacz postawił na podłodze pudło, które trzymał mocno w obu rękach, zdjął pokrywkę i wyjął ze środka dużą deskę.

– Spełnisz największy uczynek miłości, jakiego nie spełnił dotąd nikt – Ferreira szepnął księdzu do ucha podobne jak przed chwilą słowa. – Duchowni naszego Kościoła osądzą cię, tak jak mnie osądzili, i tak samo się ciebie wyrzekną. Ale jest coś większego niż Kościół, większego niż misje. To, co teraz zrobisz...

Święty wizerunek leżał u jego stóp. W przybrudzoną szarą deskę, ze słojami drzewnymi rozchodzącymi się jak małe fale, oprawiony był niewyszukany medalion z miedzi. Na nim brzydka twarz Chrystusa w cierniowej koronie, z rozkrzyżowanymi cienkimi ramionami. Oczyma nabiegłymi żółcią ksiądz patrzył

w milczeniu w dół, na twarz tamtego Człowieka. Widział ją po raz pierwszy, odkąd przybył do Japonii.

– No, śmiało! – powiedział Ferreira. – Odwagi!

Panie, przez długi, długi czas myślałem o Twej twarzy nieskończenie wiele razy. Zwłaszcza odkąd przybyłem tu, do Japonii, robiłem to dziesiątki razy. Gdy ukrywałem się w lesie w Tomogi, gdy przepływałem małą łódką morze, gdy błąkałem się po górach i nocami w więzieniu. Modląc się, zawsze wyobrażałem sobie Twoją rozmodloną twarz. Gdy czułem się osamotniony, wspominałem Twoją błogosławiącą twarz. W dniu, gdy mnie schwytano, widziałem wyraźnie Twoją twarz w chwili, gdy niosłeś na ramionach krzyż. Ta twarz głęboko wryła się w moje serce, stała się dla mnie najpiękniejsza i najdroższa na świecie. A teraz mam ją podeptać.

Świtało. Białe światło padało na odkrytą, cienką jak u kurczaka szyję księdza, na jego ramiona i wystające obojczyki. Ksiądz obiema rękami podniósł medalion i przybliżył go do siebie. Chciał przycisnąć twarz do tamtej, podeptanej przez tyle nóg, twarzy. Była starta i wklęsła od deptania, patrzyły z Niej na księdza smutne oczy. Wydawało się, że zaraz popłyną z nich łzy.

– Ach! – zadrżał ksiądz. – To boli!

– Chodzi tylko o formę. A skoro to tylko forma, to czym tu się przejmować!? – niecierpliwiał się podniecony tłumacz. – Wystarczy, że formalnie podepczesz!

Ksiądz podniósł nogę. Poczuł w niej tępy, silny ból. Dla niego to nie była tylko forma. Miał zaraz podeptać coś, co przez całe swoje życie uważał za najpiękniejsze, w czego świętość wierzył. Coś, co było najdoskonalszym przejawem ludzkich snów i ideałów. Ten ból w nodze! I wtedy tamten Człowiek z miedziorytu powiedział do księdza: „Możesz deptać. Ja znam najlepiej ból twojej nogi. Możesz deptać. Narodziłem się na tym świecie po to, bym był przez was podeptany, i wziąłem krzyż na ramiona, aby dzielić wasz ból”.

Kiedy ksiądz postawił nogę na medalionie, nadszedł poranek. W oddali zapał kogut.

[34] Patrz przypis nr 20.

[35] Ewangelia wg św. Mateusza 26, 75.

沈黙

IX

Tego lata deszczu było mało.

W bezwietrzne wieczory w całym Nagasaki jest jak w łaźni parowej. O zachodzie słońca promienie odbite od wód zatoki powodują nieznośną duchotę. Błyszczą koła ciągniętych przez woły wozów, które pełne worków wjeżdżają z gościńca do miasta, wiruje biały pył. O tej porze czuć wszędzie zapach krowiego łajna.

W środkowej dekadzie miesiąca u okapów domów zawisły lampiony. W wielkich rezydencjach kupieckich oprócz nich powieszono także czworokątne lampy z wymalowanymi kwiatami, ptakami i owadami. Chociaż wieczór jeszcze nie nadszedł, niecierpliwe dzieci, ustawiając się rzędem, śpiewały:

Lampiony, lampiony,
co rok nam świecą.
Kto rzuci kamieniem,
ręce mu odlecą.
Lampiony, lampiony,
co rok nam świecą,
Kto rzuci kamieniem,
ręce mu odlecą.

Oparty o okno nucił tę pieśń. Słów śpiewanych przez dzieci nie rozumiał, ale słyszał smutną melodię. Nie był pewien, czy smutek pochodzi z pieśni, czy to nastrój jego serca, które słucha śpiewu. W domu po drugiej stronie ulicy kobieta z długimi rozpuszczonymi włosami przygotowywała na wysłanej trzciniową matą półce ofiarę

z brzoskwiń, daktyli chińskich *natsume* i fasoli. To się nazywa *shoryodana* – ołtarzyk przodków. Składanie na nim w noc 15 lipca darów dla powracających tego dnia duchów przodków jest starym obrzędem japońskim. Dziś księdzu już nie wydawał on się dziwny. Przypomniało mu się, że w słowniku japońsko-portugalskim, który dostał od Ferreiry, nazwa tego święta *Bon-matsuri* została przetłumaczona jako *Het-sterffest*.

Stojące w szeregu rozbawione dzieci zobaczyły go za kratą okna i zaczęły wykrzykiwać:

– Upadły Paweł! Paweł odstępca!

Niektóre rzucały kamykami do środka.

– Wy łobuzy! – zgromiła je kobieta z rozpuszczonymi włosami, więc dzieci pouciekały. Patrzył za nimi, uśmiechając się smutno.

Nagle przypomniał się księdzu Dzień Zaduszny. To święto to takie chrześcijańskie *Bon-matsuri*. Zapalanie świec w oknach każdego lizbońskiego domu wraz z nadejściem wieczoru też bardzo przypomina tutejszy zwyczaj.

Jego dom znajdował się na Sotoura-machi. Była to jedna z licznych w Nagasaki wąskich uliczek na zboczu wzgórza, a stojące po obu jej stronach rzędy domów wyglądały, jakby jeden stał na drugim. Ponieważ na jej tyłach znajdowała się uliczka zwana Bednarską, gdzie mieszkali bednarze, cały dzień rozlegał się tam głuchy stuk drewnianych młotów. Naprzeciwko zaś była ulica farbiarzy, gdzie w pogodne dni powiewały jak sztandary na wietrze płótna koloru indygo. Wszystkie domy miały dachy z drewnianych desek lub strzechy z trzciny i prawie nie było tu wielkich kupieckich rezydencji krytych dachówką, jak przy eleganckich ulicach w okolicy Maruyamy.

Urząd Naczelnika Miasta zabraniał mu swobodnie, bez zezwolenia, wychodzić z domu. Jedyłą więc jego pociechą w wolnych chwilach było oprzeć się o okno i patrzeć na przechodzących ulicą ludzi. Rankiem przechodziły tędy kobiety z koszami jarzyn na głowach. W południe mężczyźni w samych tylko przepaskach na biodrach, z głośnym śpiewem prowadzili wychudłe juczne konie. Wieczorem zaś mnisi buddyjscy, dzwoniąc dzwoneczkami, schodzili ze wzgórza. Chłonał te widoki,

zupełnie jakby miał o nich kiedyś opowiedzieć komuś w ojczyźnie. A gdy sobie nagle uświadamiał, że już nigdy do tej ojczyzny nie wróci, uśmiech bolesnej rezygnacji wypływał z wolna na jego wychudłą twarz.

W takich chwilach rozpacz wypełniała mu serce. Co ma robić? Nie był pewien, czy misjonarze w Makao i w Goa wiedzą już o jego odstępczynie. Jednak zapewne wieść o tym, co zaszło, dotarła już do Makao za pośrednictwem kupców holenderskich, którym zezwolono zatrzymywać się w Nagasaki na wyspie Deshima. Pewnie jest już usunięty ze zgromadzenia misjonarzy.

I nie tylko usunięty. Pozbawiono go zapewne wszelkich praw kapłańskich, a duchowni uważają go za czarną owcę przynoszącą im wstyd. Ale dlaczego tak się stało? I co to właściwie znaczy? Nie oni jednak będą mnie sądzić, tylko sam Bóg – zagryzając mocno wargi, kręcił głową.

Ale nocą te myśli budziły go nagle ze snu i ostrymi pazurami szarpały mu duszę na strzępy. Mimo woli zrywał się z głośnym jękiem z posłania. Widział w wyobraźni sąd Kościoła nad sobą: wyglądał zupełnie jak Sąd Ostateczny z Apokalipsy.

Co wy możecie wiedzieć!?

Wy, zwierzchnicy misji w Makao, mieszkający w Europie! Do nich kierował ksiądz w ciemności swoją mowę obronną. Wy prowadzicie misje, żyjąc wygodnie w miejscu zacisznym i bezpiecznym, dokąd nie dociera z dzikim rykiem burza ucisku i tortur. Budzicie szacunek jako wspaniali duchowni, bo jesteście na tamym brzegu. Jak wodzowie, co się grzeją przy ogniu w swej kwaterze, wysyłając żołnierzy na zaciekły bój. Tylko jak tacy wodzowie mogliby potępić żołnierza, który popadł w niewolę!?

Co ja robię!? Przecież to jest usprawiedliwianie się! Próbuje sam siebie oszukać – pokręcił ksiądz słabo głową. – Po co miałbym teraz wygłaszać ponizającą mowę obronną?

Powiedziałem, że odstępuję od wiary. Upadłem. Ale, Panie, Ty jeden wiesz, że nie wyrzekłem się wiary naprawdę! Kapłani mogą mnie przesłuchiwać. Dlaczego odstąpiłeś? Czy dlatego, że bałeś się „tortury jamy”? Tak, dlatego. Czy dlatego, że

nie mogłeś znieść jęków torturowanych w jamie chłopów? Tak, dlatego. Czy dlatego, że sądziłeś, tak jak cię mamił Ferreira, że jeśli się wyrzekniesz wiary, ci nieszczęśnicy zostaną ocaleni? Tak, dlatego. Tylko czy przypadkiem ten uczynek miłości nie był usprawiedliwieniem własnej słabości?

Przyznaję się do wszystkiego. Nie będę już dłużej ukrywał całej mojej słabości. Czymże ja się w ogóle różnię od takiego Kichijiro? Wiem, że mój Pan jest inny niż Bóg, o którym nauczają kapłani w Kościele.

Pamiętał podeptany wizerunek, miał ten obraz wypalony pod powiekami. Kawałek deski, którą tłumacz położył u jego stóp. Osadzona w niej miedziana płytką, a na niej twarz tamtego Człowieka wygrawerowana według wzoru przez japońskiego rzemieślnika.

Była zupełnie inna od twarzy Chrystusa, jakie oglądał setki razy w Portugalii i w Rzymie, w Goa i w Makao. To nie była twarz Chrystusa pełnego dumy i majestatu. To nie była twarz piękna w swym cierpieniu. Nie było w niej silnej woli zdolnej odeprzeć wszelkie pokusy. Twarz tamtego Człowieka u jego stóp była wychudła i bezgranicznie zmęczona.

Na desce, w której osadzony był medalion, pozostały czarne ślady wielkich palców, bo wiele stóp japońskich już po niej deptało. A starta, wklęśła twarz patrzyła na księdza bolesnym wzrokiem. Oczy zdawały się mówić: „Możesz deptać. Możesz deptać. Po to jestem, byście po mnie deptali”.

Nad księdzem sprawowali stały nadzór tak zwany *otona* – przedstawiciel starszyny miejskiej i naczelnik dzielnicy. Raz na miesiąc przedstawiciel starszyny w oficjalnym stroju prowadził go do Urzędu Naczelnika Miasta.

Od czasu do czasu za jego pośrednictwem ksiądz dodatkowo był wzywany do urzędu. W jednym z pomieszczeń pokazywano mu przedmioty, których urzędnicy nie potrafili zidentyfikować. Jego zadaniem było wyjaśnić, czy są one, czy nie są związane z chrześcijaństwem. Wśród towarów, jakie Chińczycy przywozili z Makao, były różne dziwne przedmioty, i tylko któryś z nich dwóch, Ferreira lub on, mógł natychmiast ocenić, czy te rzeczy mają związek z zakazaną religią. Po skończonej pracy dostawał z urzędu wynagrodzenie w postaci pieniędzy i słodyczy.

Za każdym razem, gdy przychodził do Urzędu Naczelnika Miasta w Motohakatacho, tłumacz i urzędnicy witali go uprzejmie. Nie zdarzyło się ani razu, żeby go upokorzyli lub potraktowali jak przestępcę. Tłumacz udawał, że zupełnie nie pamięta jego przeszłości. Ksiądz też uśmiechał się jakby nigdy nic. Ale wspomnienia, których obaj starali się unikać, od momentu przestąpienia progu urzędu zadawały sercu księdza taki ból, jakby przykładano do niego rozpalone żelazo. Szczególnie nie lubił, kiedy go prowadzono do przedpokoju, bo stamtąd było widać ciemny korytarz po drugiej stronie dziedzińca. To tamtędy włókł się wtedy o bladym świetle, zataczając się, podtrzymywany przez Ferreirę. Dlatego teraz nerwowo odwracał wzrok.

Miał zakaz widywania się nawet z Ferreirą. Wiedział, że mieszka on w dzielnicy świątyni w pobliżu świątyni Saishoji, ale nie pozwolono mu go odwiedzać ani przyjmować u siebie. Spotykał się z nim tylko w Urzędzie Naczelnika Miasta, gdy się tam udawał ze swoim kuratorem – przedstawicielem starszyny. Tamten przychodził w towarzystwie swojego opiekuna. Obydwaj nosili ubrania otrzymane z urzędu i wymieniali tylko krótkie pozdrowienia w dziwacznym języku japońskim, tak by rozumieli je obaj kuratorzy.

W urzędzie zachowywali się tak, aby wyglądało, że wszystko sobie wyjaśnili, ale ksiądz nigdy nie powiedział, co czuje w stosunku do Ferreiry. Był to zlepek wszelkich uczuć, jakie człowiek może żywić do drugiego człowieka. Obaj nienawidzili się i pogardzali sobą nawzajem. Jeśli ksiądz nienawidził Ferreiry, to bynajmniej nie dlatego, że tamten namówił go do odstępstwa, to już nie budziło w nim żalu ani złości. Nienawidził go, bo Ferreira uzmysławiał mu jego własne rany. Przeglądał się w nim jak w lustrze i nie mógł znieść tego swojego brzydkiego odbicia. Miał przed oczami Ferreirę ubranego jak on w japońskie kimono, zmuszanego jak on do mówienia po japońsku i podobnie jak on wykluczonego z Kościoła.

– Ha, ha, ha! – Ferreira, zwracając się do urzędników, śmiał się zawsze głośno i przymilnie. – Ciekawe, czy szef holenderskiej faktorii udał się już do Edo? Kiedy w zeszłym miesiącu byłem na Deshimie, mówił, że pojedzie.

Ksiądz w milczeniu słuchał ochryplego głosu Ferreiry, patrzył na jego zapadłe

oczy i chude ramiona. Promienie słońca padały na te ramiona. Tak jak wtedy, gdy się spotkali po raz pierwszy w świątyni Saishoji.

Czuł do Ferreiry nie tylko pogardę i nienawiść. Odczuwał również litość, w której zawierała się też litość nad samym sobą, i solidarność, że oto przypadł im w udziale ten sam los. Jesteśmy jak brzydkie bliźnięta – przyszło mu nagle do głowy, gdy patrzył na plecy Ferreiry – syjamskie bliźnięta, które nienawidzą wzajemnie swojej brzydoty, gardzą sobą, a jednak są nierozłączne.

Praca w Urzędzie Naczelnika Miasta kończyła się przeważnie o zmierzchu. Nietoperze przefruwały tuż koło bramy, wśród drzew i po zamglonym fioletowym niebie. Kuratorzy, mrugnawszy do siebie porozumiewawczo, poprowadzili każdy w swoją stronę cudzoziemców, za których są odpowiedzialni. Ksiądz ukradkiem odwracał się za Ferreirą. Tamten też patrzył za nim. Nie zobaczą się do następnego miesiąca. A gdy się spotkają, nie wyczują, jak bardzo ten drugi jest samotny.

沈黙

Z DZIENNIKA JONASSENA Z HOLENDERSKIEJ FAKTORII NA DESHIMIE

Lipiec 1644 (szósty miesiąc pierwszego roku ery Shoho^[36])

3 lipca

Odplywają trzy chińskie dżonki. Ponieważ otrzymaliśmy pozwolenie na odprawienie w rejs 5 lipca „Lillo”, jutro musimy załadować na statek srebro, materiały dla wojska i różne inne towary oraz zakończyć wszystkie przygotowania.

8 lipca

Ostateczne rozliczenia z kupcami, rzeczoznawcami finansowymi, właścicielami domów i panem Shiroemonem; na polecenie szefa faktorii sporządzanie zamówienia w celu przygotowania na następny termin towarów przeznaczonych do Holandii, na Wybrzeże Koromandelskie i do Syjamu.

9 lipca

W domu pewnego tutejszego mieszkańca miasta znaleziono obraz Matki Boskiej, całą rodzinę wtrącono więc do więzienia i przeprowadzono śledztwo, w wyniku którego sprzedawca został wykryty i poddany szczegółowemu przesłuchaniu. Podobno przy tym przesłuchaniu byli obecni odstępca *padre* Chuan Sawano oraz *padre* Rodrigues, który tak samo wyrzekł się wiary.

Przed trzema miesiącami w innym tutejszym domu znaleziono monetę jednofenigową z wyrytym na niej wizerunkiem świętego. Całą rodzinę uwięziono i poddano torturom, aby wyrzekli się wiary, ale odmówili. Obecny przy tym portugalski *padre* odstępca Rodrigues błagał bez przerwy urzędników naczelnika

o darowanie im życia, ale go nie usłuchano i ogłoszono wyrok śmierci. Mężowi, żonie i dwóm synom ogolono pół głowy i przez cztery dni obwożono ich podobno na chudych szkapach po mieście. Wkrótce potem mąż i żona ponieśli śmierć, powieszeni głową w dół w jamie, a synów, których zmuszono, by na to patrzyli, umieszczono na powrót w więzieniu.

Wieczorem weszła do portu jedna dżonka chińska. Przywiozła cukier, porcelanę i nieco jedwabiu.

1 sierpnia

Przybyła dżonka chińska z Fuzhou z ładunkiem towarów różnych. O godzinie dziesiątej obserwator stwierdził obecność statku żaglowego w odległości około 6 mil od zatoki Nagasaki.

2 sierpnia

Rano rozpoczął się załadunek towarów na wyżej wymieniony statek, prace posuwają się sprawnie.

W południe przybyli do mnie sekretarz i zastępca naczelnika miasta wraz z tłumaczem i wypytywali mnie przez całe dwie godziny. Powodem było to, co opowiedzieli przebywający w Nagasaki odstępcy Chuan Sawano i portugalski ksiądz Rodrigues. Mianowicie, że w Makao postanowiono wysyłać katolickich *padre* z Indii do Japonii na holenderskich statkach. Według Sawano kapłani będą teraz próbowali przedostać się do Japonii, zatrudniając się na statkach holenderskich do najpodlejszych prac. Jeżeli tak się stanie, faktoria znajdzie się w bardzo ciężkim położeniu – ostrzegł sekretarz i zalecił mieć się na baczności. Także wtedy, gdy *padre*, który przybył do Japonii na naszym statku i nie mogąc, na skutek czujności tutejszej władzy, dostać się na ląd, będzie próbował odpłynąć stąd naszym statkiem i zostanie schwytyany, będzie to zgubą dla Holendrów. Ponieważ Holendrzy sami się uznają za wasali Jego Cesarskiej Mości i Japonii, muszą być karani tak samo jak Japończycy. To mówiąc, wręczył mi notę pisaną po japońsku, wystosowaną do mnie przez naczelnika.

[36] *Era Shoho* – 1644–1647.

沈黙

PRZEKŁAD NOTY

Padre Sawano, aresztowany przez władcę Hakaty, wyjawiał najwyższym urzędnikom, że i wśród Holendrów, i w państwie holenderskim wielu jest katolików. Podobno w Kambodży Holendrzy odwiedzili dom jakiegoś padre, wyznali, że są współwyznawcami i razem postanowili, że duchowni katoliccy zostaną w Europie klientami waszej firmy albo zatrudnią się jako marynarze i na waszych statkach będą przyplływać do Japonii do Nagasaki. W Urzędzie Naczelnika Miasta nie mogliśmy w to uwierzyć, przekonani, że Portugalczycy i Hiszpanie, będąc wielkimi wrogami Holendrów, mówią w ten sposób, aby im zaszkodzić, ale Chuan Sawano zapewniał stanowczo, że nie kłamie, że to fakt. Z powyższego powodu naczelnik surowo nakazuje kapitanom sprawdzić, czy wśród ich załóg nie ma wyznawców religii rzymskokatolickiej. Jeśli okaże się, że są, należy o tym zawiadomić urząd. A gdyby kiedykolwiek w przyszłości katolik dotarł do Japonii na holenderskim statku, a naczelnik nie został o tym powiadomiony, kapitan poniesie bardzo przykre konsekwencje.

3 sierpnia

Wieczorem zakończyliśmy załadunek towaru na statek, o którym wspomniałem poprzednio. Dzisiaj naczelnik pytał, czy na statku nie ma puszkarza, który umiałby obsługiwać moździerze, kazałem więc pomocnikowi handlowemu Paulusowi Verowi udać się na statek i to sprawdzić. Okazało się, że nikogo takiego nie ma. Taką też dałem odpowiedź, na co naczelnik polecił sprawdzać na statkach, które przybędą tu w przyszłości, i powiadomić, gdyby ktoś taki się pojawił.

4 sierpnia

Rano przybył na statek dostojny Honjo, samuraj wyższej rangi z Urzędu Naczelnika Miasta, i przeprowadził bardzo dokładną rewizję. Powodem tak skrupulatnego

przeszukania tym razem było oświadczenie przebywających w Nagasaki byłych księży wobec najwyższych władz, że wśród Holendrów są wyznawcy Rzymu i że pływają na holenderskich statkach. Objął również dowódtwu statku, że gdyby nie wyżej wymienione nowe podejrzenia, rewizja byłaby łagodniejsza niż w zeszłym roku. Na ich prośbę poszedłem na statek i w ich obecności przekonałem członków załogi, by jeśli ktoś ukrywa przedmioty związane z wiarą katolicką, okazał je, a nie poniesie kary. Ponieważ wszyscy odpowiedzieli, że nic takiego nie mają, odczytałem im przepisy, których załoga jest obowiązana przestrzegać. Dostojny Honjo chciał znać treść mojej przemowy, więc mu wszystko dokładnie powtórzyłem, na co on odpowiedział, że złoży raport naczelnikowi, by go uspokoić, i odszedł wraz ze swymi ludźmi.

Wieczorem przybyła dżonka z Quanzhou. Przywiozła głównie jedwabne tkaniny, między innymi: cienki muślin, wzorzystą satynę i krepe, których łączną wartość szacujemy na 80 *kan*^[37]. Prócz tego cukier i inne towary.

7 sierpnia

Dwoje dzieci, których rodziców wcześniej stracono, o czym już wspominałem, i jeszcze jedną osobę przewieziono, związanych, na wychudłych szkapach na miejsce kaźni i ścięto.

Rok 1645 (jedenasty i dwunasty miesiąc drugiego roku ery Shoho)

19 listopada

Przypłynęła dżonka chińska z Nankinu z ładunkiem białego surowego jedwabiu, muślinu, wzorzystej satyny, złotego brokatu, jedwabiu adamaszkowego itp., razem około 800–900 *kan*. Podobno za półtora lub dwa miesiące przybędzie kilka dżonek z dużymi ładunkami i wolno im będzie swobodnie przypłynąć do Japonii, jeśli zapłacą zarządcy lokalnemu od 100 do 600 *taeli* zależnie od ładunku.

26 listopada

Mała dżonka z Shouzhou przywiozła płótno, ałun, naczynia i inne towary, w sumie ponad dwie skrzynie.

29 listopada

Rano do faktorii przybyło z upoważnienia naczelnika dwóch tłumaczy i pokazali tekst holenderski pod obrazem Maryi: „»Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami« (Ewangelia według św. Łukasza 1, 28)”. Otrzymali go od mnicha buddyjskiego spod Shimonoseki. Zapytali, w jakim to jest języku i co to znaczy. Portugalscy *padre* odstępcy Rodrigues i Chuan Sawano powiedzieli, że nie rozumieją treści napisu, bo to nie jest łacina, portugalski ani włoski. Było to *Ave Maria* po holendersku, wydrukowane przez Flandryjczyków, mówiących tym samym co my językiem. Nie miałem wątpliwości, że ten obraz przybył na naszym statku. Póki mnie nie zapytano, milczałem, dałem jednak odpowiedź zgodną z prawdą, bo można się było spodziewać, że *padre* Rodrigues i Chuan Sawano wiedzą, co znaczą te cyfry.

30 listopada

Przy pięknej pogodzie wczesnym rankiem wniesiono na statek koła sterowe i proch, a także resztę towaru i skończono załadunek. W samo południe poszliśmy na statek, gdzie dokonaliśmy odprawy załogi i przekazali dokumenty. Po powrocie do faktorii ugościliśmy urzędników jadłem i trunkami. Przed wieczorem powiał jednak północno-zachodni wiatr i „Overschie” nie odpłynął.

5 grudnia

W południe przyszedł tłumacz z zapytaniem, skąd pochodzą towary, które tu wwozimy. Odpowiedziałem, że przeważająca ich część dostarczana jest z Holandii i z Chin. Chciał wiedzieć, czy nie będzie to dla nas utrudnieniem, jeśli chińskie statki przestaną kursować.

Odkąd przybyłem do Japonii, starałem się czegoś dowiedzieć o duchownych odstępcach. Japończyk Tomas Araki przebywał długo w Rzymie i był nawet szambelanem papieskim. Kilkakrotnie oskarżał się, że jest chrześcijaninem, ale naczelnik początkowo zostawił go w spokoju, myśląc, że mu się w głowie pomieszało ze starości. Potem Araki został powieszony w jamie, a po upływie doby wyrzekł się oficjalnie wiary, ale w sercu zachował ją aż do śmierci. Teraz żyje tylko dwóch. Jeden, imieniem Chuan, jest Portugalczykiem i był tu kiedyś superiorem

Towarzystwa Jezusowego. To człowiek niegodziwy. Drugi to ksiądz Rodrigues, urodzony w Tasco. On też podeptał święty wizerunek w Urzędzie Naczelnika Miasta. Obaj mieszkają obecnie w Nagasaki.

9 grudnia

Wraz z towarami dla cesarza i władcy Chikugo wręczyłem panu Saburozaemonowi wszystkie te same maści, a prócz tego małe pudzeczko na lekarstwa. Przyjął to z radością. Ponieważ dołączyłem spis w języku japońskim z wyszczególnionymi właściwościami każdego lekarstwa, naczelnik miasta Nagasaki był podobno nadzwyczaj zadowolony. Wieczorem wszedł do portu statek z Fuzhou.

15 grudnia

Odpłynęło 5 chińskich dzonek.

18 grudnia

Odpłynęły 4 chińskie dżonki. Kilku ludzi z załogi dżonki z Nankinu chciało inną dżonką popłynąć do Tonkinu lub Annamu, ale naczelnik nie zezwolił.

Pewien właściciel domu na wyspie słyszał, że odstępcą Chuan Sawano spisuje różne fakty dotyczące Holendrów i Portugalczyków i pismo to zamierza w najbliższym czasie przesłać na dwór. Życzę śmierci temu łajdakowi, co zapomniał o Bogu, bo nie chciałbym, żeby faktoria miała jakiegokolwiek kłopoty. Ale Bóg nas ustrzeże od podejrzeń!

Po południu dwa japońskie statki przybyły przed faktorię. Na jednym popłyniemy my, a na drugi załaduje się wielbłądy. Wieczorem do faktorii przyszli tłumacze wraz ze służącymi, którzy mieli towarzyszyć w rejsie do regionu Kamigata. Wśród nich był pracz, który mówił trochę po holendersku. Przez chwilę miałem nadzieję, że pojedzie z nami jako kucharz, ale Dembei i Kichibei oznajmili, że naczelnik zabronił jechać z nami ludziom znającym holenderski. Nie uwierzyłem im i pomyślałem, że sprzeciwiają się po to, żeby mogli wszystkim pokierować po swojej myśli. Powiedziałem im, że wystarczyłoby nam przecież holenderski i japoński, a holenderski wcale nie jest językiem, którego powinni nienawidzić, takim językiem jest portugalski. Ani jeden katolik nie mówi w Japonii po

holendersku, a po portugalsku nawet teraz mówią dziesiątki ludzi. Nie było przecież w Japonii ani jednego chrześcijanina mówiącego po holendersku, a chrześcijan znających portugalski w każdej chwili można wskazać kilkudziesięciu.

23 grudnia

Odpłynęła mała dżonka, która przybyła z Fuzhou. Wieczorem duża chińska dżonka dotarła do wylotu zatoki, ale wobec przeciwnego wiatru dopiero nocą za pomocą wielu statków towarowych została przyholowana do Nagasaki. Płynęło nią wielu ludzi, którzy grając głośno na bębnach i fletach, machali chorągiewkami sygnalizacyjnymi.

W dzień Nowego Roku po Nagasaki chodzą od domu do domu muzykanci, dmuchając we flety, bijąc w bębny i gongi. U bram kobiety i dzieci dają im drobne datki pieniężne.

Tego dnia po mieście krążą również w kilkusobowych grupkach ubrani w plecione kapelusze „niełudzie” z okolic Funatsu i Kakuibary, śpiewając przed bramami rytualne pieśni.

Drugi dzień pierwszego miesiąca.

Kupcy na dobry początek roku w interesach wczesnym rankiem udekorowali sklepy, zawiesili w drzwiach nowe zasłony *noren*. Wędrowni sprzedawcy trepangów obchodzą kolejno wszystkie sklepy.

Trzeci dzień pierwszego miesiąca.

Starszyzna z poszczególnych dzielnic przychodzi do Urzędu Naczelnika Miasta po deski z chrześcijańskimi wizerunkami, które służyć będą do podeptania przez mieszkańców miasta.

Od dnia czwartego przeprowadzona zostanie akcja powszechnego deptania obrazów. Tego dnia przedstawiciele starszyzny i władz dzielnic Edo-machi i Imauomachi, Funatsu-machi i Fukuro-machi odwiedzą dom po domu według rejestru wyznaniowego. Wszystkie rodziny będą czekać na nich w ciszy, zamiówszy ulicę przed domem. Gdy rozlegnie się z daleka głos oznajmiający śpiewnie: „Nadchodzą!”, wszyscy członkowie rodziny ustawią się rzędem w izbie najbliższej

wejścia i będą oczekiwać na ceremonię.

Do deptania służy przeważnie deska o długości siedmiu do ośmiu i szerokości czterech do sześciu cali, z osadzonym w niej wizerunkiem Matki Najświętszej lub Jezusa. Pierwszy depcze ojciec rodziny, po nim żona, następnie dzieci. Niemowlę matka bierze na ręce i stawia jego stópki na desce. Chorym pozwala się, w obecności urzędnika, dotknąć stopą na leżąco.

Tegoż właśnie 4 stycznia ksiądz dostał nagłe wezwanie z Urzędu Naczelnika Miasta. Przybył tłumacz z lektyką. Dzień był chłodny, chociaż bezwietrzny, a niebo zasnuwały ciężkie szare chmury. Strome uliczki od wczoraj zmieniły się nie do poznania, pograżyły się w głuchej ciszy, może z powodu odbywającego się w mieście deptania wizerunku. W Urzędzie Naczelnika Miasta w dzielnicy Motohakata-cho oczekiwał go w zimnej sali z drewnianą podłogą odświętnie ubrany urzędnik.

– Jego dostojność czeka!

W sali audiencyjnej przy małym żelaznym koszyku z rozżarzonymi węglami siedział wyprostowany władca Chikugo. Słyszając odgłos kroków, zwrócił ku wchodzącym swoją głowę o wielkich uszach i utkwiał w księdzu nieruchome spojrzenie. Uśmiech pojawił się na jego twarzy, ale oczy nie śmiały się wcale.

– Najlepszego w Nowym Roku! – powiedział cicho.

Było to pierwsze po tym, jak wyrzekł się wiary, spotkanie księdza z Inoue. Już nie czuł się upokorzony przez tego człowieka. Stopniowo pojął, że walczył nie z Japończykami skupionymi wokół niego. Walczył ze swoją własną wiarą. Ale tamten tego chyba nigdy nie zrozumie.

– Dawnośmy się nie widzieli – pokiwał głową Inoue, grzejąc ręce nad koszykiem z węglami. – Pewnie całkiem przywykłeś już do Nagasaki?

Następnie spytał księdza, czy mu czego nie brakuje, bo gdyby brakowało, może bez skrępowania zwracać się z tym do jego urzędu. Widać było, że stara się nie poruszać w rozmowie tematu apostazji księdza. A ten podnosił niekiedy spuszczone wzrok i starał się wyczytać z twarzy rozmówcy, czy to wypływa z jego delikatności wobec uczuć księdza czy z pewności siebie zwycięzcy. Ale twarz starca nie wyrażała

niczego.

– Za miesiąc mógłbyś, *padre*, pojechać do Edo i tam zamieszkać. Przygotowano już dla ciebie moją dawną rezydencję w Kobinata-cho.

Czy władca Chikugo świadomie użył słowa *padre*? Słowo to ukłuło księdza boleśnie.

– No i powinieneś chyba przyjąć japońskie nazwisko, skoro masz odtąd żyć w Japonii! Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zmarł pewien człowiek, San’emon Okada, więc jeśli pojedziesz do Edo, będziesz mógł nosić jego nazwisko.

Pocierając dłonią o dłoń nad koszykiem z węglami, władca Chikugo ciągnął dalej jednym tchem:

– Zmarły był żonaty. Możesz więc wziąć wdowę za żonę, bo źle ci będzie, *padre*, żyć tak ciągle samemu.

Ksiądz słuchał tych słów ze zwieszoną głową. Pod powiekami widział zbocze. Zsuwał się po nim w dół. Tu już nie pomoże żaden opór ani odmowa. Nazwisko Japończyka to jeszcze, ale tego, że mu się każą żenić z żoną tamtego, nigdy by się nie spodziewał!

– No więc jak?

– Jak sobie wasza dostojność życzy! – skinął głową, kuląc się w ramionach. Poddał się uczuciu ni to zmęczenia, ni to rezygnacji.

Ty jeden, Panie, zechciej zrozumieć, co się teraz dzieje w moim sercu, bo Ty doświadczyłeś wszelkiego upokorzenia! Dla wiernych i dla duchowieństwa mogą być tylko czarna owca w historii misji, to mi nie przeszkadza.

– Kiedyś, pamiętasz, mówiłem ci, że nasza Japonia to kraj nieodpowiedni dla chrześcijaństwa, że chrześcijaństwo nigdy tu nie zapanuje.

Ksiądz przypomniał sobie, że to samo powiedział Ferreira w świątyni Saishoji.

– *Padre*, bądź pewien, że to nie ja cię zwyciężyłem – mówiąc to, władca Chikugo utkwiał wzrok w popiele koszyka. – Pokonało cię bagno o nazwie Japonia.

– O nie, ja walczyłem – ksiądz bezwiednie podniósł głos – z nauką chrześcijańską, którą miałem w moim własnym sercu.

– Czyżby? – uśmiechnął się ironicznie Inoue. – Po swoim odstępstwie mówiłeś

podobno Ferreirze, że odstąpiłeś od wiary, bo Chrystus z wizerunku, który miałeś podeptać, powiedział ci: „Odstąp!”. Ale czy tymi słowami nie chciałeś zasłonić własnej słabości? Jakem Inoue, nie mogę uwierzyć, że to były słowa Chrystusa.

– Cokolwiek wasza dostojność raczy o tym myśleć, dla mnie nie ma to już znaczenia. – Ksiądz położył obie ręce na kolanach i pochylił głowę.

– Okłamuj innych, mnie nie oszukasz! – powiedział chłodno władca Chikugo. – Spytałem kiedyś takiego jak ty *padre*, jaka jest różnica między miłosierdziem Buddy a miłosierdziem chrześcijańskiego *Deusa*. Nas, Japończyków, nauczono, że miłosierdzie Buddy zbawia wszystkie żywe istoty, które się ku niemu zwracają, a nasza własna słabość nie ma tu znaczenia. A tamten *padre* powiedział wyraźnie, że chrześcijanie inaczej pojmują zbawienie. Aby być zbawionym, nie wystarczy, by chrześcijanin zawierzył siebie Łasce Bożej. Musi temu towarzyszyć moc duchowa wiernego. Ale ty chyba gdzieś w naszym japońskim bagnie wypaczyłeś naukę chrześcijańską?

Nauka Chrystusa nie jest taka, jak mówisz! – chciał krzyknąć ksiądz, ale świadomość, że cokolwiek by powiedział, nikt, ani Inoue, ani tłumacz, nie zrozumie tego, co on teraz czuje, wepchnęła mu słowa z powrotem do gardła. Z rękoma na kolanach, z przymrużonymi oczyma słuchał w milczeniu słów Inoue.

– Nie wiesz zapewne, *padre*, że na Goto i Ikitsuki wielu jeszcze wieśniaków uważa się za chrześcijan, a jednak nasz urząd nie zamierza ich już ścigać.

– Dlaczegoż to? – zapytał ksiądz.

– Oni są już odcięci od korzeni. Jeśliby nadal przybywały z Zachodu osoby takie jak *padre*, musielibyśmy aresztować wiernych, ale – naczelnik roześmiał się – nie ma obawy. Po odcięciu od korzeni łodyga i liście gniją. Mam na to dowód. *Deus*, któremu potajemnie oddają cześć chłopci z Goto i Ikitsuki, chociaż nadal przypomina Boga chrześcijan, nie jest już jednak tym Bogiem.

Ksiądz podniósł głowę i spojrzał na twarz Inoue. Rozmówca miał na twarzy uśmiezek, ale jego oczy się nie śmiały.

– Wkrótce przywiezione przez waszych *padre* chrześcijaństwo oderwie się od swych źródeł i stanie czymś dziwnym – wydał westchnienie z głębi serca. – Taki

to kraj, ta nasza Japonia! Nic na to, *padre*, nie poradzisz.

W westchnieniu naczelnika brzmiała szczerza, bolesna rezygnacja.

Ksiądz dostał ciasteczka, podziękował i odszedł wraz z tłumaczem. Niebo zasnuwały nadal szare chmury, na ulicy było zimno. Kołysząc się w lektyce, patrzył bezmyślnie na rozciągające się pod ołowianym niebem równie ołowiane morze. Wkrótce wyślą go do Edo. Władca Chikugo powiedział, że otrzyma rezydencję, ale pewnie umieszczą go w więzieniu dla chrześcijan, o którym często słyszał. I spędzi tam całe życie. Już nigdy nie popłynie przez to ołowiane morze z powrotem do ojczyzny. Gdy był w Portugalii, sądził, że być misjonarzem to wtopić się w lud danego kraju. Zamiarem jego było pojechać do Japonii i żyć tak, jak żyją wierni w tym kraju. I co? Będzie Japończykiem. Otrzyma nawet japońskie nazwisko San'emon Okada.

San'emon Okada? – zaśmiał się cicho.

Los dał mu wszystko, czego pozornie mógł pragnąć. Przewrotnie zakpił z niego. Będąc kapłanem, który całe życie powinien zachować czystość, otrzyma żonę! Nie mam, Panie, do Ciebie żalu, śmieję się tylko nad losem człowieczym. Moja wiara w Ciebie jest inna niż kiedyś, ale kocham Cię, Panie!

Oparty o okno aż do zmierzchu przyglądał się dzieciom. Biegały po zboczu, trzymając latawce za linki, a że nie było wiatru, wlokły się tylko po ziemi.

Przed wieczorem chmury przetały się nieco i zaświeciło blade słońce. Znudzone zabawą z latawcami dzieci wzięły w ręce gałązki bambusa, które wraz z gałązkami sosny zdobiły bramy z okazji Nowego Roku, i uderzając nimi w drzwi kolejnych domów, śpiewały:

Bijmy kreta, ślepe oko,
Wolno nam, wolno nam!
Życzenia składamy,
trzykroć się kłaniamy...

Próbował nucić po cichu tę dziecięcą piosenkę. Nie wychodziło mu, więc zrobiło mu się smutno. „Bijmy kreta, ślepe oko, wolno nam, wolno nam!” Wydawało mu się, że

to głupie zwierzątko, które, choć ślepe, wylazło na powierzchnię ziemi i kręci się w kółko, musi być bardzo podobne do niego. W domu naprzeciwko staruszka besztala dzieci. To ona dwa razy dziennie przynosi mu jedzenie.

Nocą zerwał się wiatr. Gdy ksiądz nastawił uszu, przypomniał mu się szum wiatru w gałęziach drzew w lesie wokół więzienia, w którym go dawniej trzymano. I tak jak każdej nocy oczami duszy zobaczył twarz tamtego Człowieka. Twarz, którą podeptał.

– *Padre! Padre!*

Zapadłe oczy utkwili w drzwiach, zza których dochodził głos, który pamiętał.

– *Padre*, to ja, Kichijiro!

– Nie jestem już *padre* – odpowiedział cicho ksiądz, obejmując rękoma kolana. – Lepiej stąd odejść. Będzie źle, gdy cię zobaczy mój kurator.

– Ale macie, jeszcze, panie, moc słuchania spowiedzi!

– Czyżby? – ksiądz pochylił głowę. – Przecież jestem kapłanem odstępcą!

– W Nagasaki nazywają was „upadłym Pawłem”. Nie ma nikogo, kto by nie znał tego imienia.

Ksiądz, wciąż z rękoma wokół kolan, uśmiechnął się smutno. Zanim dziś to usłyszał, wiedział już, że nadano mu takie przezwisko. Ferreirę nazywano „upadłym Piotrem”, jego – „upadłym Pawłem”. Niekiedy zdarzało się też, że dzieci pod drzwiami głośno wykrzykiwały to przezwisko.

– Posłuchajcie mnie, panie! Jeśli Paweł, nawet upadły, ma prawo spowiadać, odpuście mi grzechy!

Nie odpowiedział nic, myśląc: Nie jest rzeczą ludzką osądzać... a nasze słabości najlepiej zna Pan.

– Sprzedałem was, *padre!* I stawiałem stopę na świętych obrazach – ciągnął Kichijiro swoim płaczącym głosem. – Na tym świecie są silni i są słabi. Silnych nie złamie żadna męka i pójdą do raju, a takim jak ja, tchórzom od urodzenia, wystarczy, że urzędnik powie: Depcz!...

Ja też podeptałem obraz. Postawiłem stopę na zapadłej twarzy tamtego Człowieka. Na twarzy, którą setki razy wywoływałem z pamięci. Na twarzy, o której

myślałem wciąż i podczas tułaczki w górach, i w więzieniu. Na najlepszej i najpiękniejszej twarzy w dziejach ludzkości. Na twarzy Tego, który miał być miłością całego mego życia. Teraz oprawiona w drzewo, przetarta i wklęsła, patrzyła na mnie smutno. „Możesz deptać – mówiły smutne oczy – możesz deptać. Chyba boli cię teraz noga. Boli tak samo, jak bolały nogi tych wszystkich, którzy dotychczas podeptali moją twarz. I ten ból mi wystarcza. Dzielę z wami wasze cierpienie. Po to przecież jestem”.

Panie, nienawidziłem Twojego ciągłego milczenia!

„Ja nie milczę. Przecież cierpiałem razem z wami”.

A jednak kazałeś, Panie, odejść Judaszowi, mówiąc: „Co chcesz czynić, czyń prędko”. I co się stało z Judaszem?

„Ja tak nie powiedziałem. Powiedziałem Judaszowi: Możesz czynić tak, jak teraz mówię tobie: Możesz podeptać. A serce Judasza bolało tak, jak boli twoja noga”.

I wtedy ksiądz opuścił na Jego wizerunek zakurzoną i pokrwawioną stopę. Pięć palców zakryło twarz Tego, którego kocha. Nie potrafiłby wytłumaczyć Kichijiro, jak ogromna radość i wzruszenie go wtedy ogarnęły.

Powiedział prędko w stronę drzwi:

– Nie ma ani silnych, ani słabych. Któż może stwierdzić z całą pewnością, że słabi nie cierpieli więcej niż silni? Jeśli w tym kraju nie ma już żadnego księdza, który by cię wyspowiadał, ja odmówię modlitwę, jaką się wypowiada na zakończenie każdej spowiedzi... Odejdź w pokoju!

Wzburzony Kichijiro płakał bezgłośnie. Wreszcie podniósł się i odszedł. Oto teraz popełniłem świętokradztwo i udzieliłem temu człowiekowi sakramentu, którym tylko kapłan może szafować. Kapłani potępiliby surowo moje świętokradztwo, ale ja, chociaż ich zdradziłem, na pewno nie zdradziłem tamtego Człowieka. Kocham Go teraz inaczej niż do tej pory. Abym poznał tę Miłość, musiało się to wszystko zdarzyć. Jestem teraz ostatnim chrześcijańskim księdzem w tym kraju. Tamten Człowiek nie milczał. A jeśli nawet On sam milczał, to całe moje dotychczasowe życie opowiadało o Nim.

[37] *Kan* – jednostka monetarna stanowiąca równowartość 100 taeli, również jednostka wagi – 8 i 1/3 funta.

沈黙

Z DZIENNIKA URZĘDNIKA REZYDENCJI CHRZEŚCIJAN

12 r. ery Kanbun^[38], rok wodnego szczura

Ostatnio wydano 10 porcji dla San'emona Okady, po 7 porcji dla Bokuia, Juana Nanho i Jikana. Władcy Totomi przedłożono notatkę następującej treści:

NOTATKA

Seibe Fukagawa (l. 50), kuzyn żony San'emona, szkutnik

Gen'emon (l. 55), kuzyn j.w., służący pana Doi, kuchmistrza w Resorcie do Spraw Dworu Cesarskiego

Sannojo, bratanek kuzyna j.w., przy Seibe

Shokuro (l. 30), bratanek j.w., rzemieślnik z Esashi-cho

Gonzaburo Adachi, czeladnik u stolarza Bokuia za kierownictwa Inoue, władcy Chikugo

Jimbei Kamiya, z domu Yoshihara, przysposobiony zięć Juana, przy żonie

Jin'emon, wuj córki Juana, mieszka w Kawagoe, odwiedzał to miejsce za kierownictwa Hojo, ostatnio był w tym roku 26 dnia czwartego miesiąca, spotkał się z Juanem.

1 r. ery Empo^[39], rok wodnego wołu

9 dnia jedenastego miesiąca o godzinie 6 rano z powodu choroby zmarł Bokui, na miejsce przybyli inspektorzy śledczy Yoemon Kimura i Jingobei Ushida, ich asystenci, sierżanci Shozaemon, Den'emon, Sobei, Gensuke, funkcjonariusze policji

Saburoemon Asakura, Kyuzaemon Arakawa, Kan'emon Kainuma, Hachirobei Fukuda, Matabei Hitotsubashi. Kremacja zwłok odbyła się w świątyni buddyjskiej Muryoji, zmarły otrzymał pośmiertne imię Kogan Shoten Zenjomon. Hikobe Endo i sierżant Juzaemon Kidaka, przeszukawszy rzeczy Tokuzaeomona, służącego Bokuia, rozkazali mu podeptać święty wizerunek i odejść do domu.

2 r. ery Empo, rok drzewnego tygrysa

Od 20 dnia pierwszego miesiąca do 8 dnia drugiego miesiąca San'emon Okada pisze na polecenie władcy Totomi dzieło na temat religii, zaś Shozaemon Ugai, Den'emon Kayo i Gensuke Hoshino z jego polecenia nadzorują piszącego.

16 dnia drugiego miesiąca Den'emon Kayo i Jingobei Kawara otrzymali polecenie nadzorowania w jego domu San'emon Okady piszącego dzieło na temat religii w dniach od 28 dnia drugiego miesiąca do 5 dnia trzeciego miesiąca.

Od 14 dnia szóstego miesiąca do 24 dnia siódmego miesiąca San'emon Okada został wysłany do górskiej rezydencji i tam w bibliotece pisze swoje dzieło na temat religii, towarzyszą mu Den'emon Kayo i Jingobei Kawara.

5 dnia dziewiątego miesiąca z powodu niesubordynacji posłano do więzienia Juana. Przy ogłoszeniu tej decyzji obecni byli Rokuemon, Den'emon, Shozaemon, Gensuke, Sobei, Kawara i Kamei, miesięczny dyżur w czasie osadzenia pełnił Rokuemon Tsukamoto i Den'emon Kayo.

4 r. ery Empo, rok ognistego smoka

W więzieniu został zamknięty towarzyszący San'emonowi Okadzie służący Kichijiro, gdyż zachowywał się podejrzanie. Podczas szczegółowego badania w stróżówce zawartości jego kieszeni, w woreczku, w którym nosi się na szyi amulet, znaleziono medalik z podobiznami świętych Piotra i Pawła, a na odwrocie Franciszka Ksawerego z aniołem. Wyprowadzono Kichijiro z celi i przesłuchano na okoliczność jego pochodzenia i rodziny, okazało się, że pochodzi z wyspy Goto koło Kiusiu i w tym roku skończył 54 lata.

Ponieważ Matabeia Hitotsubashi często widywano z Kichijiro, pod zarzutem wyznawania religii wtrącono go do więzienia do czasu, aż Kichijiro wszystko powie (...) w ten sposób będzie można się dowiedzieć, czy ich bliskie kontakty mają związek z podejrzeniami w kwestii religii. W tej sytuacji utrzymujący szczególnie bliskie kontakty z Matabeiem Kurozaemon i Shimbei również zostali szczegółowo zrewidowani w bibliotece, przeszukano ich ubrania, pasy, woreczki na chusteczki do nosa, talizmany (...). Przybył sam władca Totomi, wezwanego do biblioteki Kichijiro wypytywał, od kogo dostał przedmiot kultu. Zapytany oświadczył, że miał go służący Saizaburo, który był tu trzy lata temu, kiedy wychodził, zgubił go, a on go podniósł i wziął, o czym wie wartownik Tokueemon. Zawezwano natychmiast wartownika Tokuemona, który oświadczył, że widział to podczas letniego wietrzenia ubrań. Na pytanie, czy nie dostał tego od San'emona, Kichijiro odpowiedział, że nie mógłby od niego dostać, bo nie ma chwili, by strażnicy go nie pilnowali.

17 dnia dziewiątego miesiąca władca Totomi udał się do górskiej rezydencji, zawezwał wszystkich trzech służących do biblioteki i przesłuchał ich surowo na okoliczność, czy są chrześcijanami, następnie wezwał Kichijiro i Tokuemona i też ich przesłuchał. Ponadto uznał za konieczne i nakazał dokładne, bez pominięcia najdrobniejszych przedmiotów domowych, przeszukanie mieszkań trzech niższych funkcjonariuszy w osiedlu policyjnym oraz domów wartowników. Zrewidowane zostały też żony i dzieci, musiały rozwiązywać pasy; zostały sprawdzone również przedmioty kultu buddyjskiego. Podczas rewizji w domu Shichirobeia Sugiyamy Juzaemon Kogure znalazł starą kartkę papieru z chrześcijańskimi napisami. Den'emon Kayo zabrał ją i przekazał zarządcy. Słowa napisane na kartce to: ojciec arcybiskup papież.

18 tegoż miesiąca władca Totomi udał się do rezydencji górskiej, gdzie w bibliotece przesłuchał trzech służących, wezwał też Matabeia Hitobashiego i bardzo dokładnie go sprawdził, następnie przeszukał Kichijiro i Tokuemona. Potem wezwał żonę San'emona wraz ze służącymi, dokonał ich przeszukania, a także wezwał samego San'emona i wypytywał go, czy nie zachęcał do wiary Kichijiro, ten odpowiedział, że nie. Nakazano mu zatem przypieczętować to zeznanie. Następnie wezwany został

Shichirobei Sugiyama i przesłuchany w sprawie znalezionej wczoraj kartki z chrześcijańskimi słowami, mianowicie jak wszedł w ich posiadanie. Shichirobei wyjaśnił, że w latach ubiegłych, za zarządu pana Hojo, władcy Awy, członek jego rady kazał mu zapamiętać te słowa, bo akurat on odpowiadał za takie sprawy, a karteczkę dostał od sierżanta Saheia Hattoriego. Wyjaśnienia uznano za wiarygodne i Shichirobeia odesłano do domu.

Wezwano Tabeia, służącego Goemona Kasahary, który jest wasalem naczelnika klanu Tatebayashi, oraz Shimbeia, tragarza z oddziału policji Tanomo Saito. Przeprowadzono konfrontację z Kichijiro w sprawie znalezionej obrazka. Shimbei otwarcie powiedział, że go znalazł, a Tabei potwierdził, że go widział u Shimbeia, po czym obaj zostali odesłani.

Tego samego dnia w więzieniu powieszono Matabeia Hitotsubashiego, wykonawcami byli Gen'emon Hisaki, Tokubei Okuda, Sobei Kawase, Jingobei Kawara. Również później Matabei wielokrotnie poddawany był torturom.

19 dnia tegoż miesiąca władca Totomi udał się osobiście do górskiej rezydencji i przekazał oficjalne pismo, o którym będzie potem mowa.

18 dnia dziesiątego miesiąca przy ładnej pogodzie kierownik wybrał się do rezydencji górskiej razem z inspektorami Shozaemonem Sayamą i Taroemonem Tanegusą. Matabeia Hitotsubashiego oraz jego żonę poddano torturom na drewnianym koniu. Wezwano do biblioteki i ostro przesłuchano również Shimbeia Naito, a podczas przesłuchiwania Kuroemona Matsuia przesłuchiwany przyznał się prawie do wszystkiego.

24 dnia jedenastego miesiąca na rozkaz obu kierowników na bramie wjazdowej do górskiej rezydencji została umieszczona odezwa nawołująca do denuncjacji chrześcijan. Obecni byli Jingobei Kawara, Gengoemon Ugai i Jurobei Yamada. Poniżej treść odezwy.

ODEZWA

W razie pojawienia się osób podejrzanych o wyznawanie chrześcijaństwa, które jest religią od dawna prawnie zakazaną, nakazuje się niezwłocznie zawiadomić o tym władze. Ustala się następujące nagrody za wskazanie takich osób:

*za wskazanie kapłana 300 srebrnych monet,
za wskazanie brata zakonnego 200 srebrnych monet,
za wskazanie nawróconego odstępcy jw.,
za wskazanie sąsiada 100 srebrnych monet.*

Nawet jeśli donosiciel sam należy do grupy wiernych, otrzyma on rzeczoną nagrodę do 300 srebrnych monet w zależności od tego, na kogo doniesie. W przypadku zaś, gdy na ukrywających się chrześcijan doniosą obcy ludzie, zostaną również ukarane osoby ukrywające ich, rodzina gospodarza domu, w którym się ukrywają, oraz pozostałe rodziny z pięćorodzinnej wspólnoty sąsiedzkiej.

10 dnia dwunastego miesiąca Juan został osadzony w więzieniu. Przybyli zarządcy obu kierowników Naoemon Takahashi i Kin'emon Hottori i w obecności sierżantów obu stron Takahashi oświadczył Juanowi, co następuje:

Rzeczony Juan przejawia ostatnio niesubordynację, niedawno zachował się karygodnie względem Genzaemona Kayo, zatem jako osoba winna ciężkiego nieposłuszeństwa zostaje ukarany więzieniem. Juan odpowiedział na to, że przyjmuje to z wdzięcznością, a następnie, prowadzony do więzienia, wręczył urzędnikom swoją sakiewkę. Wyprowadzono go do stróżówki i niezwłocznie zamknięto w więzieniu. Wspomnianą wyżej sakiewkę zarządcy kierowników przeszukali w obecności sierżantów i stwierdzili zawartość 17 ryo i 1 bu^[40] w drobnych monetach. Ponadto rzeczy osobiste Juana zostały sprawdzone, spisane i opieczetowane przez sierżanta, po czym zamknięto je w domu rzonego.

Wśród rzeczy Juana znaleziono między innymi: 2 dyscypliny, 2 różańce i mapę nieba.

9 r. ery Empo, rok złotego koguta

25 dnia siódmego miesiąca w porze małpy^[41] San'emon Okada zmarł z powodu choroby. Gengoemon Ugai wraz z Jirozaemonem Naruse udali się, by powiadomić o tym kierownika, a ten natychmiast przysłał swoich zarządców, Sekinojo Takahashiego i Juroemona Emagarię, którzy przydzielili po trzech sierżantów do pilnowania zwłok.

San'emon Okada posiadał następujące pieniądze: 13 ryo i 3 bu w monetach o nominale 1 bu, 15 ryo w monetach o nominale 1 ryo, łącznie 28 ryo i 3 bu. Pieniądze te wraz z rzeczami osobistymi zostały opieczetowane przez ludzi zarządcy i 28 dnia tegoż miesiąca złożone w magazynie.

26 dnia tegoż miesiąca do rezydencji górskiej w celu przeprowadzenia śledztwa przybyli inspektorzy Yoemon Omura oraz Kakudayu Murayama, a także podinspektorzy Sohachiro Shimoyama, Rihei Nomura, Kanjuro Uchida i Kyuzaemon Furukawa, łącznie 6 osób. Inspektorom wręczono w obecności zarządców następujące oświadczenie:

OŚWIADCZENIE

Przebywający w Rezydencji Chrześcijan ksiądz San'emon Okada, Portugalczyk, umieszczony tu przed ponad trzydziestu laty w roku owcy przez Inoue, władcę Chikugo, przebywał w zamkniętej rezydencji przez trzydzieści lat do obecnego roku koguta. Na początku bieżącego miesiąca przestał jeść, w trosce o jego zdrowie wezwano lekarza więziennego Dotekiego Ishio, który podał mu lekarstwa, jednakże jego stan się nadal pogarszał. W dniu wczorajszym, tj. 25 dnia miesiąca po godz. czwartej trzydzieści po południu w wieku 64 lat opuścił nas na zawsze.

26 dnia siódmego miesiąca

*Jiroemon Okuda
Gengoemon Ugai
Jingobei Kawara
Sobei Kawase
Den'emon Kayo
z Oddziału Hayashiego, władcy Shinano*

Po zakończeniu śledztwa odbył się pogrzeb San'emona Okady w świątyni Muryoin w Koishikawie, skąd przybył mnich Genshu. Zwłoki zostały przewiezione do Muryoinu i tam spalone. Pośmiertne imię San'emona to Nyusen Joshin Shinshi, opłata za nabożeństwo pogrzebowe wyniosła 1 *ryo* i 2 *bu*, za kremację – 100 *hiki*, opłaty te zostały pokryte z pieniędzy San'emona.

[38] *Era Kanbun* – 25 kwietnia 1661–21 września 1673.

[39] *Era Empo* – 21 września 1673–29 września 1681.

[40] Jednostki monetarne. 1 *ryo* = 1/100 *kan*, 1 *bu* = 1/4 *ryo*.

[41] Pora mały to czas między godziną piętnastą a siedemnastą.

沈黙

POSŁOWIE

Pprzed kilku laty widziałem w Nagasaki stary zatarty obraz, który był używany jako *fumie*. Pozostały na nim czarne ślady palców i podczas długiego pobytu w szpitalu zaczęły we mnie ożywać postacie tych, którzy go podeptali wbrew własnemu sercu. W styczniu ubiegłego roku wziąłem się do pracy nad powieścią. Wiara Rodriguesa z zakończenia może być uznana za bliską protestantyzmowi i zdaję sobie oczywiście sprawę z zastrzeżeń natury teologicznej, na jakie w związku z tym się narażę, ale takie jest moje obecne stanowisko. Nic na to nie poradzę.

Kilka słów o pierwowzorze mego bohatera, San’emonie Okamoto. Różni się on nieco od bohatera powieści San’emona Okady, czyli Rodriguesa. Naprawdę nazywał się Giuseppe Chiara, był rodem z Sycylii. W poszukiwaniu ojca Ferreiry wyszedł na ląd 27 czerwca 1643 roku w Oshimie w prowincji Chikuzen i próbował potajemnie prowadzić działalność misyjną, ale został schwytany i naczelnik miasta Nagasaki odesłał go do więzienia Koishikawa w Edo. Tu był przez niego samego przesłuchiwany i poddany „torturze jamy”. Torturowany, załamał się. Nie wytrzymał jej. Mieszkał potem z żoną Japonką w rezydencji księży odstępców *Kirishitan-yashiki* i umarł w roku 1685 jako osiemdziesięcioletni starzec. Przybyli z nim na potajemną misję ojcowie Arroyo i Cassol też się podczas tortur załamali. Podkreślam to ze względu na rozbieżności między historią prawdziwego ojca Chiary a powieściowymi dziejami Garrpego i Rodriguesa.

20 lutego, 41 rok Showa (1966)

Autor

沈黙

ANALIZA POWIEŚCI KILKA UWAG INTERPRETACYJNYCH (posłowie do *Milczenia* Shusaku Endo) Shoichi Saeki[42]

Shusaku Endo jest jednym z nielicznych w naszym kraju twórców, którzy piszą w tak dramatyczny sposób. *Morze i trucizna*, *Milczenie*, *Samuraj*[43], każda z tych powieści, i nie tylko one, pełna jest dynamizmu i wewnętrznego napięcia.

Mamy tu przede wszystkim budzące grozę okoliczności, w których bohaterowie stają przed koniecznością trudnego wyboru jednej z dwu możliwości. Następnie konflikt narasta i wszystko zmierza wprost ku katastrofie. Widoczna wyraźnie struktura dramatyczna utworów pozwala nam sądzić, że mieszczą się one w tradycyjnej arystotelesowskiej definicji tragedii.

Wśród dzieł Endo *Milczenie* posiada szczególnie dużo cech dramatycznych; ilekroć powracam do lektury tej powieści, za każdym razem daję się porwać jej dramatycznym wirom.

Intryga dramatyczna jest tu bardzo przejrzysta. Trzech młodych księży planuje przedostać się potajemnie do odizolowanej od świata Japonii, gdzie obowiązuje niezwykle surowy zakaz wyznawania chrześcijaństwa. Dzieje się to w niedługim czasie po stłumionym buncie w Shimabarze, więc chociaż mimo zaostrożonej kontroli udaje im się wyjść na ląd i nawiązać kontakty z japońskimi chrześcijanami, wkrótce zostają schwytani, poddani okrutnym torturom, a w końcu stają wobec konieczności wyparcia się religii. Ich plan jest od początku skazany na niepowodzenie i sytuacja rozwija się zgodnie z przewidywaniami. W powieści

prawie nie ma zaskakujących zwrotów akcji, rzuca się w oczy linearny rozwój wydarzeń, w którym dramat nie znajduje drogi ujęcia.

Co zatem nas, czytelników, wciąga w to dzieło o jednowątkowej fabule, którą można łatwo przejrzeć na wylot? Aby zrozumieć, na czym polega pisarski talent Endo, musimy przyjrzeć się technikom narracji, jakie zastosował w powieści, zaczynając od wstępu.

Wstęp napisany jest w stylu pism historycznych albo literatury faktu: obiektywnie i lakonicznie, zaczyna się od słów: „Wiść dotarła do Kościoła”. Głosiła ona, że ojciec Cristóvão Ferreira z Towarzystwa Jezusowego w Portugalii, wysłany wcześniej do Japonii, kapłan godny najwyższego zaufania ze względu na to, iż był „obdarzony rzadko spotykanym talentem teologicznym” oraz posiadał „niewzruszoną wiarę”, wyrzekł się jej, załamując się pod wpływem zadanych mu tortur. Autor relacjonuje, jak wielki wstrząs wywołała ta nowina, gdyż czterech kapłanów z Rzymu i trzech z Portugalii postanowiło udać się do Japonii, by zmierzyć się z tą szokującą sytuacją. Trzej portugalscy duchowni uczynili to z wdzięczności dla Ferreiry.

Ten wstęp przypomina opis sceny w dramacie: suchym, pozbawionym ozdobników językiem w mistrzowski sposób wprowadza nas w sytuację historyczną, która będzie tłem dla rozgrywającej się akcji opisaney w dalszej części utworu. *Milczenie* jest pewnego rodzaju powieścią historyczną, większość postaci i wydarzeń zbudowana jest w oparciu o fakty. O tym, że trzej kapłani, którzy przedostali się potajemnie do Japonii, są wzorowani na postaciach rzeczywistych, pisze sam Endo w posłowniu. Rodrigues *vel* San’emon Okada z *Milczenia* to Giuseppe Chiara *vel* San’emon Okamoto. Naturalnie, jego losy są literacko przetworzone. Urodzony na Sycylii Chiara został zmieniony w portugalskiego Rodriguesa prawdopodobnie po to, by wzmocnić jego relacje z Ferreirą, a tym samym nadać dramatyzmu ich późniejszemu spotkaniu w więzieniu. Wszyscy trzej historyczni kapłani wyparli się wiary jak jeden mąż. W tym miejscu Endo zmienia losy prawdziwych postaci, skupiając się na przypadku odstąpienia od wiary Rodriguesa, prawdopodobnie również po to, by wyraźniej ukazać dramat, jaki rozegrał się wtedy w jego sercu. Postacią historyczną jest też ojciec wizytator Valignano, z którym bohaterowie

spotkali się w Makao i który opisał im sytuację w Japonii, jednakże tutaj czas powieści nie zgadza się z czasem historycznym, gdyż ów kapłan zmarł na początku 1606 roku. Postać ta została wykorzystana w powieści chyba dlatego, że symbolizowała okres rozkwitu chrześcijaństwa w Japonii. Valignano odwiedził aż trzy razy japońską ziemię, utrzymywał bliskie kontakty z Odą Nobunagą^[44], towarzyszył uczestnikom historycznej Misji Tensho do Europy^[45]. Czasy świetności przywołane są po to, by w kontraście z nimi podkreślić mrok i beznadzieję, jakie towarzyszyły w Japonii Rodriguesowi.

Po wstępie mamy w powieści cztery listy Sebastião Rodriguesa, które są zaproszeniem widza, by poznał wnętrze bohatera. Potem następują rozdziały pisane w trzeciej osobie. Można zatem wyróżnić w powieści trzy typy narracji. Najpierw mamy w pełni obiektywną relację, potem – w pełni subiektywną, a trzecia część jest, można by powiedzieć, półobiektywna a półsubiektywna, narrator bowiem opowiada z punktu widzenia głównego bohatera, utrzymując jednak do niego pewien dystans. Czyż dzięki tej strukturze trzypoziomowej narracji autor nie poprowadził czytelnika przez dramatyczne wydarzenia z bardzo udanym skutkiem? Po przyjrzeniu się scenie dramatu, jej tłu z pewnej perspektywy, wchodzimy w duszę bohatera, by na koniec z pewnego oddalenia, ale jednak z bliska, śledzić dramatyczny rozwój wydarzeń, który kończy się apostazją bohatera.

Gdyby od początku do końca rzecz została zrelacjonowana w sposób w pełni obiektywny, przed czytelnikiem rozpostarłby się szeroki obraz przerażającej beznadziei, na jaką od początku skazany był plan bohaterów, ślepej polityki represji władz japońskich oraz nieludzkich tortur przez nich zadawanych. Natomiast gdyby powieść zaczęła się nagle od listu Rodriguesa, a całość była jego monologiem, czytelnikom mogłoby być trudno śledzić rozwój wypadków w jakże niecodziennej scenerii, pełnej sytuacji ekstremalnych. W tym sensie strategia Endo, który przeplata relację bezpośrednią z relacją z dystansu, odegrała ogromną rolę w zapewnieniu *Milczeniu* sukcesu.

Mimo wszystko jednak napisanie powieści, której bohaterem jest cudzoziemiec żarliwie krzewiący wiarę w Japonii, uczynienie centralnym tematem powieści jego świadomości i poglądów było bez wątpienia wielce ryzykowną przygodą literacką,

rzec by można, hazardem. To prawda, że ówczesni misjonarze z Europy – Franciszek Ksawery, Valignano czy Frois, którzy mieli łatwość pisania, byli wnikliwymi obserwatorami i świetnymi reporterami, zostawili wiele zapisków, a bliższe zapoznanie się z tymi notatkami pomaga nam zrozumieć psychikę europejskiego misjonarza. Przetworzenie zaś tych informacji może być sposobem na napisanie powieści. Niemniej wybranie cudzoziemca na protagonistę długiego utworu literackiego jest dużym wyczynem literackim. Pomijając romantyczne idealizowanie oraz przerysowywanie w celu uzyskania efektu groteskowego, musi być niezmiernie trudno pisać o cudzoziemcu tak jak w *Milczeniu*, gdzie mało jest akcji, śledzimy tylko drobne zmiany ograniczone do sfery rozumienia i przeżywania wiary przez bohatera.

Shusaku Endo odważył się podjąć to wyzwanie i świetnie sobie z nim poradził.

Co było dla pisarza napędem, co pozwoliło mu przebić ten mur? Można wskazać kilka czynników. Jego własna wiara, taka sama jak wiara jego bohatera. Nie zawaham się stwierdzić, że przekonanie o uniwersalności chrześcijaństwa, czy raczej katolicyzmu, było dla autora największą podporą. Po drugie, uważam, że radykalizm sytuacji paradoksalnie umożliwił pisarzowi wczucie się w psychikę bohatera. Choć na pierwszy rzut oka może się to wydać pozbawione sensu, chciałbym, aby powieść Endo była rozważana w zestawieniu z powstałą mniej więcej w tym samym czasie co *Milczenie*, bo w roku 1967, szeroko dyskutowaną powieścią pochodzącego z Południa białego amerykańskiego pisarza Williama Styrona *Wyznania Nata Turnera*^[46]. Można te dzieła postawić w jednym rzędzie już choćby dlatego, że *Wyznania...* to również rodzaj powieści historycznej traktującej o faktycznym wydarzeniu – pierwszym buncie Murzynów. Szczególną uwagę przyciągnął jednak fakt, że biały pisarz odważył się wejść w skórę Czarnego i całą powieść utrzymać w stylu monologu wewnętrznego bohatera. Pamiętam, jakie wrażenie zrobiło na mnie to, że krytycy murzyńscy bardzo silnie podkreślali ten aspekt, ale jako osoba postronna nie miałem wątpliwości, że to właśnie w takiej narracji, opowiedzenia świata przez pryzmat poglądów i uczuć Czarnego, tkwi źródło dramatyzmu powieści. Wyraźnie czuje się, że autor chciał nie tylko ukazać wielką siłę bohatera, który próbuje przebić głową mur, ale również rozterki

i cierpienia przywódcy buntu, który nie ma szans skończyć się powodzeniem. Styronowi udało się przedstawić pewien ponadrasowy „uniwersalizm” w sytuacji ekstremalnej. Prawie taką samą sytuację mamy u naszego Endo w *Milczeniu*.

I wreszcie czynnik trzeci, prawdopodobnie najistotniejszy, a mianowicie pisarz zapewne głęboko współodczuwał rozterki i cierpienia związane z wiarą, które budziły się w duszy osaczonego bohatera. Mimo coraz to nowych form prześladowania, tortur dosięgających wiernych, kolejnych ofiar, mimo cierpienia przerastającego ludzką wytrzymałość psychiczną i fizyczną Bóg nie zsyłał „wybawienia”. Mimo rozpaczliwych modlitw bohatera Bóg milczał uparcie. Pojawiają się więc wątpliwości, czy modlitwy do Niego docierają, a nawet czy On w ogóle istnieje.

Dla chrześcijan to najistotniejsze, przerażające pytanie, ale nawet my, niechrześcijanie, odczuwamy w takiej chwili szczerzy ból. Pisarz w dynamiczny, przejmujący sposób opisuje rozwój sytuacji obfitującej w dramatyczne sceny. Wreszcie następuje kulminacyjny punkt tragedii. Do uszu zamkniętego w więzieniu Rodriguesa dociera uporczywy odgłos brzmiący jak chrapanie strażników. Bohater nie może powstrzymać złości, słysząc, jak to „idiotyczne chrapanie raz przybierało wyższe, raz niższe tony”, a chwilę później dowiaduje się od Ferreiry, że „to jęk wiernych powieszonych w jamie”. Ta scena ma ogromną siłę rażenia. Chrapanie – zjawisko fizjologiczne, które świadczy o przynależności człowieka do zwierząt, tutaj przyjmujące formę wprost groteskową, w jednej chwili przemienia się w zjawisko mające cechy świętości. Wkrótce potem następują sceny decyzji Rodriguesa i samego deptania świętego wizerunku *fumie*.

Nie znaczy to jednak, że bohater otrzymał odpowiedź na swoje przerażające pytanie o istnienie Boga. Budząca trwogę, przewrotna teoria, że wyparcie się wiary przez Rodriguesa nie jest zdradą Boga, że Chrystus deptany nogami tyłu odstępców pozwolił mu na to, zrobiła nawet na mnie, który jestem ateistą, wrażenie. *Milczenie* śledzi i opisuje trudne aspekty katolicyzmu, ale w rzeczywistości jest powieścią religijną wykraczającą poza jego ramy, uniwersalną. W opisach zdrajcy Kichijiro, którego możemy nazwać japońskim Judaszem, czy władcy Chikugo, nazwiskiem Inoue, ekschrześcijanina, który teraz najprzemysłniejszymi sposobami zwalcza tę

religię, możemy doszukać się miejsc, do których niewierzący czytelnicy odniosą się z rezerwą, ale musimy się poddać dramatycznej sile *Milczenia*, która poniesie nas do tragicznego końca powieści.

Tłumaczyła Barbara Słomka

[42] Shoichi Saeki (ur. 1922) – japoński literaturoznawca, tłumacz literatury amerykańskiej i krytyk literacki, emerytowany profesor kilku uniwersytetów, m.in. Uniwersytetu Tokijskiego (wszystkie przypisy pochodzą ode mnie, BS).

[43] Wszystkie te utwory były publikowane w Polsce.

[44] Oda Nobunaga – pan feudalny *daimyo*, w latach 1573–1582 faktyczny władca Japonii.

[45] Misja Tensho – Wysłana w 10 r. ery Tensho, czyli 1582, przez wyznających chrześcijaństwo *daimyo* z Kiusiu do Europy misja, której celem była między innymi audiencja u papieża.

[46] *Wyznania Nata Turnera*, tłum. B. Zielińska, Marabut, Gdańsk 1993.

Tytuł oryginału

Chinmoku

Copyright © 1966 by The Heirs of Shusaku Endo

All rights reserved

Opieka redakcyjna

Adam Gutkowski

Redakcja merytoryczna i językowa oraz korekta przekładu

Barbara Słomka

Korekta

Kamila Cieślik

Ewa Polańska

Copyright © for the translation by Izabela Denysenko

© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2017

ISBN 978-83-240-4536-5

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com